

ŻYCIE

ROK XII Nr 3 (552)

LONDYN, MARZEC 1958 R.

CENA 3/-



„...Użyj mi, Panie Boże mój, pojętności do poznania Ciebie, pilności do dążenia ku Tobie i szukania Ciebie, mądrości dla znalezienia Ciebie, sposobu postępowania, który by się Tobie podobał, wytrwałości, wiernie Cię wyczekującej i ufności, że Cię w końcu spotkam i obejmę...”

(Św. Tomasz z Akwinu: Modlitwa o świętość życia — Oratio ad vitam sancte agendam.)

KS. WŁADYSŁAW GISZTER

Nieśredniowieczny myśliciel

Przyłożmy rękę do pługa — WEZWANIE PRYMASA

Przystanek na pustyni — HALINA ZELEŃSKA

Ku ujarzmieniu energii wodorowej — TADEUSZ FELSZTYN

Georges Rouault — MARIAN SZYSZKO-BOHUSZ

Wyjątkowe biskupstwo — KS. WALERY JASIŃSKI

Po angielsku o powstaniu 1830 r. — JĘDRZEJ GIERTYCH

PIERWSZE AVE — JANINA WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA • PUNKTY WIDZENIA: RELIGIA WSPÓŁCZESNEGO CZŁOWIEKA — J. K. • PO ŁEPKACH: DROGA KATECHUMENA — J. B. • DZIEŃ POLSKI W BONN — ST. CZECHANOWSKI • NASZE SPRAWY: DELIKATNA KWESTIA — POLONUS • SZTUCZNE ZAPŁODNIENIE — DR J. LESZCZYŃSKI

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
ROK XII NR 3 (552)

Marzec 1958 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY

„VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt. Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się faktyczny koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal x 1 lam £ 1.50, dol. 3.00, fr. fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna:

„Libreria Polaca”, Serrano 2076, pliso I, Buenos Aires. Australia: „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; R. Treister, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. Belgia: Mme E. Kulakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 60 frs.

Brazylia: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. Francja:

Ks K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Lecer, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.),

XC 5 603 40. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen St. W., Toronto.

Niemcy: St. Mikiciuk, Gablonzerstr. 7/I, 13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. Norwegia: B. Lubiński, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjedn.: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.;

M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N. J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. Szwajcaria: Mme B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734.

Pren. kwart. 3.75 fr. Szwecja: Mgr B. Z. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 4.80 kr. Włochy: Mme Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C, Roma.

Przyłożmy rekę do pługa...

„...Wielki post w Kościele Chrystusowym jest mobilizacją duchową wszystkich dzieci Bożych...

Zachęcaliśmy was do wierności Bogu, bo patrząc na zmienność świata i zmienność czasów i wieków widzimy, że tylko Bóg się nie starzeje i nie odchodzi...

Zachęcaliśmy was do wierności Kościołowi świętemu i jego pasterzom. I tutaj pragniemy wejść w samo serce tej wierności, by pogłębić nasz związek z Kościołem. Będzie to przedmiot szczególnej pracy w Drugim Roku Wielkiej Nowenny, który się zbliża do nas. — Pełna wierność Kościołowi świętemu — to wierność Łasce Bożej...

Kościół jest społecznością wyjątkową i jedyną na świecie. Bo więzią jego jest nie tylko ustrój prawny, ale przede wszystkim ustrój miłości nadprzyrodzonej... Nawet Kościół opuszczony, jak Chrystus na Kalwarii, nie przestaje być Miłością, Zbawieniem i Pokojem ludzkości...

...Nasza więź nadprzyrodzona z Kościołem przez łaskę uświęcającą nasze życie jest potężną siłą Kościoła Bożego na ziemi. — Wszczepiony w Kościół przez chrzest, mam brać życie nadprzyrodzone z Kościoła. — Jak wykonać ten program uspołecznienia świętości?...

Jako członkowie nadprzyrodzonej społeczności Kościoła świętego, mamy czuć, byśmy byli żywymi członkami żywego Kościoła... przez wierność tej łasce, którą wzięliśmy z Kościoła... przez wierność łasce stanu, do którego jesteśmy powołani w Kościele... w każdym sakramencie... dochować macie wierności łasce stanu sakramentu małżeństwa...

W naszym życiu zawodowym nie jesteście pozbawieni pomocy łaski uświę-

cającej Kościoła, który nieustannie prosi Boga o błogosławieństwo doczesne i niebieskie dla wszystkich godziwych prac człowieka... Kościół głosi zasady etyki zawodowej wszystkim stanom i zawodom... Kościół pragnie wpłynąć dodatnio na wartość waszej służby społecznej, abyście byli chrześcijanami nie tylko w świątyniach, ale i w wykonywaniu przyjętych na siebie obowiązków stanu i zawodu...

Życie wspólne tej wielkiej rodziny narodu ochrzczonego może być uświęcone przez świętość nadprzyrodzoną katolickich dzieci narodu, tak iż całe ich życie będzie spokojniejsze, szlachetne dążenia — łatwiejsze do osiągnięcia, a pokój społeczny — bezpieczniejszy... Stąd tak ważną jest rzeczą, aby katolicy polscy wnosili swoją etykę chrześcijańską w codzienne życie narodu, by poprawiali to życie swoją świętością, by zwycięsko pokonywali bolesną rozbieżność między duchem Ewangelii, a duchem życia codziennego... W publiczne życie społeczne, w nasz wypoczynek świąteczny, wakacyjny, urlopowy, w życie towarzyskie, w domu, w kinie czy w teatrze, w czasie wytchnienia czy zabawy, ludzie kierowani łaską z nieba mogą wnieść wiele pogodnej radości dzieci Bożych, zdrowego ładu i pokoju, by to życie — miast pożytku — nie zamieniło się w dodatkową udrętkę i anarchię...

Przyłożmy raz jeszcze rękę do pługa, by przeorać niwę serc naszych nie oglądając się wstecz...“

(Z wezwania Prymasa Polski do pracy wielkopostnej, Gniezno-Warszawa, wielki post 1958 r.)

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ŚWIECKICH

(Z przemówienia Ojca św. Piusa XII do uczestników II Światowego Kongresu Apostołów Świeckich w Rzymie, 5. 10. 1957 roku).

„...Stosunki między Kościołem a światem wymagają udziału ludzi świeckich. Uświęcenie świata (consecratio mundi) jest, zasadniczo, zadaniem świeckich, którzy są ściśle związani z życiem gospodarczym i społecznym, którzy biorą udział w rządach i w ciałach ustawodawczych. Podobnie, ośrodki katolickie, które powinny powstawać wśród pracowników w każdej fabryce i w każdym zakładzie pracy, by sprowadzić do Kościoła oddalonych odeń, mogą być tworzone przez samych pracowników. Niechaj więc władza kościelna stosuje tutaj również powszechną zasadę pomocy wspierającej i uzupełniającej. Niechaj będą powierzane świeckiemu zadania jakie może wypełnić rów-

nie dobrze jak i duchowny, albo i lepiej, niechaj mu będzie wolno w granicach swej funkcji lub w granicach wytyczonych przez wspólne dobro Kościoła, działać swobodnie i ponosić odpowiedzialność...

Materializm i ateizm świata, gdzie miliony wiernych zmuszone są żyć w odosobnieniu, wymaga aby w nich wszystkich kształtować silną osobowość. Jakże inaczej będą oni mogli się oprzeć otaczającemu ich naciskowi, który wiedzie ich na manowce? To co słusznie odnosi się do wszystkich, w pierwszym rzędzie odnosi się do świeckiego apostoła, który jest zobowiązany nie tylko do obrony własnej, ale i do zdobywania innych.

Nie umniejsza to bynajmniej wartości środków ostrożności, jakimi są: ustawodawstwo dotyczące opieki nad młodzieżą.

(Dokończenie na str. 8)

PRZYSTANEK NA PUSTYNI

Pamiętam przystanek na pustyni. Po upalnym dniu zapadał chłodny zmrok, jak zwykle w tych stronach. Noc nadchodziła szybko. Przestało drgać rozgrzane słońcem powietrze, znikły mirażowe rozlewiska wodnych na nieskończonej przestrzeni płargów i usypisk, ciągnących się aż do krańca widnokręgu. Umilkł warkot motorów — i zaraz przytomna stała się cisza.

Jak ją opisać? Nic nie da się porównać z ciszą pustyni. Nie ma w niej tej całej delikatnej gamy tonów, chrobotów i szeptów, które normalnie są prawie nieuchwytnym dla ucha tłem tego, co zwykliśmy nazywać ciszą. Jest jakby chemicznie czysta. Nigdzie nie zaszemrze potok, nie zaszumi drzewo lub łąn trawy, muśnięte wiatrem. Żaden ptak nie zakwili w powietrzu, ani zaszeleści krok zwierzęcia przemykającego w zaroślach. Czasem bywa, że huragan rozszałeje się nad pustkowiem i wzniesie aż pod niebo potężne, skręcone słupy piasku. To znów wypełzną zza horyzontu chmury huczące gromem, a sine błyskawice tną na płaty niebios jak miecz archanielski. Ale to są przejściowe kataklizmy. Wicher przeleci, burza się przetoczy i znów pomiędzy ziemią wypaloną na żużel a wysokim niebem trwa pustynna cisza.

Owej nocy naszego postoju otaczała nas zewsząd. Wystarczyło opuścić małą wysepkę światła w kręgu naszego obozowiska, odejść kilkadziesiąt kroków w bok, minąć jeden i drugi załom skalny, by zatonać w niej jak w oceanie. Wokoło nic, tylko nagie zbocza, zwałiska głazów i rozpadliny, podobne falom zastygłym w bezruchu. W górze ogromne niebo i miliardy gwiazd migocące bliżej, dalej, jeszcze dalej, ujawniając nieogarniętą głębię przestworza. Zapewne takie niebo musiało niegdyś natchnąć rozmyślenia Izajasza:

„Kto zawiesił trzema palcami wielkość ziemi i zważył na wadze góry, a pagórki na szalach?... Izali nie wlecie? Ażacie nie słyszeli?... On rozciąga niebiosy jako nić i rozpiął je jako namiot na mieszkanie... Podnieście ku górze oczy wasze a obaczcie, kto to stworzył? On, który wywodził w liczbie wojsko ich (gwiazdy) a wszystkie po imieniu nazywa.“ (Iz. 40, 12-26).

Cisza pustyni to po prostu zasłuchanie stworzenia w słowo, które je powołało do życia. A kiedy ziemia i niebo wstrzymują oddech w milczeniu, wówczas z samego dna tej ciszy daje się słyszeć głos jedynej, niewidzialnej Obecności. Nic dziwnego, że tyle wielkich nawróceń miało miejsce właśnie na pustyni. Od czasów przedwiecznych bowiem, pustynia stała się szkołą obcowania z Bogiem, a dzieje religijne ludzkości związane są z nią nierozdzielnie.

Na pustynię wywiódł Bóg Abrahama z gwarnej i świetnego miasta Ur, by w

samotności wielkich pustkowi nawiedzać go pod prostym namiotem koczownika. Na pustyni przemówił do Mojżesza, zwierając mu tajemnicę swego Imienia i zawartą w nim treść swej Istoty. Poprzez pustynię prowadził naród wybrany, aby lud o twardym karku nauczył się ufać jedynie Bogu i ku Niemu tylko zwracać serce, wciąż skłonne do tęsknoty za obfitością ryb, ogórków i melonów, czosnku i cebuli żyznego Egiptu. Zarem pustynnym tchną słowa proroków Izraela, a w Psalmach woła dusza ludzka, której znane są dobrze zarówno miraż nieosiągalnych dali, jak i kojąca cisza głębokiej nocy. Na pustyni rozległ się głos herolda zapowiadającego przyjście Pańskie, a kiedy św. Jan Chrzciciel stanął u brzegów Jordanu, z samotności pustyni wyszedł ku niemu i zebrany rzeszom Chrystus, by wszystkim pokoleniom otworzyć drogę na zbawczy, nagi szczyt Golgoty.

Element pustyni konieczny jest w życiu każdego człowieka. Bez przystanku w ciszy i skupieniu niepodobna jest obcować z Bogiem, a bez przebywania w Jego obecności nie można odkryć prawdy ani w sobie, ani w rzeczywistości, która nas otacza.

W Raju Adam i Ewa żyli wciąż w obecności Bożej. Dlatego istniała zupełna harmonia między nimi i światem, bo i oni sami i wszystko wokoło, bujność ziemi i nieprzebrana różnorodność bytów, zajmowało właściwe sobie miejsce we wspólnej zależności od Stwórcy. Ale z chwilą pierwszego grzechu, kiedy człowiek odwrócił się od Boga i skoncentrował na sobie samym, harmonia przysła. Wraz ze zmianą kierunku zatraciła się wiążąca miara, zapanował chaos nieskoordynowanych dźwięków, jak na płycie gramofonowej puszczonej w odwrotną stronę. Rozpętany zgiełk wdarł się do serca ludzkiego i odtąd huczy hałasem namiętności i burzy się potokiem nieokiełznanej wyobraźni. Aby uciszyć tę wrzawę trzeba odmienić kierunek. Ale niepodobna zawrócić w pędzie, trzeba najpierw przystanąć.

W naszym życiu rozpędzonym na oślep, takim przystankiem mogą stać się rekolekcje. Słowo to mieści w sobie pojęcie skupienia na nowo rozproszonych elementów, porządkowanie chaosu. Ale skupienie rekolekcyjne to coś więcej, to takie nastawienie anteny duszy by mogła chwycić to, co jest poza nami i nad nami. Jest to nawrócenie, zwrot całej naszej istoty do spraw ducha i do Boga. Mechanizm życia naszej epoki jest tak skonstruowany, że utrudnia ludziom skupienie. Naturalnie, że wszędzie można znaleźć spokój wewnętrzny, ale są warunki, które temu bardziej lub mniej sprzyjają. Nieprzerwany hałas maszyn, samochodów, głośników radiowych, tłumne ulice, sklepy, biura, jaskrawe światła wielkich miast, a przede wszystkim nieustanna

sugestia reklamy i propagandy, są zaprzeczeniem ciszy potrzebnej do refleksji. Istniejemy jakby od chwili do chwili, w ciągłym ruchu spraw, wypadków, zdarzeń, które zaledwie dostrzeżone mijają nas jak krajobrazy za oknem pociągu. Trzeba zatrzymać motor, stanąć, przerwać ciągłą aktywność i tylko — być, w skupionej uwadze ku Bogu.

Jednak i to nie wystarczy. Język angielski i francuski słusznie określają rekolekcje innym jeszcze słowem: retreat, retraite, co znaczy odejście, usunięcie się. Przystanek musi być na pustyni, gdzie na olbrzymiej ku niebu otwartej przestrzeni rozmiary człowieka kurczą się do wysiłku mrówki wędrującej po skibie pola. Trzeba zapuścić się w te pustkowie, wyjść z kręgu obozowiska swoich zajęć, zabiegów, pracy, dążeń, i pragnień, ustąpić z miejsca przy ognisku rozpalonym przez własną gorliwość, w którego świetle nasza postać rysuje się jako jedyna rzeczywistość na tle otaczającego cienia. Trzeba odejść od siebie. Nieraz troska o dobrobyt wygodny naszej własnej duszy, o naszą własną doskonałość, pragnienie szczęścia duchowego w tym życiu, a zbawienia w przyszłym, zastępują do pewnego stopnia

W NUMERZE:

(ciąg dalszy)

ODPOWIEDZIALNOŚĆ SWIECKICH

— wypowiedź Ojca św. (str. 2)

SPIEW DUSZY — św. Jan od Krzyża, — tłum. B. Przyłuski (str. 4)

ADELAJDA I GEJZA — A. Steffen (str. 12)

Życie Kościoła: CAŁA PIĘKNA JESTEŚ — W. J. (str. 15)
LICZNE RODZINY — MODLITWA POLITYKÓW (str. 16)
NIEDOLA OSADZI ŚWIAT — H. Z. (str. 17) SPORT W ŻYCIU NOWOCZESNYM.

Życie Kraju: KOMUNIKATY SEKRETARIATU PRYMASA — PRZEGLĄD PRASY (str. 18) — „PRZYGODA FLORENCKA” — J. B.

Polacy na obczyźnie: POLSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W RZYMIE — Dr W. Jelonek (str. 21)

Życie kulturalne: FREDRO I GOSZCZYŃSKI — W. Tylka (str. 23); „ZEMSTA” W BRUKSELI — J. Pomorska (str. 24)

Książki: DWA TOMY MŁODOSCI (A. Bobkowski) — J. B. (str. 25)

Wieczory teatralne: „KLUB KAWALERÓW” — J. B. (str. 26)

LAUREAT GONCOURTÓW — Z. E. Wałaszewski (str. 27)

Listy i uwagi: J. E. Arcybiskup GAWLINA, E. GIERA-TOWA; T. ZIARSKI; S. NIEKRASZOWA; J. F. S. (OHIO).

poznanie Boga w wierze, miłość do Niego i służbę Jemu powinna, które są podstawą i celem życia religijnego. To my wciąż staramy się do Boga mówić, czasem dobrym uczynkiem, czasem skargą, lub nawet szczerym żalem, ale rzadko kiedy potrafimy zejść ze sceny, usunąć się z blasku reflektorów i stanąć cicho na boku, słuchając tylko.

Tego właśnie uczy nas historia Eliasza. Ten najbardziej płomienny z proroków całe życie gorzał pragnieniem służenia Bogu. Nie ustawał w pracy ani na chwilę. Jak wiatr pustynny wpadał w ulice miast bogatych, szumiących niby ule zapobiegliwości ludzką, wdzierał się do komnat królewskich pysznych od złota i kobierców, hulał po „miejscach wysokich“, gdzie bałwany bożków martwymi oczami spoglądały na ofiary składane u ich stóp — i wszędzie gorącym oddechem swej żarliwości wymiatał śmiecie zepsucia. Zdawał się dwoić i trolć. Jak ogień wybuchał to tu, to tam, huczał zatrata i znów, grząc piorunami zniszczenia i kary, pojawiał się na kształt burzy na drugim krańcu ziemi izraelskiej. Aż wreszcie, spalony na wiór słońcem pustyni i własnym żarem, przesładowany przez królów i możnych, zniechęcony nicością wszystkich swoich wysiłków, padł znużony pod krzakiem jałowca na pustkowiu. Pragnął już tylko śmierci: „Dosyć mam, Panie, weźmij duszę moją, bom nie jest lepszy niż ojcowie moi.“ Wówczas zjawił się Anioł i kazał

mu iść dalej na pustynię, aż do góry Horeb. Poszedł Elias, schronił się w jaskini i znowu skarżył się Bogu: „Żalem rozżaliłem się o Pana, Boga zastępów, iż opuścili przymierze twoje synowie Izraelowi, oitarze twoje zepsowali, proroków twoich mieczem pozabijali, zostałem ja sam i szukają duszy mojej aby ją zabrać.“ I przyszedł znowu Anioł i polecił mu wyjść i stanąć na górze przed Panem. „A oto Pan mija i wiatr wielki i mocny, wywracający góry i kruszący skały przed Panem: nie w wietrze Pan. A po wietrze wzruszenie: nie we wzruszeniu Pan. A po wzruszeniu ogień, nie w ogniu Pan. A po ogniu szum wiatru cichego. Gdy to usłyszał Elias, zakrył oblicze swe płaszczem i wyszedł stanął u wejścia do jaskini, a oto głos do niego mówiący: Co tu czynisz, Eliaszu?“ Po czym kazał mu Bóg wrócić się skąd przyszedł. (III Ks. Król. 19).

Ten opis rekolekcji Eliasza ma wymowę bardziej przejmującą niż długi, uczony traktat. Jest w nim wszystko. Jest odejście nawet od najszlachetniejszej treści własnego życia, by dojrzeć ją na nowo oczyszczonym okiem, w odpowiedzi na pytanie Boga: co tu czynisz, Eliaszu? Jest skupienie w osłoniętej twarzy proroka, który nie chce nic widzieć i słyszeć prócz obecności Bożej. Jest zasłuchanie w momencie najgłębszej ciszy, kiedy umilkł nawet „szum wiatru cichego“. Jest

wreszcie gotowość w postawie stojącego przed Panem człowieka i przewyciężenie zniechęcenia do samego siebie, by wrócić do zadań nie rokujących żadnych rezultatów. Elias otrzymuje rozkaz powrotu na poprzednią swą drogę.

Rekolekcje są tylko przystankiem, zwrotem, nawróceniem. Są chwilą postoju i skupienia, uciszeniem wrzawy naokoło i wewnątrz siebie, aby dosłyszeć głos Boga, a w nim symfonię świata i własną, osobistą nutę w tej harmonii. Ale skupienie tak nie wyklucza otaczającej nas rzeczywistości. Wprowadza tylko ład i hierarchię wartości w obliczu obecności Bożej. A obecność ta sprawia, że wszystko ożywia się i ukazuje prawdziwą swą istotę. Stajemy się bardziej obecni wobec nas samych i bardziej obecni w rzeczywistości czasów, w których wypada nam żyć.

Po przystanku na pustyni, powrót do rozgwaru obozowiska staje się nowym odkryciem. Wracając widzimy w blasku ogniska już nie nas samych ale wszystkie inne twarze naszych towarzyszy podróży. A choć wzrok nasz znowu skupia się w kręgu światła najbliższej aktualności, to pozostaje w nas świadomość, że morze ciemności otaczające tę małą wysepkę dnia codziennego, pełne jest gwiazd, zasłuchanych i posłusznych Temu, „który wywodzi w liczbie wojsko ich, a wszystkie po imieniu wzywa“.

Halina Zelenka

ŚW. JAN OD KRZYŻA

ŚPIEW DUSZY BOLEŚNIE STĘSKNIONEJ ZA WIDOKIEM BOGA

(Parafraza)

Żyję bez życia w sobie. Sam
to jedno mając za przyczynę,
że właśnie ginę, bo nie ginę.

Z sobą nie mogę dotąd być,
dopókim z Bogiem nie złączony,
Boga i siebie pozbawiony.
Któż powie, że tak można żyć?
Tysiącem śmierci we mnie tlić
będzie się życie. Nie ominę
swojej zatrąty, bo nie ginę.

Ten żywot, którym żyję teraz
zaprzepaszczeniem jest żywota.

Dlatego wciąż będę umierał,
dopóki Ciebie nie napotkam.

Słuchaj mnie, Boże! Mówię Tobie:
Nie chcę takiego życia, bo przeminę
ginąc dlatego, że nie ginę.

Jakież to życie bez Cię, Panie,
i któż by żyć nim wreszcie zdołał,
gdyby się strasznie nie mocował
z najgorszym w świecie umieraniem?
Nad sobą wciąż z politowaniem
placę, bo w sobie czuję winę,
że chociaż ginę wciąż, nie ginę.

Jak ryba z wody wylowiona
tym jednym niechaj się pocieszy,
że śmierć ta, której grot ją przeszył —
z nią konającą razem kona.
Ta śmierć już dość upodobniona
do mego życia wciąż w udęcie —
że więcej żyjąc, ginę więcej.

A kiedy ulgę niesie myśl,
że Cię oglądam w Sakramencie,
to zaraz w samym tym momencie
największy smutek musi przyjsć,
że twarzą w twarz nie widzę dziś
Ciebie i że Cię znów ominę
ginąc dlatego, że nie ginę.

Jeżeli zechcę się nacieszyć
nadzieją blasku Twego, Panie —
Ach, cóż się ze mną wtedy stanie,
kiedy Cię z oczu stracę grzesznie!
Żyć w takim lęku tom nieśpieszny,
Tęskniąc za Chlebem i za Winem
Zginać bym musiał, bo nie ginę.

Od takiej śmierci, Boże, wybaw,
o Panie mój i daj mi życie,
nie trzymaj mnie, nie wiąż w niebycie,
w pętli, co twardo trzyma.
Popatrz — ja schnę, i nic nie może
pomóc mi ani odrobinę,
bo ginę właśnie, że nie ginę.

Nad sobą sam żalobne pienia
zaśpiewam żyjąc bez pociechy,
więzień za niezliczone grzechy,
słusznie wtrącony do więzienia.
Boże! Ach, kiedyż to się stanie,
że z prawdą więcej się nie minę
mówiąc, że teraz właśnie żyję, dlatego tylko, że nie
ginę.

Przełożył Bronisław Przyłuski

ŻYCIE — Nr 3 (552)

NIEŚREDNIOWIECZNY MYŚLICIEL

Autor artykułu, nadesłanego z Kraju, Ks. Kanonik Dr Władysław Giszter, uczeń J. Maritain'a i ceniony w Polsce tomista, jest profesorem filozofii w Wyższym Seminarium Duchownym we Włocławku. Red.

Dziwna jest historia wielkich spraw. Zazwyczaj powstają one w trudzie, a zwyciężają poprzez mękę przeciwniów. 7 marca 1277 roku, w trzy lata po śmierci św. Tomasza, Szczepan Tempier, biskup paryski, wraz z teżami Averroesa (którego św. Tomasz zwalczał przez całe życie) potępił cały szereg twierdzeń wyjętych z pism tego, którego Kościół czczy dzisiaj i jako swego Powszechnego Doktora. Nie pomogła interwencja św. Alberta Wielkiego, który jako osiemdziesięcioletni starzec przybył z Kołonii do Paryża, by bronić swego wielkiego ucznia. Podobnie w Oksfordzie Robert Kilwardby, arcybiskup z Canterbury, oraz jego następca Jan Peckham wymierzili cios administracyjny w naukę Doktora Anielskiego.

Były to przykre fakty spowodowane wpływem przeciwników św. Tomasza, fakty charakterystyczne, ale raczej lokalne i bez większego znaczenia. — Kanonizacja św. Tomasza w roku 1323, dokonana przez papieża Jana XXII była całkowitą rehabilitacją jego osoby i jego nauki.

Przysły jednak bardziej niebezpieczne i szkodliwe terminy dla tomizmu.

W tym samym roku, w którym św. Tomasz odszedł do wieczności, urodził się Duns Szkot, przeciwnik tomizmu. Jego przesadnie subtelny formalizm i woluntaryzm podkopywał zaufanie do rozumu. Wówczas, jakby w samą porę dla pogłębienia prawdziwej myśli filozoficznej, zjawia się Wilhelm Ockham ze swoim nominalizmem. I zatruła filozofia uproszczona, spłycona, wysterylizowana z prawdziwej metafizyki. A scholastyki ówczesni przeważnie spali, bynajmniej nie snem sprawiedliwych. W wieku XV tworzy się nowa ostra opozycja przeciwko nauce scholastycznej. Zjawia się nowy czynnik rozsadzający — renesans. Czasy te charakteryzuje wielki rozwój nauk przyrodniczych. Ówczesni scholastyki, niestety, nie wzięli udziału w tym prawdziwie postępowym ruchu na polu nauk poszczególnych. Byli podobno i tacy wśród nich, którzy woleli nie patrzeć przez lunetę, by nie czuć się zmuszonymi do poczynienia zmian na niebie Arystotelesa. Ten marazm przedstawiceli upadającej scholastyki skrzętnie wykorzystują przeciwnicy. Atakują nie tylko przestarzałą i błędną fizykę Arystotelesa, ale odrzucają również jego wspaniałą metafizykę.

Mamy w ten sposób z jednej strony wielki rozwój nauk doświadczalnych, a z drugiej strony smutny i głęboki upadek nauk filozoficznych.

Człowiek jednak nie może obejść się bez metafizyki na dłuższy dystans. Przychodzi Kartezjusz, wielki reformator i ojciec filozofii nowoczesnej. Buduje on nową racjonalistyczną filozofię. Nosi ona w sobie dwa śmiertelne bakcyle: idealizm i pozytywizm. Te zarazki, w miarę rozwoju kartezjanizmu, doprowadzą myśl filozoficzną w w. XVIII

do całkowitej kompromitacji w sceptycyzmie i fenomenizmie Hume'a.

Człowiek nie może obejść się bez filozofii. Przychodzi drugi wybitny twórca — Emanuel Kant. Pragnie on ratować naukę przed sceptycyzmem, ale ponieważ nie zdołał uwolnić się od destrukcyjnych wpływów współczesnej filozofii, popada w jeszcze większe błędy i podaje lekarstwo gorsze od samej choroby. Ogłasza, że metafizyka jest nauką niemożliwą. Na gruncie kantowskiego sceptycyzmu rodzą się wielkie absurdałne systemy idealistów niemieckich. Absurdałna zaś filozofia idealistyczna prowadziła do całkowitego odrzucenia wszelkiej filozofii. Następuje okres pozytywizmu.

Tomizm, najwspanialsza filozofia ludzkości, przez całe wieki zepchnięty był w krainę milczenia i zapomnienia. Wielki nieład intelektualny prowadził do anarchii moralnej i społecznej. Liberalizm, związany organicznie z racjonalistyczną filozofią nowoczesną, spowodował wielkie nadużycia w stosunkach społecznych i ekonomicznych. Bezbożny liberalny kapitalizm nakładał coraz cięższe jarzmo na klasy pracujące. Świat zbliżał się do katastrofy. Przewidział to wielki papież Leon XIII. 4 sierpnia 1879 roku wydaje on encyklikę „Aeterni Patris”, w której zwraca się z apelem wyrażającym nagłą potrzebę powrotu do zasad filozofii chrześcijańskiej, a zwłaszcza do zasad filozofii św. Tomasza. Apel ten podtrzymali następcy aż do Jego Świątobliwości Piusa XII.

Rozpoczął się wielki ruch odrodzeniowy tomizmu prawie we wszystkich krajach cywilizowanych. Paradoksalne wydarzenie rozgrywa się na naszych oczach. Z punktu widzenia historycznego można by powiedzieć, że tomizm „nie udał się” w średniowieczu, skoro św. Tomasz nie zdołał narzucić formy swej mądrości ówczesnej kulturze. Tomizm w ciągu sześciu wieków był jakby w rezerwie na niebie Kościoła. Nosi on na sobie pewne znamień profetyczne — był zarzeczony dla przyszłych wieków. (1) Toteż jest rzeczą ryzykowną nazywać św. Tomasza „myślicielem średniowiecznym”. Są uczeni chrześcijańscy, którzy z pewną niechęcią, a przynajmniej ze swoistą pobłażliwością i poczuciem własnej wyższości nazywają Doktora Anielskiego myślicielem „średniowiecznym”. Jak można np. powiedzieć: „ten średniowieczny myśliciel już nam nie wystarczy”, skoro tomizm znajduje się dopiero w okresie młodzieńczym swego dynamicznego rozwoju?

Czym się tłumaczy to niezwykłe zjawisko odrodzenia tomizmu w naszych czasach, i dlaczego Kościół poleca go światu i nakazuje, aby go wykładano w seminariach duchownych i na fakultetach katolickich (kan. 1366, § 2); dlaczego Kościół przyjmuje filozofię tomistyczną za swoją własną? (2)

Aby odpowiedzieć na te pytania, należy choć najogólniej zwrócić uwagę na wartości tej filozofii, a zwłaszcza jej najważniejszej części, jaką jest tomistyczna metafizyka.

WARTOŚCI TOMIZMU

Filozofię św. Tomasza charakteryzują trzy momenty:

Uprawiony konserwatyzm. Św. Tomasz

nie szukał oryginalności za wszelką cenę, ale nieustannie i nieustraszenie poszukiwał prawdy. Zdawał sobie doskonale sprawę, że skoro na polu nauk szczegółowych osiągnęto rezultaty tylko dzięki współpracy wielu uczonych, to tym bardziej potrzebna jest współpraca całych pokoleń, gdy chodzi o zbudowanie tak rozległej i powszechnej wiedzy, jaką jest filozofia. I dlatego św. Tomasz z wielkim szacunkiem odnosił się do pracy swoich poprzedników i korzystał z ich dorobku naukowego. Czynił to z dojrzałym krytycyzmem. Filozoficzne osiągnięcia poprzedników wcielał do własnej syntezy nie ze względu na ich osobistą powagę, lecz dla obiektywnej wartości nauki. Ten konserwatyzm św. Tomasza jest gwarancją prawdziwości jego filozofii. Do jak wielkiej klęski prowadzi całkowite odrzucenie dorobku myślowego przeszłości, świadczy filozofia nowoczesna w swych największych przedstawicielach — Kartezjuszu i Kancie.

Nowatorstwo i samodzielność. Dzięki geniuszowi i swej pracy św. Tomasz tworzy z materiałów zapożyczonych naukę nową, żywą i autonomiczną. Arystoteles w jego rękach otrzymuje metafizyczne wykonczenie i udoskonalenie. Tomizm cechuje duch głębokiej i jednocześnie umiarkowanej (tzn. opartej na doświadczeniu i zdrowym rozsądku) metafizyki. Św. Tomasz pozębili zasady filozofii Arystotelesa, wyprowadził nowe wnioski, a włączając dorobek łacińskiej i chrześcijańskiej tradycji, wzbogacił jej treść. Uczyniwszy z filozofii Arystotelesa wspaniałe narzędzie w służbie wiedzy nadprzyrodzonej, wywyższył tę filozofię ponad nią samą, kładąc jej jasnie światłem bardziej Boskim niż ludzkim. „W ten sposób — pisze Maritain — między Arystotelesem oglądanym oczyma Arystotelesa, a Arystotelesem oglądanym wzrokiem św. Tomasza zachodzi podobna różnica, jak między miastem widocznym w świetle ludzkich pochodni, a tym samym miastem zjawiającym się w rannych promieniach wschodzącego słońca”. (3)

Postępowość. Wszelki sztywny tradycjonalizm lub skostniały konserwatyzm obcy jest Doktorowi Anielskiemu. Nie uważa on Arystotelesa za ideał, którego nie można by przewyższyć. Własną pracą uważa za cenne wkładkę wniesioną do wspólnego i wielkiego skarbcza filozofii.

Postęp ten wszakże nie jest tego rodzaju, co w dziedzinie techniki lub nauk szczegółowych — przez substytucję lub zamianę (np. elektryczność zastąpiła lampę naftową lub system Kopernika zastąpił system Ptolomeusza).

W tomizmie postęp musi odbywać się na sposób immanentny, wewnętrzny, przez stopniową autogenezę tego samego organizmu duchowego, przez stałe wywyższenie i pogłębienie siebie samego, przez pewnego rodzaju przemienienie. Proces rozwoju tomizmu jest

(1) por. Maritain J., Sept Leçons sur l'être, Paris, 16.

(2) por. Benedykt XV, Enc. „Fusto appetente d'e”, 29. 6. 1921. — Kościół uznał naukę św. Tomasza za swoją własną.

(3) por. Elements de philosophie, I, Paris 1946, 62.

podobny do procesu, w jaki małe dziecko staje się człowiekiem dojrzałym. Osobowość metafizyczna nie zmienia się, zostaje ta sama, a jednak wszystko w dziecku przemieniło się, zróżniczkowało, umocniło i udoskonalilo. W rezultacie ta istota stała się bardziej doskonale sobą.

W tak pojętym procesie rozwoju tomizmu wydaje się, że nazwa „neotomizm” lub „neoscholastyka” jest mniej zřeczna; bo obie nasuwają sugestię, że tomizm autentyczny został pochłonięty i strawiony przez to coś różnego: przez „neo”.(4)

Filozofia tomistyczna nie znajduje się w stanie embrionalnym, jak to było u pierwszych filozofów greckich. Już od dawna jest ona — jeszcze za czasów Arystotelesa — organizmem ukształtowanym. Już pod opieką Stagiiry przekraczała wiek dziecięcy, a w rękach wielkiego Akwinaty osiągnęła wspaniały rozwój właściwy okresowi bujnej młodości. I jeszcze dotąd nie osiągnęła i prawdopodobnie — dopóki prawo rozwoju będzie prawem ludzkiej cywilizacji — nigdy nie osiągnie wieku dojrzałości w sensie ostatecznego zamknięcia i ostatecznego wykończenia. Tym bardziej nie zapadnie się w starczość i ostateczny uwiąd.

Aby pojąć, że tomizm nigdy nie stanie się „średniowiecznym”, należy wnikać w ducha metafizyki św. Tomasza.

Mówi się, że przedmiotem metafizyki jest byt jako byt. Co to znaczy — byt jako byt? Tautologia? Pusta gra słów? — Dla nie chcącego lub nie umiającego głębiej myśleć, tak. — Dla filozofa, nie.

Przez trud abstrakcji metafizycznej umysł ludzki odnajduje byt w rzeczach materialnych. Może on urzeczywistnić się nie tylko w rzeczach materialnych, ale w sposób analogiczny również w rzeczach duchowych, a nawet w pierwszej transcendentnej Przyczynie, wszechświata. Na tym najwyższym wzniesieniu umysłu ludzkiego jesteśmy w posiadaniu pewnej intuicji bytu. Albowiem jakby w prostym i bezpośrednim spojrzeniu, wyższym nad wszelkie rozumowanie, dosięgamy jego najgłębszej tajemnicy. Żadna z nauk przyrodniczych ani filozoficznych nie dosięga takiej formy powszechności bytu, jak metafizyka. — Oto najogólniejsze znaczenie wyrażenia „byt jako byt”.

Tę intuicję bytu jako bytu osiągamy na najwyższym stopniu ogołocenia abstrakcyjnego. Trzeba tu dobrze zrozumieć sens i wartość abstrakcji metafizycznej. Przede wszystkim nie należy oddzielać abstrakcji od intuicji. Pozytywna rola abstrakcji polega na tym, że jest ona warunkiem intuicji, że do niej prowadzi. Abstrakcja nie jest rezygnacją z czegoś, ale przeciwnie, jest osiągnięciem wyższej wartości. Często akcentuje się negatywny moment abstrakcji — ogołocenie, oderwanie. I w tym sensie abstrakcja oznaczałaby pomniejszenie, zubożenie. Tymczasem ogołocenie jest tylko warunkiem, a nie celem w sobie. W abstrakcji metafizycznej nie to jest najważniejsze, że odrywamy się od cech jednostkowych, od jakości zmysłowych, od cech ilościowych, lecz to jest najistotniejsze, że przez to oderwanie się dochodzimy do intuicji bytu jako bytu. Rezultatem ogołocenia abstrakcyjnego nie jest jakaś „pozostałość” czy jakaś „reszta”, która byłaby treścią intuicji metafizycznej. Owocem abstrakcji metafizycznej jest rzeczywistość najbogatsza, gorączką energią i świeżością. Prawda, że do tej rzeczywistości do-

chodzi się przez pewne ogołocenie, przez ubóstwo. Ubóstwo to jednak jest natury duchowej; pozwala ono wznieść się na najwyższy stopień poznania umysłowego. Warto było uwolnić się od błyskotliwych pozorów, którymi jest odziany byt zmysłowy, materialny, aby za tymi pozorami odnaleźć skarb: byt jako byt.(5)

Jeszcze głębiej wniknijmy w metafizykę tomistyczną. W pojęciu bytu odróżniamy istotę i istnienie. Nauki szczegółowe, a nawet wszystkie działy filozofii poza metafizyką, zajmują się istotą rzeczy, ich treścią, lub strukturą. Jedna metafizyka ex professo zajmuje się istnieniem. Otóż przedmiotem metafizyki tomistycznej jest byt w swoim aspekcie istnienia. Akwinata pisze — „nazwa bytu pochodzi od bytowania (istnienia)”. Akt istnienia stanowi dominantę metafizyki tomistycznej, jest jej kamieniem węgielnym. Akt istnienia jest sercem bytu, doskonałością wszystkich innych doskonałości. Wszelka istota, wszelka struktura ontyczna bez aktu istnienia jest tylko abstrakcją. Istnienie aktualne jest tą pierwotną i wieczystą energią, z której czerpie swą rzeczywistość wszelki podmiot poznający i wszelki przedmiot poznawany. Istnienie jest życiodajnym korzeniem ukrytym tego wszystkiego, co może być urzeczywistnione lub oglądane na drzewie bytu. Pod tym względem św. Tomasz ma wielką przewagę nad Arystotelesem, w którego metafizyce aspekt istoty ma przewagę nad aspektem istnienia.

Płynie z tego oczywisty wniosek, że metafizyka św. Tomasza jest par excellence metafizyką realistyczną. Nazwanie takiej metafizyki idealistyczną jest grubą nieznamościami.

Współcześni egzystencjaliści przypisują sobie wyższość nad tomizmem, który rzekomo ma się zajmować oderwanymi istotami, a oni, egzystencjaliści, biorą za przedmiot swych dociekań samą rzeczywistość — istnienie.

Trzeba jednak stwierdzić, że w istotnym sensie tego słowa metafizyka tomistyczna jest par excellence metafizyką egzystencjalistyczną, gdyż jej przedmiotem jest istnienie w swoim najwyższym intelektualnym ujęciu. Egzystencjaliści natomiast nie przekraczają sfery zmysłowej, biologicznej, psychologicznej lub psychologiczno-parenetycznej. Ze względu wszakże na umowne i dość sprecyzowane znaczenie terminu „egzystencjalistyczny” nie nazywa się filozofii tomistycznej egzystencjalistyczną. Oto co znaczy wyrażenie, iż przedmiotem metafizyki tomistycznej jest byt jako byt. Tu leży sekret jej wieczystości. Nie jest ona systemem (powiązaniem abstrakcyjnych pojęć), lecz żywym organizmem; przez aspekt istnienia ma bowiem do czynienia z autentyczną rzeczywistością, zawsze gotową wyjawiać niewyczerpane bogactwa swoich tajemnic. Dlatego taka metafizyka nie będzie nigdy „średniowieczną”. Bo nie może być „średniowieczną” rzeczywistość stanowiąca jej przedmiot. Taka metafizyka może przestać istnieć, ale ze światem. Taka metafizyka nie może ograniczać się do tego, co umysł ludzki wiedział o rzeczach w wieku XIII, lub do tego, co wie o nich w wieku XX. Tomizm nie będzie nigdy „reliktem średniowiecza”. Przez swój dogłębny realizm będzie zawsze mądrością świeżą, postępową, zdolną do odnowienia i wzrostu. Słusznie powiedział Lacordaire, że tomizm nie jest kresem, lecz pochodnią.(6)

Wniknijmy jeszcze głębiej w ducha metafizyki tomistycznej. Co znaczy, że przedmio-

tem metafizyki jest byt jako byt? Gdy człowiek zbudzi się ze snu świata zmysłowego, gdy uwolni się od uroku wyobrażeń, formuł, słów, znaków i symboli praktycznych, wówczas jego umysł spostrzega nową, wstrząsającą rzeczywistość — fakt istnienia. W tym momencie, gdy człowiek stwierdzi ten przejmujący, a zarazem olśniewający i upajający fakt: ja istnieję i świat istnieje, w tym momencie znajduje się on w posiadaniu intuicji bytu wraz ze wszystkimi powiązaniem w niej zawartymi, o przepaścistych wyniarach. W tym momencie człowiek przeżywa wspaniały dramat metafizyczny. — Intuicja bytu zawiera w sobie dwa momenty: nieubłagany fakt istnienia rzeczy oraz odczucie własnego istnienia dotkniętego nicością i śmiercią. W tym intuicyjnym przebiegu pojawia się trzeci moment: stwierdzam, choć niejasno, że fakt mego istnienia i fakt istnienia świata zakłada konieczność istnienia doskonałego, absolutnego.

Wtedy, na drugim etapie, następuje bezpośrednio rozumowanie, szybkie, spontaniczne, tak naturalne jak i sama intuicja aktu istnienia. — Rozumowanie bez słów, tak zwarte i nagłe, że wyrażone w mowie zatracą swój dynamizm. W tym rozumowaniu stwierdzam, że moje istnienie narażone jest na niebezpieczeństwo śmierci, że moje istnienie, mój byt zawierający domieszkę nicości, domaga się dla swego trwania — istnienia bytu bez nicości. Ale oto jeszcze jedno spontaniczne spostrzeżenie: wszechświat, którego stanowią cząstkę, dlatego jest bytem z domieszką nicości, że to właśnie ja stanowią jego cząstkę. Musi zatem istnieć Byt bez nicości. On musi być podstawą, źródłem i racją wszechświata. W ten sposób znalazłem się w obliczu Boga. Intuicja bytu, intuicja aktu istnienia doprowadziła mnie do stwierdzenia, że Bóg istnieje.(7)

Oto co znaczy twierdzenie, że przedmiotem metafizyki tomistycznej jest byt jako byt. A więc jej ostatecznym przedmiotem jest Byt najwyższy, Przyczyna Pierwsza wszelkiego innego bytu. Po stopniach intuicji aktu istnienia w rzeczach doszliśmy do Istnienia absolutnego, nieskończonego. I nie jest to żadna apriorystyczna, idealistyczna konstrukcja ludzkiego umysłu, lecz mowa realistyczna, potężne wołanie rzeczywistości danej w doświadczeniu.

Akt istnienia w rzeczach jest głównym nerwem dowodów na istnienie Boga. To przez swoje istnienie rzeczy realizują swę podobieństwo z Bogiem. Pisze Akwinata — Omne ens in quantum habet esse, est ei simile. (C. Gentil., II, 22) — Wszystkie rzeczy — mówi Pascal — kryją w sobie pewną tajemnicę; wszystkie rzeczy stanowią zasłonę ukrywającą Boga. — Św. Tomasz z nie mniej wymowną prostotą niż myśl Pascala mówi: „Deus est in omnibus rebus et intime”. Bóg — Istnienie nieskończone — przenika rzeczy w ich najgłębszej tajni, w ich akcie istnienia.

To powiązanie ograniczonych aktów istnienia w rzeczach stworzonych z Tym, który o sobie powiedział: „Ja jestem Ten, Który jestem”, nie może być odkryte przez żadną

(4) por. Maritain J., Sept Leçons, dr. c. 18.

(5) por. tamże, 96-97.

(6) por. Gilson E., Thomisme, Paris 1944.

(7) por. Maritain J., Approches de Dieu, Paris, 11-14.

inną naukę poza metafizyką. Oto dlaczego metafizyka tomistyczna nie może być „średniowieczną”. Powiązanie świata z jego Pierwszą Przyczyną będzie zawsze zagadnieniem aktualnym dla wszystkich pokoleń ludzkich i dla wszystkich epok dziejów. Od rozwiązania tego zagadnienia zależy będzie sens wszelkiej cywilizacji. W każdej epoce to zagadnienie musi być rozwiązywane na nowo.

Słynne „pięć dróg” św. Tomasza nie są niczym innym jak tylko naukowym filozoficznym rozwinięciem tego podstawowego dowodu opartego na intuicji aktu istnienia. W perspektywie takich systemów filozoficznych jak: sceptycyzm, nominalizm, empiryzm, kantyzm, idealizm, pragmatyzm, pozytywizm, materializm dialektyczny lub egzystencjalizm nie łatwo jest uchwycić tych „dróg” wartość dowodliwą. Dlaczego? — Bo systemy te, aczkolwiek z punktu widzenia historii idei należą do wielkich systemów filozoficznych, stwarzanych przez wielkich, a może często przez genialnych myślicieli, to jednak z punktu widzenia wartości przedmiotowej poszczególnych typów ludzkiego poznania ani sceptycyzm, ani nominalizm, ani empiryzm, ani kantyzm, ani idealizm, ani pozytywizm, ani materializm dialektyczny lub egzystencjalizm nie przekraczają progu, od którego zaczyna się prawdziwa wiedza filozoficzna, a szczególnie wiedza metafizyczna. (8)

Metafizyka tomistyczna, dzięki swemu realizmowi, metodzie i wnikliwości, panuje nad tymi systemami, niezależnie od czasu, w jakim one powstawały. Ta metafizyka, opierając się o intuicję aktu istnienia, posiada moc dowodliwą w kwestii istnienia Boga.

PRZESADY I NIEPOROZUMIENIA

W starożytności i w wiekach średnich nauki przyrodnicze i filozoficzne wzajemnie się zazębiały. Między nauką o świecie fizycznym a między nauką o Bogu zachodziła pewna ciągłość. Umysły dawnych myślicieli do tego stopnia były oswojone z atmosferą metafizyczną, że nie widzieli oni większych trudności w odczuciu podstawowej intuicji aktu istnienia. Dlatego w oparciu o tę intuicję potrafili rozwijać dowody na istnienie Boga z pewną łatwością i logiczną ścisłością.

Inne jest nastawienie umysłowe w epoce nowoczesnej. Agnostycyzm i pozytywizm, matematyzm i empiryzm, relatywizm i scjentyzm tak głęboko przeniknęły współczesną umysłowość, że wierząc nauce, odrzucono prawdę. Kantowska fenomenistyczna koncepcja świata nadała nauce charakter jakiejś wielkiej iluzji, pozwalającej człowiekowi panować nad przyrodą. Sprawność metafizyczna umysłu (*habitus metaphisicus*) uległa atrofii. Odczucie bytu, tej najgłębszej rzeczywistości, zostało nowoloi a systematycznie wyparte z mentalności współczesnego człowieka. W ten sposób wytworzyło się nastawienie wysoce nieprzyjemne dla metafizyki.

Wśród uczonych katolickich zasadniczo przyjmujących tomizm czasem dają się zauważyć pewne charakterystyczne odchylenia. Ks. I. Różycki w artykule „Dowód teleologiczny na istnienie Boga” (9) pisze: „Ujęcie nowoczesne (dowodu z celowości — dop. autora) nie wymaga oświecenia przyjęcia drugorzędnych tez metafizyki tomistycznej; domaga się natomiast ujęcia tomaszowe (w szczególności tezy: *omne agens agit propter*

finem) i z tego powodu traci wydatnie na aktualnej wartości apologetycznej”.

Przede wszystkim trzeba zauważyć, że w tomizmie zasada celowości nie należy do „drugorzędnych”, ale do zasad pierwszych, oczywistych.

Kto odrzuca zasadę celowości, ten konsekwentnie musi odrzucić zasadę racji dostatecznej. Kto zaś odrzuci zasadę racji dostatecznej, musi również odrzucić zasadę tożsamości. W tomizmie celowość wynika z intuicji bytu jako zasady działania. Św. Tomasz w żaden sposób nie mógłby oddzielić przyczyny sprawczej od przyczyny celowej.

W tym samym artykule ks. Różycki: „nie każdy ład musi pochodzić z celowości” (str. 422). Można zapytać — jeżeli w przyrodzie znajdziemy choć jeden ład, nie będący wynikiem działania celowego, to dlaczego wszelki inny ład nie mógłby być rezultatem ślepych sił? Skoro ks. Różycki uważa, że przez odrzucenie zasady celowości w przyrodzie martwej jego argumentacja zyskuje większą moc apologetyczną, to należy się zastrzec, że nowoczesność podążająca do człowieka dzisiejszego nie może polegać na kwestionowaniu zasad, lecz na takim ich przedstawieniu, aby człowiek ten mógł je przyjąć.

Wydaje się, że nieporozumienie leży w pojmowaniu zasad metafizycznych na model empirystyczny. Ks. Różycki pisze: „Wiele objawów ładu zdołała fizyka wytłumaczyć działaniem ślepych sił, bez odwołania się do celowości” (str. 423). — Tak, to prawda, ale trzeba pamiętać, że zasada celowości zajmuje się nie fizyka, lecz filozofia.

Zjawisko odchylenia od zasad tomizmu występuje w znacznie większym stopniu u ks. K. Kłósaka. W różnych artykułach i rozprawach atakował niektóre dowody św. Tomasza na istnienie Boga. Niesposób wdać się tu w szczegółową dyskusję. Można natomiast zauważyć, że ta krytyka przechodzi mimo i nie dotyka w sposób istotny nauki Akwinaty. Jest ona raczej pewnego rodzaju logistyczną, formalistyczną dialektyką, zniekształcającą bogatą, syntetyczną myśl św. Tomasza. Wybitna przewaga intelektu dyskutującego nad intelektem poznającym głębie rzeczywistości.

Aby nie być gołosłownym, przyjrzyjmy się choć w najogólniejszym zarysie, w jaki sposób ks. Kłósak atakuje trzeci dowód św. Tomasza na istnienie Boga — dowód z przygodności rzeczy. (10)

Ks. Kłósak pisze: „Dowody, jakie św. Tomasz przedstawia w *Summa Contra Gentiles*... oraz w *Summa Theologiae*... wychodzą nie z aspektu przygodności w rozumieniu nowożytnym, ale z zaoczerniętego z „fizyki” Arystotelesa rozróżnienia między bytami zniszczalnymi i niezniszczalnymi.

Po sto razy można odczytywać tekst trzeciego dowodu z *Summy Teologicznej* (tak samo i z *Summy Contra Gentiles*), a nie znajdziemy w nim żadnej „fizyki” Arystotelesa; dowód ten jest podany w swej najczystszej postaci filozoficznej, w formie tak syntetycznej, że można by napisać cały traktat, aby wyświetlić wirtuallnie zawarte w nim bogactwo myśli. Św. Tomasz mógł podać ten dowód w takim skondensowanym skrócie, gdyż na innych miejscach swej nauki wyświetlił obszernie składowe jego elementy (np. naukę o różnicy między istotą a istnieniem). Jeżeli św. Tomasz w „pięciu drogach” czasem powołał się na fizykę Arystotelesa, to tylko tytułem ilustracji swoich tez metafizycznych. Jednak — com-

paraison n'est pas raison. W argumentacji św. Tomasza elementy fizyki nigdy nie stanowią formalnego czynnika w dowodach na istnienie Boga.

Trudno pojąć twierdzenie ks. Kłósaka na str. 636, jakoby św. Tomasz nie utożsamiał bytu przygodnego z bytem, do którego istoty nie należy istnienie; podobnie i na innym miejscu, gdy autor twierdzi, że św. Tomasz nie operował swego dowodu na uwzględnieniu różnicy między istotą a istnieniem. Św. Tomasz, jak nikt inny, rozumiał i uzasadnił naukę o rozróżnieniu rzeczywistym między istotą a istnieniem, zdawał sobie sprawę, że bytem przygodnym jest taki byt, do którego istoty nie należy istnienie.

Wręcz zabawne jest twierdzenie ks. Kłósaka na str. 655, gdzie zachwyca się on przewagą Leibniza nad św. Tomaszem, a nawet trzeci dowód *Summy Teologicznej* nazywa paralogizmem. Wiadomo przecież, że u Leibniza dowody na istnienie Boga mają charakter aprioryczny. Natomiast dowody św. Tomasza, oparte na intuicji aktu istnienia, mają charakter realistyczny.

Zamknijmy wszakże ten nawias polemiczny i wróćmy do metafizyki Doktora Anielskiego.

AKTUALNOŚĆ METAFIZYKI TOMISTYCZNEJ

Dzieje współczesne są pełne lęku i absurdu. Mowa ludzka, ludzki język w całym świecie często ztracił swój sens i swój honor. Prasa i radio całego świata, obok wielu prawd autentycznych, codziennie podaje niezliczone kłamstwa. Ludzie ztracają niekiedy rozpoznanie prawdy. Byli tak systematycznie oszukiwani i okłamywani, że do tego przywykli i codziennie potrzebują pewnej dozy kłamstwa, podobnie jak morfinista pragnie swej dozy narkotyku, chociaż wie, że to mu nic nie pomoże. Dlatego wielu ludzi zamyka się w sobie i nikomu ani niczemu nie wierzy. (11)

Ludzkość pozbawiona prawdy łatwo ulega mitom. Zjawiają się wtedy fałszywi prorocy i znajdują lud niezdolny do odróżnienia prawdy od fałszu. Luter, Kant, Hegel, Hitler poprzez idee i filozofię przyczynili się do powstania „religii germańskiej”, która doprowadziła do dwu katastrof światowych.

Brak szacunku dla metafizyki jest wyrazem ogólnego spłycenia. Wydaje się, że prawda czysta jest pokarmem zbyt mocnym, że umysły ludzkie wolą karmić się prawdami pomniejszonymi. Stąd ten marazm, nuda, obrzydzenie przejawiające się we współczesnym egzystencjalizmie atystycznym. „I spustoszenia jest ziemia, desolacyjne desolata, bo nie ma nikogo, kto by myślał w jej sercu”. (12)

(8) por. Maritain J., *Approches de Dieu*. Paris, 25-26.

(9) por. *Collectanea Theologica III* (1955), 418.

(10) por. Dzieje argumentu z przygodności rzeczy, art. w *Collectanea Theologica IV* (1955).

(11) por. Maritain J., *La signification de l'athéisme contemporain*, Paris 1949, 39-40.

(12) por. tenże, *Antimoderne*, Paris 1922, 59-60.

U wielu sama idea absolutu wywołuje przerażenie i omdlenie. Sofisci storożytnej Grecji wierzyli w naukę, ale nie wierzyli w prawdę. Historia nowożytna była i jest świadkiem zjawiska podobnego i to w rozmiarach daleko szerszych.

Nie można lekceważyć metafizyki dlatego, że nie nadaje się ona do celów bezpośrednio użytecznych. „Po niebie nie można orać”. J. Maritain przypomina, że nie tyle trzeba nam prawd, które by nam służyły, ale przede wszystkim potrzeba nam Prawdy, której my byśmy służyli. Tylko prawda bezwzględna jest trwałą podstawą ładu, postępu, cywilizacji. (13) Tylko w blaskach takiej prawdy wszystkie nauki i cała technika mogą znaleźć swój istotny sens i prawdziwe bezpieczeństwo dla ludzkości. Metafizyka wzięta w sobie jest poza kręgiem rzeczy bezpośrednio użytecznych i dlatego jest ona rzeczą najbardziej konieczną. Nie dotyczy bowiem środków, ale celów. Nie samym chlebem, witaminą, żyją człowiek, ale również, a nawet przede wszystkim wartościami, które są ponad czasem, które zasługują, aby były poznane i przyjęte dla nich samych.

Zbliżenie i zjednoczenie narodów świata wymaga mowy powszechnej, przekraczającej doraźne potrzeby polityczne i narodowościowe. Jest nią mowa dogłębna, docierająca do samych źródeł życia i jego przeznaczeń — filozofia. „Tylko z metafizyki można wydobyc wielkie hasła na dole i niedole w chwilach ogólnej przebudowy społeczeństwa” — stwierdza głęboki myśliciel polski ks. K. Michalski. (14) A św. Tomasz na początku komentarza do drugich Analitik Arystotelesa pisze — Genus humanum arte et ratione vivit. Nie wojną, nie przewagą, panowaniem i wyższością, ale sztuką, nauką i techniką, a przede wszystkim mądrością żyje rodzaj ludzki. Czy to mówi myśliciel „średniowieczny”? — Nie, to ktoś, kto jakby z nami przeżywał wielkie udrczenie i wielki niepokój ludzkości.

Platon mówi, że rzeczy piękne są trudne.

Metafizyka jest rzeczą wielką i piękną. Dlatego jest trudna. Rodzaj ludzki znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie, a nawet w sytuacji bez wyjścia, gdyby się uchylał od poszukiwania rzeczy wielkich i pięknych, związanych z życiem duchowym.

Sama mądrość filozoficzna nie wystarcza. Ani do zbawienia człowieka. Ani do ocalenia świata. Dla chrześcijanina filozofia nie jest celem najwyższym. Porządek intelektualny nie może zaspokoić głodu człowieka. Nie wystarczy posiadać byt w formie czysto umysłowej — jako prawdę. Człowiek całym ciężarem dąży, całą mocą swej jaźni do połączenia się z nim, jako dobrem. Nie zadowala nas kontakt z aktem istnienia poprzez samo poznanie. Przez miłość pragniemy złączyć się z rzeczywistością w sposób eksperymentalny. I jedno z dwojga: albo człowiek przez miłość złączy się z Bogiem, albo zatraci się w zmysłowości. Innego wyboru nie ma. Mądrość metafizyczna nie jest zdolna doprowadzić do połączenia się z Bóstwem; przerasta to wszystkie naturalne zdolności człowieka. To, co jest skończone, nie może objąć nieskończoności. I na tym polega wielka niedza metafizyki.

Mądrość metafizyczna jednak obudza w nas pragnienie oglądania Boga. I chociaż to pragnienie ze swej natury jest bezskuteczne, to jednak w pewnym sensie prowadzi ono do innej wyższej Mądrości, tej, która była zgorszeniem dla Żydów a szaleństwem dla pogan.

Metafizyka nie jest drzwiami do świata nadprzyrodzonego. Jedyne są drzwi, do królestwa Łaski — Jezus Chrystus.

Metafizyka przez swe najwyższe osiągnięcia i tęsknotę, którą powoduje, jest oknem na świat nadprzyrodzony. I na tym polega jej wielkość. Tę prawdę, choć w formie nieco przesadnej, bo paradoksalnej, wypowiedział Chesterton: „Skoro XVIII wiek uważał się za wiek rozumu, a wiek XIX za wiek zdrowego rozsądku, to wiek XX nie może, jak dotąd, starać się być czymś więcej, jak wiekiem niezwyklego nonsensu. W tych wa-

runkach świat potrzebuje świętego, ale ponad wszystko potrzebuje filozofa”. (15)

Dodajmy od siebie, że świat potrzebuje szeregu filozofów, którzy by na prostowali umysły współczesne i uzdolnili je do przyjęcia daru łaski i miłości nadprzyrodzonej. Ale świat posiada już filozofa par excellence, którego nazywamy Doktorem Anielskim, nie tylko dlatego, że czystością serca naśladował Aniołów, ale i dlatego, że geniuszem umysłu i wspaniałą intuicyjną wnikliwością poznawczą przypomina świat duchów czystych. „Trzeba być wielkim poetą, aby być poetą nowoczesnym”. (16) Można powiedzieć, że trzeba być wielkim filozofem, aby być filozofem nowoczesnym. Doktor Anielski i Powszechny jest największym filozofem ludzkości i dlatego, chociaż żył w wiekach średnich, nie jest „średniowiecznym” myślicielem. Zasady jego filozofii, a zwłaszcza metafizyki, nie są mniej aktualne w naszym wieku, niż ongiś w wieku XIII.

Kształt wieku obecnego nie jest kształtem upragnionym przez ludzkie serce, ani kształtem wymaganym przez Ducha Świętego. Tomizm jest nadzieją nie tylko naszych czasów, ale i wieków przyszłych. Dlatego jeden z najwierniejszych uczniów św. Tomasza, J. Maritain, mógł napisać: „trzeba było sześciu wieków (od śmierci św. Tomasza do ukazania się encykliki Leona XIII „Aeterni Patris”), aby świat zrozumiał, iż — kształtując umysł Tomasza i dając ludzkości to wielkie światło — Bóg obdarował swój Kościół najcudowniejszym może od czasów apostoelskich charyzmatem.” (17)

Ks. prof. dr Władysław Giszter

(13) por. Maritain J., Degrès du savoir. Paris 1946, 8.

(14) por. Tomizm wobec współczesnej filozofii dziejów.

(15) por. Św. Tomasz z Akwinu, Katowice 1949, 18.

(16) por. Maritain J., Art et scholastique. Paris 1920, 185.

(17) tenże, Antimoderne, dz. c. 143.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ŚWIECKICH

(Dokończenie ze str. 2)

cenzura filmów i wszelkie zarządzenia zarówno Kościoła jak i państwa, dla zachowania moralnej atmosfery społeczeństwa od zepsucia.

Apostolstwo świeckich polega na tym, że człowiek świecki podejmuje się zadania wynikającego z misji, jaką Chrystus powierzył Kościołowi... Ale nie wszyscy chrześcijanie są powołani do apostolstwa świeckich w ścisłym znaczeniu. Biskup powinien mieć możliwość wyboru współpracowników spośród ludzi nie tylko chętnych, ale i odpowiednio uzdolnionych, gdyż same dobre chęci nie wystarczają.

Wobec tego apostołowie świeccy tworzyć będą zawsze elitę nie dlatego żeby mieli stać z dala od innych, ale przeciwnie, dlatego, że zdolni są pociągnąć

innych i wpływać na nich. Rozumie się, że obok ducha apostołstwa, który ich ożywia, muszą oni posiadać zaletę, bez której uczyniliby więcej złego niż dobrego, a mianowicie: takt...

Pragniemy zwrócić uwagę naszą szczególnie na jeden z elementów wychowania młodych katolików, mianowicie na kształcenie w nich ducha apostołstwa. Zamiast nieco egoistycznych skłonności do myślenia tylko o zbawieniu własnej duszy, należy rozwijać w nich również poczucie odpowiedzialności w stosunku do innych i zachęcać do szukania sposobów dopomożenia im: duch apostołstwa zaszczepia się w sercu dziecka nie tylko w szkole, ale na długo przed wiekiem szkolnym — dzięki staraniom samej matki. Dziecko powinno nauczyć się jak ma się modlić w czasie Mszy św., jak składać świętą ofiarę z intencją obejmującą cały świat, a przede wszystkim dobro najważniejszych spraw Kościoła. Badając swe sumienie co do obowiązku wobec bliźnich trzeba by nie tylko stawiało sobie

pytanie: czy zawiniłem wobec bliźniego?, ale również: czy pomogłem mu odnaleźć drogę wiodącą do Boga, do Chrystusa, do Kościoła i do zbawienia.

Apostoł świecki czynny w jakiejś dzielnicy miasta, któremu powierzona jest grupa domów w parafii, powinien starać się dokładnie zbadać sytuację religijną mieszkańców. Czy warunki mieszkaniowe są złe, lub nieodpowiednie? Kto potrzebuje pomocy instytucji dobroczynnych? Czy są wśród mieszkańców związki nieślubne, wymagające doprowadzenia do sakramentu małżeństwa? Dzieci do ochrzczenia? Jaki jest stan kiosków z czasopismami, księgarni i bibliotek ruchomych w dzielnicy? Co czytają młodzi i dorośli? Złożoność i delikatność spraw do rozwiązania w tym typie apostołstwa wymaga, by powoływać doń tylko wybraną elitę, obdarowaną taktem i prawdziwą miłością chrześcijańską...

Według komunikatu PKSU Veritas Nr. 2/90/1958 z 25.2.1., „Czynu katolickiego, Nr. 3)

KU UJARZMIENIU ENERGII WODOROWEJ

TADEUSZ FELSZTYN

Całe życie na ziemi, wszystkie nasze źródła energii, za wyjątkiem kilku dotąd zaledwie uruchomionych elektrosiłowni atomowych, zawdzięczają swe pochodzenie energii promieniowania, jaką ziemia otrzymuje od słońca. Ta zaś energia, podobnie jak i energia promieniowania gwiazd, jest wynikiem przemian jądrowych zachodzących we wnętrzu słońca. Jest więc rzeczą naturalną, że myśl ludzka starała się rozwiązać pytanie, czy nie można by tego samego procesu wykorzystywać dla celów energetycznych i na ziemi.

Pierwsze przebliski idei, że dwa jądra lekkich atomów, zderzając się ze sobą — po pokonaniu olbrzymich sił elektrostatycznego odpychania — mogą stopić się ze sobą w jedno jądro cięższe, pojawiły się już w 1934 roku. Były to doświadczenia Oliphanta w Cavendish Laboratory pod kierownictwem lorda Rutherforda. Dopiero jednak w 1939 roku fizyk amerykański, Bethe, zdołał opracować pierwszą możliwą do przyjęcia hipotezę, w jaki sposób ta przemiana odbywa się we wnętrzu gwiazd, gdzie temperatury wielu milionów stopni pozwalają szybko biegnącym jądrom atomów zderzać się ze sobą. Jeśli ta hipoteza odpowiada prawdzie — a wszystko dotąd wydaje się ją potwierdzać — to, niestety, należy zrezygnować z myśli jej zastosowania na ziemi. Zachodzące we wnętrzu gwiazd procesy jądrowe są bowiem bardzo powolne, trwają miliony lat. Dla gwiazd, których życie liczy się w tysiącach milionów lat, czasokres ten nie gra żadnej roli, masa gwiazd jest bowiem dostateczna, aby średnie natężenie tego procesu zupełnie wystarczało na podtrzymanie jej promieniowania. Dla naszych jednak potrzeb na ziemi jest to stanowczo czas za długi.

W 1950 roku zaczęto poważnie myśleć nad innymi sposobami realizacji tego samego celu, uzyskiwania energii ze stapiania jąder lekkich atomów. A wybuch pierwszej bomby wodorowej, w 1952 roku, potwierdził te teoretyczne obliczenia.

Co innego jednak wybuch, gwałtowna reakcja, trwająca wszystkiego milionowe części sekundy, a co innego wykorzystanie tej samej reakcji w sposób powolny, opanowany. To dopiero mogłoby być naprawdę ujarzmieniem energii wodorowej.

Podstawy teoretyczne. Z wielu możliwych reakcji, dwie jedynie rokują nadzieje na pokojowe ich wykorzystanie. Pierwsza — to łączenie się ze sobą dwu jąder wodoru ciężkiego, deuteru, w jedno jądro helu. Reakcja ta, gdyby istotnie była możliwa, byłaby dość poważnym źródłem energii. Niestety jednak, jak wynika z niedawno dopiero podanych do publicznej wiadomości danych, gdy dwa jądra deuteru zderzą się ze sobą, powstaje w ten sposób nowe jądro ma energię tak dużą, że musi się znów rozlecieć, wydzielając albo dość rzadki w przyrodzie izotop helu, hel 3, o masie tylko trzy razy większej niż wodór (hel zwykły jest czterokrotnie cięższy od wodoru), albo też najcięższy izotop wodoru, wodór 3, zwany trytem, również niezmiernie rzadki na ziemi. W obu tych wypadkach zostaje również wydzielona cząsteczka elementarna, neutron w pierwszym, proton w drugim wypadku.

Te jednak tak utworzone jądra atomowe, hel 3 i tryt, nędzal zderzają się z jądrami deuteru, z czego w każdym wypadku wynika

powstanie jądra helu 4, a więc helu zwykłego. W rezultacie więc całkowita reakcja dałaby się wyrazić równaniem, że trzy jądra deuteru dają w ostatecznym wyniku jądro helu oraz wolny neutron i wolny proton. Wydzielona przy tej sposobności energia jest — na jednostkę masy — przeszło cztery razy tak wielka jak energia rozszczepiania uranu.

Drugi możliwy proces — to łączenie się jąder trytu i deuteru, czego wynikiem jest powstanie jądra zwykłego helu i jednego wolnego neutronu. Tryt jednak, jak to już wspomnieliśmy, jest materiałem bardzo rzadkim na ziemi, tak że wytwarzać go należy sztucznie w stosach atomowych, bardzo wysokim kosztem. Jest jednak i na to rada. Gdy szybki neutron uderzy w jądro litu, metalu nie tak znów rzadkiego na ziemi, a raczej jego izotopu, litu 6, powstaje nowe jądro jest tak napełnione energią, że rozpada się na jądro helu i jądro trytu. W rezultacie więc, gdy spowodujemy proces stapiania się jądra deuteru i jądra litu 6, otrzymamy w rezultacie dwa jądra helu i energię czterokrotnie większą od tej, jaką daje — na tę samą masę — rozszczepianie uranu.

Oba te procesy zachodzą już przy temperaturach kilku milionów stopni. Jest to jednak wtedy proces bardzo mało wydajny. Ilość utworzonych nowych jąder jest tylko bardzo drobnym ułamkiem ilości atomów deuteru, względnie deuteru i litu, w materiale wyjściowym. Aby uzyskać większą wydajność, należy podnieść temperaturę gazu do około 40 milionów stopni dla reakcji deuteru i litu, (która, nawiasem mówiąc, jest prawdopodobnie podstawową reakcją bomby wodorowej), a do przeszło stu milionów stopni w wypadku czystego deuteru.

Z tego punktu widzenia reakcja deuter-litu wydaje się korzystniejsza. Lit jednak, choć teoretycznie 350 razy obfitszy we wszechświecie niż uran, zawiera potrzebny nam izotop, lit 6, tylko w ilości 7,5%, co zmniejsza jego obfitość do 26-kroć tylko. Nie jest to więc metal zbyt częsty, zwłaszcza że nie zawsze teoretyczna jego zawartość w skorupie ziemskiej odpowiada rzeczywistej obfitości w dostępnych nam rudach. Natomiast deuter jest zawarty w wodzie w ilości 40 gamów na tonę wody. O ile więc zapasy uranu, przy niestannie wzrastającym jego spożyciu, wyczerpią się już za kilka setek lat, a zapasy litu też nie potrwają o wiele dłużej, to wodór ciężki, zawarty w wodzie morskiej, wystarczy — przy najbardziej pesymistycznych obliczeniach — na tysiąc milionów lat, więc na dość chyba czasu, aby nauka poszukała nowych źródeł energii.

I to właśnie jest powodem, że prace nad energią wodorową, tak w Angli, jak i w Rosji i Stanach Zjednoczonych, skupiły się nad procesem łączenia ze sobą jąder deuteru.

Trudności do pokonania. Niestety, droga do realizacji tych zamierzeń leży się wielu przeszkodami. Pierwsza jest wysoka temperatura. Kilka lat temu zaledwie temperatura 5.000° C. była maksimum tego, co osiągnąć mogła nauka — poza jedynie wybuchem bomby atomowej. Osiągnąć co prawda sporadycznie i temperatury wyższe, nie były to jednak procesy, które by można było wykorzystywać na większą skalę.

Drugą trudnością jest problem naczyń,

w którym ma się odbyć ta reakcja. Jeśli nawet i otrzymamy tak wysoką temperaturę, to jak uniknąć, aby w zetknięciu ze ścianami naczyń nie spowodowała ona natychmiastowego ulotnienia? Jak temu przeszkodzić, aby tak wysoko ogrzane gazy nie ochłodziły się natychmiast po zetknięciu się ze ścianami naczyń, przerywając reakcję jądrową?

W Anglii prace w tym kierunku były bezpośrednim wynikiem doświadczeń, jakie zapoczątkował jeszcze S. R. George Thompson w 1946 roku, a po nim przejął je Australijczyk dr Thonemann, główny konstruktor pokazanego prasie w dniu 23 lutego 1958 roku zbudowanego w Harwell aparatu do ujarznienia energii wodorowej, zwanego „Zeta”. W tym samym kierunku szły również i prace, tak w Rosji, jak i w Stanach Zjednoczonych.

Fizyczna ich zasada jest dość prosta. Gdy przez drut przepływa prąd elektryczny, wytwarza się dokoła drutu pole magnetyczne. Gdy zamiast jednego drutu, mamy ich więcej, pole to zaciska się dokoła nich, jak obroza, i zmusza je do skupienia się tym silniejszego, im silniejszy jest prąd, który przez te druty przepływa. Jeśli — zamiast drutów — przepuścimy taki prąd przez mocno rozcieńczone gazy, skupią się one w cienką nitkę wewnątrz naczyń. To ściśnięcie się gazów (pinch effect, jak mówią Anglicy) wywołuje skutek dwojaki. Z jednej strony ciepło, wytworzone przez przepływający przez gaz prąd elektryczny skupia się w małym strumieniu zamiast w szerokim naczyń, a tym samym temperatura tego strumienia gazów silnie wzrasta, osiągaając w wypadku „Zety” pięć milionów stopni. Po drugie, strumień ten tworzy się w środku naczyń, przez które przechodzi prąd, a tym samym nie ogrzewa wewnętrznych jego ścian i sam nie ulega ochładzaniu.

Prace w Harwell zapoczątkowano już dość wcześniej, toteż, gdy 25 kwietnia 1956 roku fizyk rosyjski, Kurczatow, wygłosił w Harwell odczyt o osiągnięciach rosyjskich na tym polu, nie były one dla uczonych w Harwell żadną rewelacją.

Ten proces tworzenia wąskiego strumienia gorących gazów we wnętrzu naczyń ma jednak szereg wad. Pierwsza z nich to niesłychana nietrwałość tego strumienia. Pod wpływem nieuniknionych zaburzeń w gazach tych powstaje szereg wybrzuszeń, w których gazy zaczynają gwałtownie oscylovać, to w jedną, to w drugą stronę, i już po kilku milionowych częściach sekundy cały gaz wewnątrz naczyń zmienia się w gwałtowne fale, niby bałwany morskie, fale, które uderzają w ściany naczyń i ochładzają gaz. W rezultacie, piękna, równa struga ściśnionych gazów po kilku milionowych częściach sekundy przemienia się w kłębowisko wirów i fal, proces jądrowy się więc przerywa.

Walka z tą niestalością wytworzonej strugi była jedną z podstawowych trudności zagędnienia. Od jej pokonania zależało powodzenie całego przedsięwzięcia.

Z e t a. W Harwell udało się te trudności, w dużym przynajmniej stopniu, pokonać. Oczywiście, że nie udało się to od razu, trzeba było konstruować coraz nowe, ulepszone modele (Zeta jest czwartym modelem z rzędu), aż wreszcie powodzenie uwieńczyły próby.

Mysł przewodnia jest bardzo prosta. Owe falowania wytworzonych wybrzuszeń i zagięć są naturalnym następstwem sił, jakie każde takie wybrzuszenie wywołuje. Są one tak samo nieuniknione, jak nieuniknione są wahania wahadła, gdy się je wychyli z położenia równowagi. Wahania te można jednak tłumić, np. przez wprowadzenie dużego tarcia w miejscu zawieszenia wahadła. Taki czynnik tłumiący należało więc wprowadzić i do wnętrza naczynia z gazem. W Harwell zastosowano do tego celu pole magnetyczne, równoległe do kierunku prądu, który przechodzi przez te gazy, a wywołane w naczyniu przez odpowiednie jego uzwojenie.

Pole to zapobiega tworzeniu się kolanek w strumieniu gazów, nie może jednak przeszkodzić przybliżeniu się tej strugi do ścian naczynia, a więc ruchom strugi w bok. Aby i temu przeciwdziałać, zastosowano w Harwell naczynia z metalu (glinu), zamiast dotychczasowych naczyń ze szkła. Ma to pewną wadę, gdyż glin bardziej ulega korozji, niż szkło, w zamian za to jednak każdy ruch gazów w kierunku ścian wywołuje w nich prądy błądzące (Eddy currents), które — jak każdy prąd elektryczny — wywołują pola magnetyczne, spychające strugę gazów z powrotem do środka naczynia. Dzięki temu udało się prąd gazów w naczyniu ustabilizować tak, że pozostaje on w doskonałej postaci równej strugi przez stosunkowo długi czas 5 tysięcznych sekundy.

Ostatnim wreszcie udoskonaleniem uczonych w Harwell było zastosowanie jako naczynia rury kolistej, niby opony samochodowej (torus), zamiast stosowanej w pracach rosyjskich i amerykańskich rury prostej. Ma to duże znaczenie, gdyż w rurze prostej strumień gazów z konieczności rzeczy uderza w elektrodę, oddając jej znaczną część swej energii, a tym samym temperatura gazów opada i proces jądrowy się przerywa. W rurze kolistej natomiast szybko biegnące zjonizowane cząsteczki wodoru ciężkiego i wolne elektrony biegną w koło, jak pies za własnym ogonem, a tym samym czas trwania wysokich temperatur jest znacznie dłuższy, co najmniej dziesięciokrotnie dłuższy, niż w badaniach amerykańskich.

Aby te myśli przewodnie można było zre-

alizować, torus Zety ma średnicę 3 metrów, a grubość wewnętrzną jednego metra. Zawarty w jego wnętrzu deuter jest mocno rozcieńczony, ciśnienie jego jest rzędu milionowych części milimetra, inaczej bowiem skupienie gazów wewnątrz rury nie byłoby możliwe. Skoro jednak w rurze nie ma elektrod, należy prąd elektryczny wywołać jakoś inaczej, a więc przy pomocy indukcji. W Zecie służy do tego uzwojenie pierwotne, nawinięte na rdzeń z miękkiej stali o kształcie dwu pierścieni. Uzwojeniem wtórnym jest gaz, zawarty wewnątrz rury. Aby prąd ten mógł być dostatecznie silny, a do tego jednokierunkowy, uzwojenie pierwotne połączone jest z kondensatorem o pojemności 16.000 mikrofaradów, tak że zawarta w nim energia elektryczna, po jego naładowaniu, wynosi 500.000 Jouli. Ponieważ do ładowania kondensatora stosuje się prąd o napięciu 25.000 wolt i natężeniu 4 amperów, więc ładowanie trwa ponad 5 sekund (uwzględniając straty ciepłe i inne). Natomiast rozładowanie trwa krócej niż 5 tysięcznych sekundy, skutkiem czego wywołany w torusie prąd wtórny ma moc od 30.000 amperów na początku wyładowania, do 200.000 amperów w chwili swego najwyższego natężenia. Ten potężny prąd wraz z efektem ściskania wywołuje w strudze gazowej temperaturę pięciu milionów stopni.

Aby jednak prąd ten mógł płynąć, należy w pierze deuter, zawarty w torusie, zjonizować. Elektrycznie obojętny gaz nie będzie bowiem przewodził prądu. Do tego celu służy prąd szybkozmenny, o częstotliwości równej bardzo krótkim falom radiowym (high frequency), który wykonuje wstępne zadanie jonizowania. Resztę zadania wypełnia prąd wzbudzony, który tak doskonale odziera jądra deuteru z ich elektronów, że w milionowych częściach sekundy gaz przestaje być zbiorowiskiem atomów, jak każdy gaz zwykły, a staje się, jak to się mówi, plazmą, tj. mieszaniną całkowicie obdartych z elektronów dodatnich jąder oraz wolnych elektronów, czyli zupełnie nowym zjawiskiem fizycznym, którego własności są dotąd bardzo mało znane, a którego badanie jest ulubioną pracą naukową wspomnianego dr. Thonemanna.

Perspektywy na przyszłość. Wynik prak-

tyczny Zety jest dotąd nikły. Wytworzona w niej energia, na skutek zachodzących w strumieniu gazów procesów jądrowych, jest bardzo mała: wynosi ona zaledwie jedną bilionową (bilion w znaczeniu angielskim — milion milionów) część energii włożonej w maszynę w postaci prądu elektrycznego. Jest to ilość tak mała, że maszyna słusznie nosi nazwę „Zeta“ (Zero Energig Thermo-nuclear Assembly).

Aby tę wydajność zwiększyć, należy podnieść temperaturę do rzędu stu milionów, albo nawet kilkuset milionów stopni i równocześnie przedłużyć czas ustabilizowanej strugi gazów do kilku sekund. Do tego celu potrzebne są przede wszystkim silniejsze kondensatory i dalsze ulepszenia w uzwojeniu pierwotnym, nad którymi się obecnie w Harwell pracuje. Wedle zapowiedzi sir John Cockrofta, kierownika zakładów w Harwell, jest wszelka nadzieja, że za rok, półtora, temperatura wewnątrz ulepszonej Zety wyniesie ponad 15 milionów stopni, a więc tyle, co temperatura we wnętrzu słońca.

Mimo jednak tak nikłej wytworzonej energii, Zeta jest niewątpliwym sukcesem nauki. Osiągnięte w niej temperatury są tak wysokie, że kilka lat temu nikt o nich nawet nie śmiał marzyć, i co więcej, wskazują drogę, jaką iść należy, aby uzyskać temperatury jeszcze wyższe. A wytworzone w Zecie neutrony wyraźnie wskazują na to, że reakcja jądrowa stapiania się trzech jąder deuteru w jedno jądro helu została zapoczątkowana. I to również jest otwarciem drzwi ku nowym możliwościom.

Nie znaczy to oczywiście, jakoby wodorowe elektrosiłownie były już bliską przyszłością. Od pierwszej niezdarnej maszyny parowej Savery'ego do pierwszej prawdziwej maszyny parowej Watta upłynęło przeszło sto lat; od pierwszego stosu atomowego Fermiego do elektrosiłowni w Calder Hall lat piętnaście. Nie trzeba się więc dziwić, że Sir John Cockroft, w odpowiedzi na uprzejme pytania dziennikarzy odrzekł, iż przy najbardziej optymistycznych przewidywaniach nie sądzi, aby pełną parą pracująca elektrosiłownia wodorowa była możliwa wcześniej, niż za jakichś lat dwadzieścia.

Tadeusz Felsztyn

WYDAWNICTWA BIBLIOTEKI POLSKIEJ W SUBSKRYPCJI

NA MARZEC 1958

JERZY PIETRKIEWICZ

ANTOLOGIA LIRYKI ANGIELSKIEJ 1300 — 1950

Ponad 120 wierszy i 60 nazwisk angielskich poetów, począwszy od anonimowych poematów XIII wieku, poprzez poezję elżbietańską, barok i klasycyzm aż do romantyzmu i poezji współczesnej — w opracowaniu świętego poety — tłumacza, wykładowcy School of Slavonic Studies na uniwersytecie londyńskim.

Obok tekstów polskich znajdują się w antologii oryginały wierszy angielskich i krótkie noty krytyczne.

NA KWIECIEŃ 1958

MARIAN CZUCHNOWSKI

SREBRNA OSTROGA ZBIÓR OPOWIADAŃ

ze szczęśliwego dzieciństwa dwojga dzieci w domu rodzinnym na Podkarpaciu. Czyta się je jednym tchem, tyle w nich pełnych uroku przygód, tyle piękna przyrody, takie wspaniałe opisy obrzędów i zwyczajów polskiej wsi. Odmalowane nie tylko z wybitnym talentem, ale i z miłością budzą one głęboki podziw dla piękna ojczystej ziemi i jej kultury. Książkę zdobną ilustracje, winiety i przerywniki utalentowanej graficzki JANINY CHRZANOWSKIEJ.

Z A M Ó W I E N I A :

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS“
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2, (ENGLAND)

Georges Rouault

Z sześciu gigantów: Bonnard, Braque, Leger, Matisse, Picasso, Rouault, zresztą różnej skali, którzy najwydatniej ukształtowali wizję malarską ubiegłego pięćdziesięciolecia naszego wieku, po odejściu Rouaulta, pozostaje już tylko dwóch żyjących — Picasso i Braque. Subiektywnie sądząc, wybrałbym spośród wymienionych sześciu trzy nazwiska: Picassa, Bonnarda i Rouaulta, jako największych malarzy okresu, a wśród nich, zmarłemu właśnie Georges'owi Rouault trudno nie przyznać tytułu największego religijnego malarza wieku dwudziestego, a może i największego chrześcijańskiego malarza religijnego od czasów El Greca.

Sztuka Rouaulta jest jak gdyby rzutowaniem i transformacją tęsknot wizyjnych średniowiecza, ściślej witraży romańskich i gotyckich, na naszą epokę. W odróżnieniu od wielu usiłowań dzisiejszego malarstwa, starającego się wyrzezać współczesność przez czysto formalną ekwilibrystkę, Rouault przynosi w swoich dziełach posłannictwo, piętnując z jednej strony brzydotę rozkładu moralnego, a równocześnie obejmując miłością tragizm upadłego człowieka i pokazując mu blask jutrzni chrześcijańskiej.

W wieku czternastu lat Rouault wstępuje jako uczeń-czeladnik do warsztatu witraży. To zbliżenie się do techniki szkieł kolorowych wyrzeże niezatarte piętno na sztuce całego jego życia. W każdym obrazie Rouaulta czuje się skandowanie siatką konstruktywnej z czarnawych, miękko wtapiających się w powierzchnię, linii, które wprowadzają do jednego mianownika niespodziewane synkopy barwnych przeciwstawień i dopełnień — podobnie jak to czyni siatka ołowianych obramowań z błyskami szkieł w witrażach.

W czasie pracy czeladniczej we wspomnianym warsztacie Rouault zapisuje się do paryskiej Szkoły Sztuk Dekoracyjnych, a od roku 1891 jest już uczniem Gustawa Moreau, w jego pracowni w Ecole Nationale de Beaux-Arts. Moreau, który nie cieszy się dziś wysoką opinią jako twórczy malarz, którego sztuka jest niewątpliwie zbyt przesiąknięta motywami literackimi o posmaku secesyjnym, był znakomitym pedagogiem. Stwierdzają to jego uczniowie, których indywidualności umiał pielęgnować, a którzy, jak właśnie Rouault, i Matisse, i Marquet, i Jean Puy, zajęli tak wybitne miejsca w sztuce współczesnej. Kult i przyjaźń dla swego mistrza zachowa Rouault do końca życia. Od niego, w oparciu o prace w warsztatach witrażowych, wyniósł Rouault znakomitą, właśnie na miarę majstrów średniowiecza, znajomość rzemiosła malarskiego. Ale późniejszy jego styl, tak bardzo integralny, tak jednolity (ogromny kontrast np. z niesamowitą różnorodnością Picassa) wyrabiał się bardzo powoli. I w okresie śmierci ukochanego nauczyciela (Moreau umarł w r. 1898) 27-letni Rouault, głęboko wstrząśnięty tą stratą, nie zdaje się zapowiadać tak wielkiej przyszłości. W kilka lat później (1904-1905) ukazuje się seria obrazów Rouaulta, których tematami były jakby karykatury komedii ludzkiej: prostytutki, kłowni, pierroci. Czarnawy ponury koloryt, jednak zawsze poprawnie determinujący malarską powierzchnię płótna, makabryczność tematu, ekspresyjna deformacja kształtów ludzkich, czyni malarstwo

stają się ostrzejsze, tematów szuka ciągle (przeważnie) w wizji człowieka, ale zaczyna się oddalać od jaskini upadku, postacię jego teraz to robotnicy, chłopci, człowiek na tle swojej rodziny lub środowiska; wszystkie te figury stają się coraz bardziej odrealnione, coraz bardziej transcendentalne, niejako jedną nogą tylko dotykające ziemi, a wstępujące w świat wyższych planów, determinowanych przez coraz bardziej mistyczne malarstwo twórcy „Chusty św. Weroniki”.

Od czasu, gdy Ambroise Vollard, znany handlarz sztuki, zawiera kontrakt z Rouaultem, monopolizując prawo handlowe do jego twórczości, Rouault zaczyna intensywnie pracować z tej poręki nad seriami swoich litograficznych i akwafortowych ilustracji jak „Reinkarnacja Ojca Ubu”, „Cyrk”, „Kwiaty Zła” Baudlaira, wreszcie wspaniałe „Miserere” i „Wojna” (1948). W tych dziełach graficznych styl Rouaulta dochodzi do szczytu jego wypowiedzi. W formie znika wszystko, co w jej przejawach nie służy bezpośredniej ekspresji tematu, kolor, mimo wyjątkowego wyrafinowania, jest osiągany najmniejszą ilością przeciwstawnych mas, czasem po prostu brunatnawa czerń litograficzna łąmie się z bielą papieru — a całość jest kolorem! Postacie Zbawiciela, Madonny, Świętych Dziewic wypowiedzane są w idiomach formalnie hieratycznych jak w wizji bizantyjskiej, a peł-

Okolo roku 1907 Rouault dużo pracuje nad ceramiką, co też zapewne, jak poprzednio warsztat witrażowy, rzutuje na niego nowe idee w użyciu wątków malarskich. Kolor Rouaulta nabiera intensywności, kontrasty barwne (a nie światłocieniowe)



Sunt Paerinae rerum...

ne są życia nadziemskiego i zdumiewającej dynamiki, mimo szerokich mas konturowych, które je trzymają potężnymi zamknięciami w prostokątach Rouaultowych kompozycji. Światu nadprzyrodzonemu, Zbawicielowi i Świętym towarzyszy, jak w wizji gotyckiej, świat figur komedii ludzkiej: królów, bogaczy o próchnie wewnętrznej, sędziów-krętaczy (nie mniej często jak u Daumiera), prostytutek i magdalen, wesółków i tragi-komików; występuje też często pejzaż pełen ruin, wód, tarczy słonecznej, człowieka — pejzaż wyczarowany rozrartymi masami ciepłych i zimnych pigmentów, nałożonych na siebie i skandowanych jak zawsze w tym swoistym stylu strzępiastymi, choć pełnymi decyzji, odcinkami konturów. Kosmos.

Oprócz tych prac graficzno-illustracyjnych, prac nad ceramiką, witrażami i dekoracjami do baletu Diaghilewa — Rouault maluje obrazy na płótnie, głównie po roku 1932. Wtedy powstaje nawiewięz jego monumentalnych kompozycji religijnych. Ciągle też wraca do motywów sędziów i kłownów, nadając głowom tych kreacji coś z ty-

pu swojej własnej twarzy (którą znamy z licznych autoportretów w młodości). Ten wyraźnie zaznaczający się akcent autoportretowy w typach Rouaulta, będący jeszcze jedną manifestacją dziwnej cechy ludzkiej przejawiającej się w ogólnej tendencji dawania własnego charakteru kreacjom, które się stwarza (cecha zanotowana po raz pierwszy bodaj przez Leonarda) — jest u tak potężnej i świadomej swych środków organizacji twórczej chyba dobrowolnym poddaniem się fali podświadomości, jakby zaakcentowaniem zgody na przejaw właśnie sił podświadomych we własnej twórczości, w epoce, gdy nieubлагany racjonalizm chce się panoszyć przemożnie i w sztuce.

Gdy się porówna dzieła z tej późniejszej epoki Rouaulta z jego pracami o podobnej tematyce sprzed laty dwudziestu, wydaje się, że pewna sarkastyczność, ironia i złośliwość dawnej wizji ustępują tu nakazowi miłości, która nawet na zło patrzy raczej oczami litującymi niż potępiającymi.

Artysta przeżywa zresztą w okresie swej dojrzałości okres ciągłej rozterki, ciągłego niezadowolenia z własnych osiągnięć; ni-

gdy nie wydają mu się one skończone, gotów jest zmieniać i poprawiać do nieskończoności. Po roku 1937 nie spotyka się prawie na obrazie podpisu lub daty zaznaczonej ręką mistrza. Gdy w roku 1947 Rouault wygrywa proces ze spadkobiercami Vollarda o prawo do rozporządzania własnymi „niedokończonymi” obrazami posiadanymi w pracowni — 315 spośród nich, uznane za nieodpowiedzialne, nieostatecznie doskonałe czy poronione, zostają jego własną ręką spalane. Może warto uświadomić sobie, że w roku 1947 Rouault ma już sławę światową i każdy jego obraz może być natychmiast zamieniony na ekwiwalent gotówkowy o wysokości określonej rozmiarami obrazu. Takie spalanie 315 obrazów to na pewno nie mniej niż 200 tysięcy funtów rzucanych do pieca... Już ten czyn charakteryzuje Rouaulta jako człowieka. Najwyższą odpowiedzialność przed sobą samym za swoje dzieło — odpowiedzialność, wobec której wartości określone w memonie — są niczym.

Marian Bohusz-Szyszkó

Są to, jak nas uczono, imiona rodziców króla węgierskiego Stefana Wielkiego. Matka była Polką, siostrą Mieszka I. O ojcu podaje Thietmar:

„Jego (tj. króla Stefana) ojcem był Deuix, zawołany okrutnik, który wielu ludzi zgładził z powodu swej popędliwości. Kiedy przyjął chrzest, srożył się wiele wobec opornych poddanych, by utwierdzić nową wiarę, i Bożą płonąc miłością zmasał winy dawnych zbrodni. Kiedy jednak składał ofiary nie tylko Bogu wszechmogącemu, lecz także różnym fałszywym bóstwom pogańskim i kiedy przyganiał mu to jego biskup, oświadczył mu, że jest dość bogatym i silnym, by móc sobie na to pozwolić.”

Wiadomo, że nosił imię Géza, wymawiane i pisane także Gejza. W średniowiecznych źródłach węgierskich przeważają formy Geysa, Geycha, Geucha, w źródłach czeskich widzimy także formy Deuthe, Deuca i Deuia z zagadkową spółgłoską „D”. Ku czeskiej grupie patrzy wyraźnie jeszcze bardziej zagadkowa forma Deuix Thietmara. Badacze nie powiedzieli, skąd wzięły się te formy z nagłosowym „D”. Przypuszczam, że wyszły z greckich ust i poprzez greckie źródła pisane wędrowały do źródeł czeskich i kroniki Thietmara. Grecy kojarzyli imię Gejza z ich czasownikiem geusasthai „kosztować, obiadować”, który, według świadectwa Hezychy wymawiany był wtedy także deusasthai, nawet dzeusasthai. Ze Thietmar wypisał wyraz Deuix z greckiego źródła, dowodzi pisownia. Rękopis jego kroniki spłonął w Dreźnie podczas ostatniej wojny. Dzięki jednak temu, że posiadamy jego fotokopie, mogliśmy stwierdzić, że nad drugim elementem dyftongu „ey” i nad samogłoską „i” znajdowała się para kropek. Jest to drobny szczegół, ale mówiący wiele. Kropki kładli greccy pisarze. Thietmar nie kropkował nawet samogłoski „i” w wyrazach łacińskich. Z obecności kropek muszę wyprowadzić wniosek, że nazwa Deuix pochodzi z greckiego źródła. Thietmar przypuszczalnie miał przed oczyma formę Deusaiks. Jego skryba, który pisał pod dyktando, przeskoczył spółgłoskę „s” przez niewagę i w miejscu, gdzie powinno być „a” wpisał samogłoskę „u”. Jest to oczywiście tylko domysł. Za domysły Żyd nie płaci. Musimy się przecież liczyć także z ewentualnością, że nasza nazwa mogła występować w formie zniekształ-

ADELAJDA i GEJZA

AUGUSTYN STEFFEN

conej już w greckim źródle. Nie jest tutaj ważne, czyja ręka to zrobiła. Wystarczy nam stwierdzenie faktu. Końcówce -iks dodali Grecy, by z imienia księcia wystrugać przewisło „obiadujący kozioł” (a.ks = „kozioł”). Pisarze bizantyńscy bawili się w domorosłych etymologów. Wyjaśniali naiwnie obecne nazwy przy pomocy greckiego słownictwa. Gejza był w swojej młodości poganinem, dlatego podanie Thietmara mówi o nim źle i dobrze. Taki był zwyczaj. I Mieszka, który przyjął chrzest, gdy był już w sile wieku, chwali i gani kronika Thietmara.

Osobno chodzi forma Jesse, z nagłosowym „J”. Widzimy ją w kronice węgiersko-polskiej z XII wieku. Trąci wyraźnie grecką wymowę. Greckie „g” przed samogłoską „e” wymawiało się już wtedy jak „j”. Przyjając tedy możemy, że imię księcia zostało przeniesione z greckiego źródła, gdzie miało postać Gesse, do łacińskiego, jednak w pisowni, która uwzględniała grecką wymowę.

Małżonkę Gejzy charakteryzuje Thietmar w podobnie niekorzystny sposób i pisze:

„Jego (tj. Gejzy) małżonka bele knegini, co po słowiańsku znaczy „piękna pani”, używała trunków ponad miarę i ujeżdżała konno jak rycerz. Raz nawet zabiła w przystępie gwałtownego gniewu jednego mężczyznę. Jej ręka, skalana krwią, lepiej by się ją wzniesiona a jej myśl szłała w cierpliwości winna by znaleźć ukojenie.”

Jak widzimy, podanie Thietmara mówi źle o małżonce Gejzy, która złą nie była. Bajeczka robiła jej taką opinię, bajeczka, która widziała w niej kobietę-rycerza. Bajeczki wyrastały także koło dwuznacznej nomenklatury. Przypuszczam, że i tu fałszywa interpretacja nazwy była powodem wykojenia się pierwotnej wersji, która przepadła. Ale o tym później.

Thietmar nie zna jej imienia, tylko tytuł: bele knegini. Historycy czytają to jak biała knegini czyli biała księżna. Taka biała jak każda księżna. Nie biała knegini, lecz wiela knegini (= wielka knegini), z dawną krótszą formą wiela, którą u nas wypchnęła forma wielika-wielka. Powtarza się ona w nazwie Belochrobatoi (= Wielochrobaci) cesarza biz. Konstantyna Porf. i w nazwie Alemure aktu donacyjnego Mieszka I. Thietmar przepisał te wyrazy z greckiego źródła, które słowiańskie „w” oddawało przez „b”. Grecy w tym czasie wymawiają swoje „b” jak „w”, więc niektórzy ich pisarze podciągają pod tę literę także słowiański dźwięk „w”, gdy inni go przeskakują nie podstawiając tam nic.

W innym zgoła świetle przedstawia ją kronika węgiersko-polska. Podaje ona mianowicie, że była siostrą Mieszka I i miała imię Athleita. Jako chrześcijanka, wcześniej wprowadzona w prawdy wiary, pracowała gorliwie nad nawróceniem swojego męża. Gejza pod wpływem małżonki zaczyna rozmawiać z duchownymi, zezwala na osiedlanie się księży i zakonników, wreszcie przyjmuje chrzest z ręki św. Wojciecha. Mniejsza o to, że ostatni szczegół pewnie nie jest ścisły. Faktem jednak jest, że chrystianizacja Węgier leżała św. Wojciechowi na sercu. W „Żywocie św. Wojciecha” pióra św. Brunona mowa jest o poselstwie, wysłanym przez świętego Wojciecha. Poselstwo skierowane było przede wszystkim do małżonki Gejzy, bo ona według tego źródła całym krajem trzęsła. Św. Brunon, wielki misjonarz, był najlepiej zorientowany w chrystianizowaniu się dworów i plemion. Św. Brunonowi musimy wierzyć.

O tym, że miała imię Adelajda, mówią swobodnie obroncy jej słowiańskiego pochodzenia. Ale imię Adelajda nie jest słowiańskie. Na takie imię jest za wcześnie w Polsce Mieszka I. Przypuszczenie, że księżniczka otrzymała je na chrzcie, mało mówi. Mieszko nie odrzucił swojego imienia pod wpływem chrztu, dlaczego miałaby zamienić swoje imię na chrześcijańskie jego siostra? Zastanawia także forma. Imię, o którym mowa, jest w tych czasach bardzo rozpowszechnione w Niemczech. Małżonki dwóch cesarzy, Ottona I i II, nosiły je i dlatego często występuje u Thietmara. Kronikarz przekazał je w dwóch postaciach:

Etheleida i Aethelheidis. Forma **Athleida** kroniki węgiersko-polskiej różni się posiadaniem odmiennej samogłoski nagłosowej i brakiem drugiej samogłoski „e”. Dla nagłosowego „A” łatwo znaleźć uzasadnienie, dla braku samogłoski „e” uzasadnienia nie znajdujemy. Ostatni szczegół musiał uderzyć autora „Breve Chronicon Silesiae”, który wiadomość kroniki węgiersko-polskiej o małżeństwie Gejzy z polską księżniczką podaje dalej, lecz posługuje się już formą **Adilheida**. Sądzę, że wyraz **Athleita** nie zasługuje na to, byśmy go traktowali jako imię księżnej. Wygląda on na znieskształcony przez łacińskiego pisarza grecki wyraz **athletes** z zasadniczym znaczeniem „bojownik”, który później występuje w charakterze przydomka. Młodzi pisarze greccy używają go przenośnie w znaczeniu „bojownik każdej wzniosłej sprawy”, a pisarze chrześcijańscy dają mu znaczenie „bojowników i propagatorów wiary. W niedosłownym znaczeniu operuje nim łacina średniowieczna, która go od Greków pożytyła. Widzimy go m. in. w napisie nagrobkowym Bolesława Chrobrego w zdaniu „Tu possessisti velut verus a t h l e t a C h r i s t i regnum Scavorum, Gothorum sive Polonorum”, co przypomina miejsce t h e o u a t h l e t e s listu Ignacego do Polykarpa. Małżonka Gejzy widocznie też go dostała za zasługi na polu chrystianizacji rodziny książęcej i narodu węgierskiego.

Później wykazę, że wyraz **Athleita** pochodzi z legendy o św. Stefanie, królu Węgier, z której autor kroniki węgiersko-polskiej czerpał wiadomości. Pierwotna legenda była grecką. Czy autor kroniki posiadał grecki egzemplarz, czy tylko jego łacińską wersję, nie potrafimy powiedzieć. Łacińskich legend było kilka. Tłumacz oczywiście transponował wyraz **athletes** z myślą o imieniu **Etheleida-Aethelheidis**. Przykładów na pomieszczenie zwykłego wyrazu z imieniem przy przewleciu treści z języka w język jest więcej. Jeden przykład znajdziemy nawet w katakombach. Nie twierdzę, że tę „czarną magię” uprawiał autor kroniki węgiersko-polskiej, który, o czym wszyscy dobrze wiedzą, nie ma najlepszej opinii. Oswald Balzer powiada, że jego kronika jest „źródłem bala-mutnym, pełnym historycznych fałszów i sprzeczności”. Nie sądzę, by była bardziej bala-mutną niż regest aktu donacyjnego Mieszka I lub „Opis krajów słowiańskich” Ibrahima ibn Jakuba.

Muże pomogą mi literaci. Gdy **Athleita** była w ciąży, ukazał się jej we śnie św. Stefan męczennik i oznajmił, że porodzi syna, który ma być nosicielem królewskiej korony i jego imienia. Dialog jest krótki i brzmi:

— Confide in Domino, mulier Athleidis, et certa esto, quod filium peries, cui progenito corona debetur et regnum. Meum quoque nomen illi imponas.

— Quis es, domine, vel quo nomine nuncuparis?

— Ego sum Stephanus, protomartyr, qui primus pro Christi nomine martyrium per-tuli.

To, co ja nazywam przydomkiem, występuje w dialogu w wołaczu: **Athleidis**. Ponieważ gdzie indziej w mianowniku jest forma **Athleita**, a wołacz rzeczowników tego typu jest równy mianownikowi, spodziewalibyśmy się i tu formy **Athleita**. Mamy **Athleidis**, bo widocznie autor kroniki węgiersko-polskiej lub autor jego źródła pisał to za źródłem greckim, gdzie wołacz miał formę **athletes**, i upodobnił końcówkę część do Thietmarowej odmiany **Aethelheidis**, która mu się narzucała. Grecki wyraz **athle-**

tes jest rodzaju męskiego. Zeńskiego odpowiednika nie było w tych czasach, dlatego wyraz **Athleidis** dialogu jest poprzedzony wyrazem **mulier** „kobieta”, który mówi za niego i za Świętego. Św. Stefan męczennik chce przez to powiedzieć, że co czeka ją to wyróżnienie. Za to, że jest bojowniczką wzniosłej sprawy — a t l e t a w postaci kobiecej. Gdyby wyraz **Athleidis** był imieniem, wyraz **mulier** nie tylko byłby zbędny, ale nawet niepożądany. I w zdaniu „Cui cum admirans m u l i e r responderet”, znajdującym się przed pytaniem księżnej, nie ma imienia, tylko wyraz **mulier**. Gdyby nazywała się **Adelajda**, wypadałoby pisać „Cui cum admirans A t h l e i d i s responderet”. Podobną wizję miał jej małżonek. Piękny młodzieniec w aureoli zwraca się do niego słowami: „Pax tibi, Jesse...” Przed imieniem księcia nie ma wyrazu, określającego bliżej imię, bo sytuacja tego nie wymaga.

Sam fakt ukazania się św. Stefana męczennika mówi za siebie. Świętych było wielu, nie wszyscy jednak byli męczennikami za wiarę. Św. Stefan był pierwszym, którego chrześcijaństwo darzyło zaszczytnym mianem a t l e t y Chrystusa. Za zasługi na polu chrystianizacji narodu węgierskiego wyróżniło też naszą księżną. Legenda podniosła ją do „rangi” a t l e t ó w przez usta Świętego, który sam był a t l e t a Chrystusa. Symbolika w greckich legendach znaczyła wiele.

Powiedziałbym, że greczyzną traci nawet odpowiedź Świętego, to jest ostatnie zdanie, które w przekładzie brzmi: „Jestem Stefanem, pierwszym męczennikiem, który pierwszy dla Chrystusowego imienia poniósł śmierć męczeńską”. Dlaczego primus, gdy w wyrazie **protomartyr** tkwi pojęcie, że był pierwszym męczennikiem? Takich rzeczy unikała trzeźwa łacina, natomiast lubowała się w tym grecka gadatliwość.

Nie ulega wątpliwości, że dialog jest wyściągą z legendy o św. Stefanie węgierskim, która w XII wieku, gdy autor kroniki węgiersko-polskiej zabierał się do pisania, chodziła po dworach. W legendzie, wyzyskanej przez autora kroniki, była, jak w każdej legendzie, historia i literatura. Nie wszystkie legendy znały imię matki danego Świętego. Z imieniem matki św. Stefana przypuszczalnie nie była prosta sprawa, skoro nie znał go współczesny Thietmar. Adelajda? Powiedzieć łatwo, udowodnić trudniej. Z trzech późniejszych przykładów w rodzinie Piastów dwa są zupełnie wątpliwe, dlatego mądry autor „Genealogii Piastów” włożył tam jedną Adelaidę nawet w nawias łamany. I nasza Adelajda patrzy na łamany nawias.

Teraz możemy wrócić do bajeczki Thietmara. Jak już powiedziałem, podstawowym znaczeniem greckiego wyrazu **athletes** jest „bojownik”. Do tego znaczenia nawiązała

bajeczka Thietmara. Z małżonki Gejzy zrobiła rycerza, wsadziła na konia i kazała zabić jednego mężczyznę. Mało wymagała, bo innym kobietom kazała wyciąć całą nogę. Ale mądrą była, bo tłumacząc z greki na łacinę nie zrobiła imienia własnego z pospolitego wyrazu. Bajeczka Thietmara łączy się z legendarnym podaniem kroniki węgiersko-polskiej poprzez grecki wyraz **athletes**, który się przed nami kamufluje.

Późniejsze źródła, mianowicie węgierskie, nie wiedzą o Adelajdzie i podają, że małżonką Gejzy była **Sarolta** (**Saroldu**, **Sarolth**, **Saroth**), księżniczka siedmiogrodzka. Sarolta występuje tam w tabliczkach genealogicznych, za którymi ongiś goniła bizantyńska ciemnota jak za „Sybilą”, czytwaną u nas przez ludek, mieszkający na piaskach pod lasem z dala od wsi, lub za „listami z nieba”, które przychodziły z wybuchami wojen. Tabliczki genealogiczne mają złą opinię, gdyż do drzewa genealogicznego wprowadzały, oprócz imion historycznych, pozbieryanych z literatury, także imiona zmyślone. W pierwotnych tabliczkach węgierskich, które sięgają czasów Atyli i głębiej, nie było Sarolty. Nie ma jej w dwóch kodeksach „Ducum et Regum Hungariae genealogia triplex”. Inne znowu brały swoją Saroltę z legendy o św. Stefanie węgierskim, co poświadczają „Chronicon Pictum Vindobonense” słowami „Gejza... jak napisano w legendzie o świętym królu Stefanie, zrodził króla Stefana z Sarolty, córki Giuli”. Według „Hist. Hung. fontes domestic” Sarolta (**Saroldu**) ma siostrę o podobnym imieniu **Caroltu**. Jest to niewątpliwie tylko graficzna odmiana tamtego imienia, pod którą odnośny autor podstawił zmyśloną siostrę zmyślonej księżnej. Legendy mogły powstać dopiero po kanonizacji Stefana Wielkiego, która miała miejsce w r. 1083. Nie gardziły one ustną tradycją, o której wspomina kodeks III wymienionej genealogii: „Tenie Gejza... miał być ochrzczony przez świętego biskupa Wojciecha, o czym Węgrzy dobrze pamiętają.” Żadna chyba nie znała właściwego imienia, które, jak przyjmujemy, było słowiańskie i dlatego niewygodne dla obcych ust i piśmni. Imię **Sarolta** znane jest dziś na Węgrzech i odpowiada zachodniemu **Charlotte**, które w wioskach średnich należało, podobnie jak imię **Etheleida-Aethelheidis** do tzw. „szablonych” imion księżniczek. Bajkarze szli na te imiona jak muchy na miód. Thietmar nie znał imienia naszej księżnej. Nie znała legenda, którą wyzyskał bezpośrednio lub może tylko pośrednio autor kroniki węgiersko-polskiej. I ta, na którą powołuje się „Chronicon Pictum Vind.”, nie znała rzeczywistego imienia, tylko imię podrzucone.

O słowiańskiej matce Stefana Wielkiego nie chcą przeważnie wiedzieć niemieccy historycy. Istnieje teoria, która buduje most między nimi i polskimi badaczami i głosi, że Gejza pewnie miał dwie żony, Węgierkę i Polkę. Nie wiadomo, czy zaliczyć to do historii czy tylko do nowoczesnych bajek, które z jednej żony robią dwie żony. Nie posiadamy takiego źródła, które by mówiło o dwóch żonach Gejzy. Źródła różnią się jedynie w określaniu narodowości i imienia. Moja interpetacja odrzuca imię **Adelajda** a w imię **Sarolta** nie wierzy, bo węgierskie tabliczki genealogiczne, w których ono występuje, nie są źródłem wiarogodnym. Narodowości nie określa, bo nie musi. W tej sprawie ma coś do powiedzenia Thietmar. Z jego podania (V 3) musimy wprowadzić wniosek, że małżonka Gejzy była Polką i siostrą Mieszka I.

Augustyn Steffen

Nowość Nowość
F. A. ARCISZEWSKI
CUD NAD WISŁĄ
(Rozważania żołnierza)
Stron 196. Oprawa. Barwna obwoluta.
Cena 15 szyl.
Na żądanie wysyła
Katolicki Ośrodek Wydawniczy
„Veritas“
12 Praed Mews, London, W. 2.

PIERWSZE „AVE” ...

Lourdes, 11 lutego 1958

Od kilku dni szczyty Wysokich Pirenejów płoną co wieczór jaskrawą grzywą ognia. Widać go bardzo wyraźnie, gołym okiem, z domu, w którym mieszkam, we wsi odległej o 20 km od Lourdes. Lekka luna wznosi się nad pasmem górskim w miejscu, gdzie sto lat temu, w ciemnej i niepozornej grocie Massabielle mała pasterka pirenejska Bernadeta Soubirous stała się pośredniczką pomiędzy ziemią a niebem.

I kiedy w setną rocznicę objawienia, dnia 11 lutego, rano ukazał się na niebie wielki łuk tęczy, trudno było się oprzeć jego symbolicznej wymowie. Padał deszcz uparty i gęsty, ale słońce wojowało z chmurami. My, mieszkańcy Pirenejów, jesteśmy przyzwyczajeni do deszczów i tęczy o tej porze roku częstej, ale przybysze z odległych stron żegnali się znakiem krzyża w skupieniu, które nagłe udzieliło się wszystkim zdążającym do Lourdes z kantonów okolicznych.

Nieprzeliczony szereg autokarów sunął wszystkimi drogami. W odległości dwóch kilometrów od miasta utworzył się obóz campingowy dla pieszych pielgrzymów, cofających widza o sto lat wstecz. Kobiety w strojach z epoki św. Bernadety, z ogromnymi różańcami w rękach i laską pielgrzymią zachowaną z roku 1858, w klasycznej czerni pirenejskiej, ciągnęły wózki na jarzyny wypełnione dziećmi oraz prowiantem. Do miasta dochodziło się już pieszo po rozmokłym gruncie. Drogi zmieniły się w ulice wąskie i stare, które zaskoczyły mnie swym niezwykłym widokiem. Były opustoszałe, jakby całe miasto wymarło. Łopotały na wieżach sztandary — biało-złoty sztandar papieski, biało-niebieski maryjny i czerwono-złoty sztandar prowincji Bigorre. Dzień 11 lutego był równocześnie świętem tej prowincji i jej przypadało przedownictwo w uroczystościach otwarcia roku jubileuszowego.

Pustka miasta, które po Paryżu jest najbardziej ruchliwym miastem Francji, sprawiała wrażenie niesamowite. Zapierała dech. Daleki szum wzbierał gdzieś w głębi ulic i unieruchomieni przez policję przybysze, zdezorientowani, niespokojni, czekali u wylotu ulic wychodzących na główny plac. Ow głuchy szum potężniał z każdą chwilą aż naraz wyrosła z niego przeciągła sylaba śpiewu. Pierwsze „Ave”...

Prawie równocześnie zobaczyłam czoło procesji. Od strony kościoła parafialnego wynurzył się z zakrętu majestatyczny pion sztandarów Bigorre. Było ich kilkadziesiąt. Szeregi niosących je mężczyzn były tak zwarte, że chwilami, chorągwie rozwiane wiatrem spłatały się wzajemnie. Wśród tej szarej masy idących jaskrawa plama: grupa dziewczynek z Bartres — wsi świętej Bernadety — w stroju ludowym, jaki nosiła mała pasterka i który znany jest z jej wizerunków. Sławny „capulet”, czyli rodzaj chustki-kapiszonu spadający sztywno aż do połowy pleców.

Do procesji dołączają się teraz przybysze — piegrzymi z bocznych ulic i oto w puste dotąd miasto wlewa się regularny i ciasny gąszcz ludzki. W połowie ulicy Groty przybranej białą i błękitem wznosi się o'brzymi łuk niebiesko-biały, na którego szczycie tkwią wielkie gwiazdy. Środkowa z nich ma kształt

kuli promienistej i przywodzi mi na myśl sztucznego satelitę.

Nie jest to skojarzenie przypadkowe. Studencie objawień jest zaprojektowane i pojęte jako wielka manifestacja wiary, jako odpowiedź na wojujący materializm. Apel do instynktu nieśmiertelności duszy, który tutaj, w Lourdes, szuka swego potwierdzenia.

W pełnym już słońcu odprawia się Msza św. pontyfikalna, celebrowana przez biskupa Tarbes i Lourdes, Mgr. Théas, przy ołtarzu połowym, przed wejściem głównym do bazyliki. Msza ta nadawana była przez głośniki na wszystkich rogach olbrzymiego placu przed kościołem. Tłum zebranych liczył około 50.000 osób. Prawie wszyscy przesuwały w rękach ziarnka różańca. Przez tłum ten przesuwa się wąska, kręta struga: dziennikarze idący gęsio, objuczeni aparatami fotograficznymi wszelkiego rodzaju i rozmiarów, przepychają się z cichym i nieustannym „pardon, pardon...” Suchy trzask robionych zdjęć rozlega się raz po raz. Przebijamy się tą ścieżyną, zmęczeni, spotniali, zrzuciwszy płaszcze i kurtki i wreszcie dobiegamy do głównej ekipy dziennikarskiej w pobliżu wielkiego ołtarza. Oczywiście kierują się na legatą papieskiego, kardynała Gerlier, arcybiskupa Lyonu i prymasa Galii. Otaczają go biskupi francuscy z Auch, Besançon, Bordeaux, Bayonne, Valence, stu prałatów, oraz trzech biskupów włoskich, trzech amerykańskich, dwóch irlandzkich i biskupi portugalski i belgijski. Fotel przeznaczony dla Prymasa Polski jest pusty, leży na nim wielki bukiet kwiatów.

Przebijam się wraz z innymi poza bazylikę, aby przed końcem Mszy zająć miejsce w Grocie. Tutaj to skieruje się wielotysięczna masa ludzka, aby wysłuchać z ambony Groty listu papieskiego do pielgrzymów w Lourdes. Szum rzeki Gawy, płynącej tuż za cementową barierą, akompaniuje śpiewom chóru. Statua Matki Boskiej jest obłana słońcem, przy którym błękitnie wielki stos płonących jak zawsze świec. Trzeba się uplasować zanim ruszy ku grocie pierwsza fala dostojników kościelnych i świeckich. Dwie wysokie estrady przeznaczone dla prasy nie wystarczają, a zresztą ogarnia nas wszystkich chęć zdobycia własnego, indywidualnego punktu dla reportażu. Zaczyna się więc nagle prawdziwie górską spinaczką.

Tuż prawie obok niszy z cudowną statua, niszy wyłobionej w pionowo spadającej skale, rozciąga się zбочe groty. Jest to ostro i stroma pochyłość wzgórza, porośła rzadką trawą i starymi drzewami. Noga obuszuwa się po śliskiej, rozmokłej glinie. Trzech reporterów odpina pasy aparatów fotograficznych, czwarty pasek skórzanej kurtki i do tak zaimprovizowanej „liny” przymocowuje w węzełku z chustki kamień. Zarzuca go o konar najbliższego drzewa, po czym wspina się sam prawie na czworakach, podpierając się statywem fotograficznym jak alpejską laską. Przeciągnięty przez konar pas służy teraz do transportu aparatów, a potem rozpięty o następne drzewo tworzy ruchomą, ale solidną poręcz na najbardziej stromym odcinku zбочca. Wdrapujemy się wreszcie sami. Jest to już ostatni moment. Dołem, na lśniący asfalt przed Grotą nąpływać zaczynają pielgrzymi i przejmujące

„Ave, ave, Maria” odbija się od skały coraz rosnącym echem.

Dochodzi godzina jedenasta. Do odczytania listu papieskiego zostaje jeszcze godzina....

Porzucam moje stanowisko zdobyte z takim trudem i dobrnąwszy do ścieżki biegnącej serpentyną i łączącej szczyt wzgórza z Grotą, wydostaję się na górę. Tutaj jest obszar nie należący już do samej domeny grotty i tutaj mieszczą się biura. Zapytuję o księdza Józefa Nawrockiego, przyslanego niedawno z Rzymu na niezwykle trudne i odpowiedzialne stanowisko kierownika finansowego („economie général) dla spraw grotty. Na szczęście jest w gmachu biura i po pół godzinie oczekiwania udaje mi się dotrzeć do celu. Dzięki uprzejmości ks. Nawrockiego i mojej własnej brutalności, z którą zabrałam mu jego cenny czas — za co Go tutaj przepraszam, nie przyrzekając wszakże poprawy na przyszłość — mogłam uchwycić jaśnieji nici tego zdarzenia na skalę światową, jaką jest rok jubileuszowy objawień w Lourdes.

W czasie naszej rozmowy ks. Nawrocki ujął m. in. w trzech słowach historię i znaczenie Lourdes: „Turyści — pielgrzymi — nawróceni”. Jak gdyby ilustrując żądania „La Dame” w bieli i błękitu, która poleciła małej Bernadecie: „Idźcie pić z fontanny... „Zbudujcie tutaj kościół...” „...Czyńcie pokute...”

Ale głównym punktem mojego zainteresowania jest sprawa nowej bazyliki podziemnej. Wbrew miłym pesymistycznym przewidywaniom, bazylika imienia św. Piusa X będzie poświęcona w dniach 24 i 25 marca. Oglądana z zewnątrz, do dziś dnia przedstawia się jako daleki do wykończenia, szary dysk z betonu, leżący na poziomie ziemi, starczący żelaznymi prętami jak smutne anteny podziemia. Przygniata zarówno swym nieprawdopodobnie surowym stanem obecnym, jak i ogromem imponujących cyfr: 201 metrów długości, 81 m szerokości, ilość betonu 15.000 m sześciennych, stali 750.000 kg, pomieszczenie dla 20.000 osób... Ta podziemna katedra, zaprojektowana na podobieństwo olbrzymiego garażu, świątynia-katakumby, ściąga uwagę wszystkich i toczą się na jej temat namiętne dyskusje. W szczególności Amerykanie śledzą z ciekawością tę „nową arkę przysięgi”, jak powiedział mi któryś z amerykańskich patników, „arkę-schron”...

Żegnając ks. Nawrockiego, dowiaduję się jeszcze o jego podwójnej roli, jaką spełnia w tym centrum kultu maryjnego. „Należę do dziś dnia do diecezji częstochowskiej — powiada z naciskiem — jestem wypożyczony przez Matkę Boską z Jasnej Góry Matce Boskiej z Lourdes”...

Schodzę z góry już w chwili, kiedy pochylone głowy kłęczących w Grocie skupiają się na słowach błogostawieństwa papieskiego i wspólnej Komunii duchowej, gwarantki pokoju i przyszłości.

Popołudnie zamieniło najbliżej miejsce przy Grocie w jeden wielki biwak, po czym od godziny trzeciej uroczystości toczyły się dalej. Były to Nieszpory oraz kazania kardynała Gerlier, następnie zaś procesja Eucharystyczna. Ścisk przy ścianie fontanny mógłby zrazić najodważniejszych — ludzie zaopatrzeni w przeróżnego rodzaju kubki, butle, czarki i flakony podawali sobie wzajemnie ponad głowami zaczerpniętą wodę, nie przerywając zresztą modliwy: „Panie, Panie, jeśli chcesz, możesz mnie uzdrowić...”

W mieście tymczasem gęstniało z godziny na godzinę i ruch stawał się coraz bardziej nerwowy. Przybysze z zagranicy śpie-

szyli, aby zdążyć na wieczorną procesję z pochodniami. Wspaniałe auta ledwo mieściły się w nieszerokich ulicach, policji przybywało na zakrętach. Sklepy, które dnia tego do południa były zamknięte, teraz pracowały przez parę godzin, zanim znów odpłynie fala ludzka w szeregi procesji, w domenę modlitwy i pobożności.

Wieczorem rzeka światła oblała bazylikę, spływając z jej kościołów, wznoszących się jeden nad drugim, i plac cały zdawał się jednym wielkim stosem. Była to chwila największego rozmodlenia — oczy nasycone za dnia kolorami sztandarów, przepychem szat liturgicznych, ludzka zwyczajna ciekawość niezwykłych uroczystości zaspokojona, noc nadchodziła jako ostatnie, dziękczynne „Ave”. Pod niebem cienkim, jakby przezroczystym, spełniało się polecenie przekazane przez małą Bernadetę Soubirous całemu światu: „Chcę, aby przychodzono tutaj w procesjach. Czyńcie pokutę, módlcie się za grzeszników”...

Janina Węgrzyńska-Kościalkowska

CAŁA PIĘKNA JESTEŚ

W roku 1944 wydawca „Duchowego testamentu siostry Marii od Trójcy Przenajświętszej” zwrócił się do klasztoru klarysek w Jerozolimie, prosząc o jej fotografię jako zakonnicy. Otrzymał znamiennej odpowiedzi: „Jak można by reprodukcją wierną podobiznę siostry Marii od Trójcy Przenajświętszej? Mamy małą jej fotografię z legitymacji, to wszystko. To jest na pewno do niej podobne; lecz nie znajdujemy tu ani ożywienia w oczach, ani słodyczy jej uśmiechu. Jedynie te, które żyły z nią w klasztorze, znają wyraz twarzy tej zakonnicy, a żaden artysta nie potrafiłby go wymalować. Portret, jakkolwiek mógłby być zadawalający, nie mógłby odtworzyć szczupłości i bladoci oblicza ani głębi jego wyrazu, niekiedy tak pełnego życia, innym razem jakby rozmarzonego; tak plomiennego, gdy się modliła.”

To samo — mutatis mutandis — można powiedzieć o świętej Terenii z Lisieux. Tymbardziej należy powiedzieć o Matce Boskiej!

Św. Bernadeta widziała Matkę Boską, widzieli ją pastuszkowie w La Salette i w Fatimie. I św. Bernadeta mówiła: „Pani jest piękna... nade wszystko. Tak piękna, że gdy się ją raz zobaczyło, niczego już kochać nie można na świecie i chciałoby się umrzeć, by ją znów zobaczyć.” I dlatego wymagania św. Bernadety w stosunku do figur Matki Boskiej były tak wielkie. Uskarżała się, że Matkę Boską przedstawiano sztywną i surową, zamiast miłą, łaskawą, pełną wdzięku, ujmującą. Raz powiedziała: „Patrzycie na figury Świętej Pani, by lepiej się modlić. Ja, nie mogę. One powodują u mnie rozstargnienie. Patrzę wyżej.” Umieszczona w Grocie od roku 1864 statua Matki Boskiej z Lourdes nie zadowolili jej wcale: „To jest piękne, ale to nie jest Ona”. A zapytana, czy patrząc na tę statwę można wyobrazić sobie piękność Matki Boskiej, odpowiedziała żywo: „Oh! nie. Różnica jest taka, jak między ziemią a niebem”.

I dlatego w oczekiwaniu na ujście w radościach niebieskich Matki Boskiej, wołamy wraz z Kościołem: „Tota pulchra es, Maria; et macula originalis non est in te. Ostende mihi faciem tuam, sonet vox tua in auribus meis; vox enim tua dulcis, et facies tua decora. Alleluja.” — Cała piękna jesteś. Maryjo: i zmyły pierworodnej nie ma w Tobie. Okaż mi oblicze Twoje, niech głos Twój zadźwięczy w uszach moich: gdyż głos Twój jest słodki, a oblicze Twoje wdzięczne. Alleluja.

W. J.

PUNKTY WIDZENIA

Religia współczesnego człowieka

Na niedzielę 16 lutego bież. roku dwa największe i najpoważniejsze tygodniki brytyjskie, „The Sunday Times” i „The Observer”, wyszły z fotografiami z uroczystości w Lourdes na frontowej stronie. Znajomi angielscy powiedzieli mi, że jest to rzecz zdumiewająca: przed dwudziestu laty, ba nawet jeszcze w pierwszych latach powojennych byłoby to niemożliwe. Obie wielkie gazety niedzielne Londynu wcale nie są pismami katolickimi, a w „Observerze” jeszcze do bardzo niedawna obowiązywała zasada, że katolik nie mógł być członkiem redakcji tego pisma.

Zresztą nie chodzi tu wcale tylko o te dwa wymienione pisma. Cała prasa brytyjska, ze starym „Timesem” na czele, w okresie przed i po 11 lutego pisała wiele, często i w sposób bardzo poważny o wielkiej rocznicy Lourdes, nie szczędząc licznych ilustracji. Radiostacje brytyjskie nadały wiadomości i pogadanki, a telewizja zainicjowała specjalną audycję dyskusyjną na temat Lourdes, w której brli udział: bezwzględnie, pastor protestancki, katolik, który przestał praktykować i biskup katolicki, ordynariusz diecezji Leeds.

Gdy się przegląda popularną prasę angielską, w pewnych okresach (tak było w okresie początku uroczystości w Lourdes) odnosi się wrażenie, iż temat katolicki musi być dla czytelników tych pism specjalną atrakcją, skoro redakcje tak wiele podają katolickiego materiału. Gdy się rozmawia z katolikami angielskimi, słyszy się o tym, że katolicyzm staje się w pewnych angielskich kołach czymś w rodzaju mody, zachęcającej do naśladowania.

Ale wszystkie te symptomy są rzeczami drugorzędnymi. Z tych rozmaitych znaków i objawów wyłania się bowiem rzecz najważniejsza: wzbieranie wielkiej fali renesansu katolickiego w tych także krajach, które dawno oderwały się od niego i które przez stulecia całe kształciły u siebie niechęć do Kościoła katolickiego. Te schizmy i odejścia wygaszają w skostnieniu rutyny i beztrafności zasad, a katolicyzm trwa i wzbiera na sile. I to wzbiera na sile właśnie dzisiaj.

Warto bowiem zdać sobie sprawę z tego, na jakim tle dziejowym i cywilizacyjnym odbywa się ten renesans wiary katolickiej. Na tle najbardziej zawrotnego w dziejach rozwoju technicznego świata. Nauki przyrodnicze dochodzą do nieprzeczuwanej jeszcze kilkadziesiąt lat temu skali, technika racjonalizuje całe życie ludzkie, dostarczając człowiekowi coraz to nowych narzędzi, udogodnień i pomocy materialnej. Zdawałoby się, że jest to epoka, w której święci swe tryumfy tylko cyfra, miara i pomysłowość mózgu homo sapiens.

Gdy się ten proces zaczynał w połowie zeszłego stulecia, przyrodnicy i zakrzyżani przez nich humaniści zapowiadali, że niebawem „naukowe myślenie” tylko patrzeć a skończy ze śmiesznymi złudzeniami wierzeń religijnych. Na tejsze przecież fali płynąc, pojawił się swą gigantyczną w ocenie porządku rzeczy pomyłkę Marks, którego żalosna progenitura z uporem powtarza dziś jeszcze „nowości” sprzed stu lat, walcząc z

religią w imię „naukowego poglądu na świat”.

Okazuje się zaś przez doświadczenie, że w miarę naprawy naukowego postępu intelektualnego, nawet w zakresie myśli przyrodniczej, powstaje w człowieku dyspozycja nie redukowania religii, ale jej tym większego rozwoju i pogłębienia. Zachód patrząc w perspektywie wschodnią i rozważając komunizm, pyta: Więc to, więc to doświadczenie czterdziestoletnich pomyłek i błędów ma być tą wielką ideą przyszłości? Leaderzy zaś bloku wschodniego, atakowani dziś i krytykowani przez własne masy ludzkie za niedołęstwo i niewywiązywanie się z obietnic, wskazując na Zachód ulegający paraliżowi lenistwa i zamęczeniu woli — pytają: więc do tego chcecie wracać? Ale gdzie jest ta wielka idea, do której chcecie wracać. Gdy się tak przysłuchuje temu dialogowi inwektyw na osi Wschód - Zachód, można sądzić, że cały świat jest pusty.

I jedna tylko rzecz temu przypuszczeniu przeczy. Ta mianowicie, że obaj partnerzy dialogu, i komunistyczny Wschód i wystudzony Zachód — cokolwiek obydwaj mówią — wiedzą dobrze, że w tej naszej głuchej i ponurej epoce jest tylko jeden jedyny czynnik treści, a tym jest katolicyzm. W latach naszych, w okolicznościach — zdawałoby się — najmniej sposobnych — strzela w niebo nowym odrodzeniem wiara prawdziwa, religia głoszona przez Kościół Powszechny.

W czasie dyskusji telewizyjnej jeden z niewierzących dyskutantów powiedział biskupowi katolickiemu, że w Lourdes razi go przede wszystkim skomercjalizowanie przedmiotów kultu religijnego, te stragany, ten handel dewocjonaliami. A mnie nie razi — powiedział biskup. A później wyjaśnił, że przede wszystkim, w samym miejscu świętym, w bazylice i w jej otoczeniu nie ma śladu skomercjalizowania. Zaczyna się ono za szerokim kręgiem Bazyliki. Te stragany i handel dewocjonaliami nie razi dlatego ponieważ religia nie jest przeznaczona dla jakichś wymyślonych ludzi, ale dla ludzi takich, jakimi oni są, a więc i dla tych, którzy handlują dewocjonaliami. To stwierdzenie biskupa katolickiego angielskiej miejscowości Leeds, msgr. Dwyera, miało zapewne oznaczać to, że katolicyzm nie jest religią dla gotowych świętych, ale dla ułomnych, grzesznych, zgębnionych i wynędzniałych, z których każdy może dopiero zostać świętym.

Wielki renesans katolicyzmu w naszych czasach — sądząc po ludzku — pochodzi z dwóch przyczyn. Z przyczyny charakteru intelektualnego, którą jest jaśniejsze i logiczne niż to było w kilku wiekach poprzednich, zrozumienie, że jedynie tylko katolicyzm wyjaśnia trudny sens świata. Zaś druga przyczyna jest charakteru — użyjemy tu tego słowa — humanistycznego, jest nią lepsze uświadamianie sobie przez człowieka, że katolicyzm to religia zarówno dla szczęśliwych i sytych, jak i dla ludzi szukających w nim zbawienia w swej nędzy i rozterce. Dla takich właśnie, jakimi wypełniony jest świat naszych dni.

J. K.

LICZNE RODZINY

Od pierwszych chwil swego pontyfikatu Papież Pius XII poświęca wiele troski rodzinie i w ciągu lat 1939-1942 w swoich przemówieniach do nowoposłubionych par oświecił całość zagadnień dotyczących rodziny chrześcijańskiej.

W przemówieniu do członków Komisji Wykonawczej Narodowej Federacji Stowarzyszeń Licznych Rodzin i członków zarządu Rzymskiego Stowarzyszenia Licznych Rodzin (20.1.58), Ojciec św. wyraził swoje ojcowskie uczucia dla licznych rodzin, które są „najbardziej błogosławione przez Boga, a przez Kościół najbardziej ukochane i poważane jako największe skarby”. Liczne bowiem rodziny dają Kościołowi potrójne świadectwo: „fizycznego i moralnego zdrowia ludu chrześcijańskiego, żywej wiary w Boga i ufności w Jego Opatrzność, płodnej i radosnej świętości małżeństwa katolickiego”.

Jedną z najszkodliwszych aberracji spoganiałej współczesnej społeczności jest uważanie płodności małżeńskiej za „chorobę społeczną”, czego następstwem jest propaganda „rozumnej kontroli urodzeń”. Jest objawem pocieszającym, że w Italii widać symptomy zdrowej przeciwko temu reakcji, zarówno ze strony prawodawców jak i lekarzy.

Konstytucja republiki włoskiej w art. 31 zwraca specjalną uwagę na liczne rodziny, a wśród lekarzy zyskuje na sile opinia przeciwna praktykom ograniczania potomstwa. Niebezpieczeństwo nie jest jednak zażegnane, zwłaszcza wobec szkodliwej pod tym

względem działalności prasy. Działalność katolików winna mieć na celu szerzenie przekonania, że obroną zdrowia fizycznego i moralnego rodziny i społeczeństwa jest posłuszeństwo prawom natury czyli jej Stwórcy i święty, wewnętrzny szacunek dla tych praw.

Liczne rodziny są gwarancją fizycznego i moralnego zdrowia narodu, a z nich winny rodziny małoduszne brać przykład, ojczyzna zaś okazywać im swą wdzięczność za ponoszone ofiary w wychowaniu obywateli, podobnie jak Kościół jest im wdzięczny, że dzięki nim i z nimi jest w stanie uświęcającej działalności Ducha Świętego dawać coraz to nowe szeregi, zdrowe i liczne.

Boskie i wieczyste światło chrześcijaństwa oświeca i ożywia rodzinę w ten sposób, że liczna rodzina jest często uważana jako synonim rodziny chrześcijańskiej.

Bóg swoją Opatrznością nawiedza liczne rodziny, czemu dają świadectwo zwłaszcza ubodzy rodzice, pokładając w Niej całą swą ufność, gdy zawodzi przezorność ludzka.

Opatrzność Boża jest rzeczywistością i bez wątpienia, nie Opatrzność ponosi winę za nierozwiązanie problemu tak zwanego przeludnienia ziemi, lecz nieład spowodowany przez człowieka. A wszak postęp techniczny, ułatwienie transportów, nowe źródła energii, z której zasobów zaczyna się dopiero czerpać — mogą jeszcze na długi czas zapewnić dobrobyt wszystkim ludziom, jakich gościć będzie nasza ziemia. Co do przyszłości, któż potrafi przewidzieć, jakie jeszcze inne zasoby kryje nasza planeta i jakie poza nią zapewni ludzkości rozwój jej wiedzy?

Dzisiejsza ludzkość winna przystąpić do bardziej zdecydowany sposób do poprawienia swego postępowania w zakresie usuwania przyczyn głodu w krajach zaniedbanych lub przeludnionych.

Rodzice zaś licznych rodzin i ich dzieci niech nadal dają wyraz zaufania pokładanego w Opatrzności Boskiej w pełnym wewnętrznej pokoju przeświadczeniu, że nie zabraknie nigdy ze strony Opatrzności dowodów Jej codziennej pomocy, a gdyby było potrzeba, także nadzwyczajnej interwencji, czego wielu członków licznych rodzin nieraz doznaje.

Liczne rodziny są najwspanialszymi przykładami o rodzu Kościoła; na nich kwitnie radość i dojrzewa świętość. Na obliczu Jców i matek licznych rodzin nie ma śladowo niepokoju sumienia, a dzieci wychowują się, jakby same z siebie, w czujności i odpowiedzialności za swe czyny, we wzajemnym postanowieniu i udzielaniu sobie wzajemnej pomocy, we wspaniałomyślności i otwartości umysłu.

Z takich rodzin, jak uczy doświadczenie, Bóg powołuje sobie kapłanów, zakonników, zakonnice, a nawet świętych. Wystarczy wytłumaczyć kilka przykładów: św. Ludwik pochodził z rodziny o 10 dzieciach, św. Katarzyna Sienańska z rodziny 25 dzieci, św. Robert Bellarmino z rodziny 12 dzieci, św. Pius X z rodziny 10 dzieci.

Każde powołanie jest tajemnicą Opatrzności, ale o ile chodzi o rodziców, z tych faktów okazuje się, że liczba dzieci nie stoi na przeszkodzie ich dobremu i doskonałemu wychowaniu i nie przyczynia się do utraty jakości zarówno walorów fizycznych jak i duchowych.

(Por. „Delikatna kwestia“, str. 29.)



„Bóg stworzył wszechświat i pośród wszechświata postawił arcydzieło: człowieka. I człowiek w stopniu, w jakim posiada władzę we wszechświecie, jest bezpośrednio odpowiedzialny zarówno za powodzenia jak i za porażki ziemskie mnóstwa swych braci.

„...Obudźmy się, gdyż w rzeczywistości i naprawdę będziemy osądzeni i potępieni przez tę pogardzaną przez nas nędzę ludzką.”

„...Kto z was myśli o tym, że w tej chwili 10 procent ludzi, z których i my jesteśmy, trwoni w zupełnej obojętności 80 procent bogactw, jakie ziemia obecnie wytwarza, ta ziemia, która mogłaby o tyle więcej wydawać z siebie, gdyby talent, geniusz, moc, energie materialne i moralne nie były na usługach wygody i komfortu uprzywilejowanych, ale naprawdę z całą szczerością, namiętnością i pasją służyły pomocą tym olbrzymim rzeszom ludziom, które giną.” — Tak wołał ojciec Piotr, rzucając wyzwanie światu z radiostacji paryskiej.

Ojciec Piotr, czyli ten sam człowiek który w czasie wojny był w ruchu oporu i wydierał ofiary z rąk SS-manów. Sam dwukrotnie wpadł w ręce Gestapo, ale za każdy razem udało mu się wymknąć. Po wojnie założył słynne już dziś na cały świat „Emmaus”, w starym, zrujnowanym domu na przedmieściach Paryża, gdzie najróżniejsza nędza ludzka szukała schronienia, bo ojciec Piotr szanował godność każdego z tych ludzi, dawał im pracę i o nic nie pytał.

Tenże człowiek zatroszczył się o dach nad głową dla rodzin będących w ostatniej nędzy, które mieszkaly katem po strychach, norach, budach nie opalanych, bo nie miały na opłacenie wysokich stawek komornego w domach prywatnych i hotelach.

Ludzie „Emmaus”, z ojcem Piotrem na czele zaczęli budować dla nich mieszkania

„Z „ACTA APOSTOLICAE SEDIS”

W Niemczech Ojciec św. erygował nową diecezję Essen.

Na prośbę Episkopatu Peru Papież listem apostolskim „Debitum in Jesum” ogłosił św. Józefa Oblubieńca Najśw. Maryi Panny głównym Patronem niebieskim narodu peruwiańskiego.

Do błogosławieństw Rytuału Rzymskiego przybyło nowe, mianowicie **błogosławieństwo stacji radiofonicznej**, zatwierdzone przez św. Kongregację Rytów 24 października 1957, a po raz pierwszy zastosowane przez Papieża w trzy dni potem przy poświęceniu nowej stacji nadawczej Radia Watykańskiego w Santa Maria di Galeria.

Z procesów beatyfikacyjnych posunęła się ostatnio sprawa Sługi Bożej **Marii Angeli Truszkowskiej**, założycielki zgromadzenia felicjanek 17 grudnia ub. roku św. Kongregacja Rytów na posiedzeniu zwanym ordynaria rozpatrywała sprawozdanie teologów o pismach Sługi Bożej.

Konstytucja Apostolską „Primo exacto saeculo” Ojciec św. udzielił odpustu jubileuszowego pielgrzymom, którzy w duchu pobożności i przy spełnianiu pewnych warunków nawiedzą **Grotę Massabielską w Lourdes** w czasie od 11 lutego 1958 do 11 lutego 1959 włącznie. Warunkami zupełnego odpustu jubileuszowego są: spowiedź, Komunia św., nawiedzenie Groty i odmówienie przed nią modlitw na intencję Ojca św. Odpustu można dostąpić tylko raz, w dniu przez pielgrzyma wybranym. Biskup Tarbes i Lourdes otrzymał władzę wznieszenia spowiedników, którzy będą mogli rozgrzeszać z grzechów zastrzeżonych Stolicy Apostolskiej i uwalniać od różnych kar kościelnych zastrzeżonych teje Stolicy św.

NIEDOLA OSĄDZI ŚWIAT...

wbrew oficjalnym czynnikiem, bez grosza i potrzebnego materiału budowlanego. Żelazna wola ojca Piotra, jego pragnienie ulżenia nędzy ludzkiej, było tak wielkie, że wszelkie przeszkody potrafił przeczłonić. Trudno to sobie uprzytomnić, ale po prostu zebrał na ulicach i w luksusowych nocnych lokalach Paryża, nadawał audycje radiowe, pisał, mobilizował prasę, poruszał niebo i ziemię i... budynki rosły jedne po drugich i powoli bezdomni ludzie znajdowali schronienie, mogli żyć po ludzku, a nie jak zwierzęta. Gdy wszystkie materialne środki zawiodły, a bezdomnych przybywało, ktoś z „Emmaus” rzucił hasło: śmietniki!

I oto mieszkańcy „Emmaus” organizują eksploatację śmietników Paryża. O świcie grzebią w kupach cuchnących odpadków, w błocie po kolana, w zimnie, segregują skarby zdobyte i odsprzedają je hurtownikom. To daje im stały dochód i zapewnia minimalną egzystencję, pozwala na zakup najkonieczniejszego surowca na dalszą rozbudowę osiedla mieszkaniowego.

Dzisiaj już każdy zdaje sobie sprawę, że to ojciec Piotr porwał za sobą Francję w niesieniu pomocy dla bezdomnych w czasie straszliwie ciężkiej zimy, gdy tysiące ludzi umierało z mrozu na stacjach kolejki podziemnej, pod mostami, w bramach domów, szałasach itp. To on budził śpiących i obojętnych, by dali pomoc nieszczęśliwym. Tym samym zmusił samorząd Paryża, a także rząd Francji do rozpoczęcia akcji szeroko zaplanowanej: budowy mieszkań dla bezdomnych.

Cała ta akcja charytatywna, zakrojona na taką olbrzymią skalę zawdzięcza swój początek jednemu, słabemu, choremu księdzu, który nie odwrócił obojętne oczu od potrzebujących, lecz oddał im wszystko co posiadał, a Bóg pobłogosławił jego pracy i pomnożył wysiłki i wspaniałomyślność tysiąca tych, którzy zapomniawszy o sobie, oddali się z

wielkim zapałem pracy dla najbiedniejszych.

Akcja charytatywna ojca Piotra prowadzona jest od kilku lat i dała już wybitne rezultaty. Nie ograniczyła się do biednych Paryża, ogarnęła także i inne miasta Francji, przeszła też poza granice kraju. Warto się nad tym zastanowić, że mała społeczność „Emmaus” — pracując w sposób na jaki było ją stać — dała początek olbrzymiemu ruchowi miłosierdzia. Niezmordowany ojciec Piotr postarał się te metody, które przyniosły pozytywne rezultaty we Francji, zaszczepić i w innych krajach, by zmniejszyć nędzę i niedolę na świecie. Stworzył organizację międzynarodową IRAMM, „Institut de Recherche et d'Action sur la Misère du Monde”.

Cele tej organizacji są następujące:

1. Zbierać fakty o potrzebach i nieszczęściach, by świat mógł zdać sobie sprawę z rozmiarów nędzy ludzkiej.

2. Szukać środków zaradczych, które mogłyby rozwiązać ten problem w skali światowej.

3. Szkolić ochotników, którzy zechcieliby żyć wśród tej nędzy świata, by nieść doraźnie pomoc wydejną i uczyć jak można przezwyciężać trudności.

4. Usiłować przekonać rząd danego państwa, by choć w pewnej mierze przyszedł z pomocą tego rodzaju akcji charytatywnej i dał podstawy prawne działaniu organizacji IRAMM.

To wszystko brzmi pięknie, bo zmierza do leczenia najboleśniejszych ran świata. Niestety, sprawa nie ruszy z miejsca, dopóki świat będzie patrzył obojętnie na nędzę ludzką. By program ojca Piotra wypełnić, potrzebni są przede wszystkim ludzie dobrej woli, choćby garstka takich, którzy przyjęliby się szczerze doniosłością akcji, zechcieli zejść w „dół”, pracować z całym oddaniem, by zorganizować nowe, lepsze życie wydzie-

dzicznym i podtrzymywać ich dalej w potrzebie.

„Módlmy się o powołania” — woła ojciec Piotr. — Wielu wśród nas jest takich, którzy rozumieją potrzebę tej akcji i chcieliby pomóc, ale są oni związani obowiązkami, rodziną i tysiącem innych spraw, którym poświęcili życie. Jakże ich pomoc w tej akcji będzie wyglądała? Bardzo prostą odpowiedź daje tu ojciec Piotr: Potrzebna nam jest wasza modlitwa i wasze zrozumienie. Czytajcie o tym, głoscie o tym, krzyczcie o tym, by nie było nikogo na świecie, który zatykając oczy i uszy na nędzę ludzką, żyłby w odosobnieniu swego samolubstwa.

Hasłem organizacji IRAMM-u jest: W obliczu wszechświatowego nieszczęścia daj z siebie tyle, ile możesz, nie tylko by ulżyć nieszczęściu, ale by usunąć jego przyczynę. Pracuj nad usunięciem przyczyny nędzy ludzkiej, ale staraj się także ulżyć nieszczęściu bez zwłoki.

Celem zapoznania jak najszerszego ogółu z działalnością organizacji — IRAMM wydaje bogato ilustrowane pismo pt. „Faim et Soif” (Głód i Pragnienie) oraz w języku angielskim „Abbé Pierre speaks” (published by Sheed and Ward). Prenumeratę pisma „Faim et Soif” oraz dokumentację działalności IRAMM-u można otrzymać w języku francuskim lub angielskim bezpośrednio z Paryża: 32, Rue des Bourdonnais, Paris 1, gdzie mieszczą się główne biura tej wszechświatowej organizacji.

H. Z.

900.000 pielgrzymów

Paryż rozpoczął rok Maryjny manifestacją poświęconą ukazaniu się **Matki Najświętszej Katarzynie Labouré** w kaplicy „rue du Bac” 27. 11. 1830. Kardynał Feltin przyzywał; przemawiali m. in.: Ks. Henrion ze Stow. Cudownego Medalika Niepokalanego Poczęcia, ks. Richard, redaktor „l'Homme Nouveau” i **Maria Winowska**.

W roku 1957, 900.000 pielgrzymów odwiedziło kaplicę przy ulicy Bac!

SPORT W ŻYCIU NOWOCZESNYM

Pod tym tytułem Alfredo Carlo Moro na łamach ilustrowanego miesięcznika „Ecclesia”, wydawanego przez jezuitów w Mieście Watykańskim, zamieścił rozważania o pozytywnych i negatywnych aspektach sportu.

Nie tylko praca ma znaczenie w życiu człowieka, ale i właściwy odpoczynek, a trzecie przykazanie Boże nakazuje odpoczynek ducha w Bogu. Sport jako odpoczynek i rozrywka może służyć wyzwoleniu człowieka lub jego zezwierzczeniu. Zależy to od sposobu uprawiania sportu, od elementów pozytywnych i walorów, jakie zamierza się osiągnąć, i od wychowania. Przede wszystkim należy podkreślić, że sport przyczynia się do zdrowego „rozszereżenia” ducha ludzkiego. Ducha ludzkiego przytłacza dziś atmosfera miejsc pracy, a nawet atmosfera widowisk kinematograficznych i teatralnych. Odpężenie i zdrowe odrodzenie może dać mu sport na świeżym powietrzu, wycieczki, zwłaszcza w góry, zawody żeglarskie, gry zespołowe, ponieważ odbywają się one wśród pięknej natury, której Bóg dał człowiekowi, a którego człowiek nie zdołał jeszcze całkowicie popsuć.

Ponadto w uprawianiu sportu człowiek może rozwijać daną mu przez Boga zdolność przezwyciężania przeszkód. Potrafi też

w sporcie zespołowym, przez wzajemną pomoc i zdrowe współzawodnictwo, zrealizować tę wspólnotę, którą nie zawsze udaje się osiągnąć w miejscach pracy i w życiu społecznym. Nie można też nie doceniać faktu, że sport jest zadziwiająco szkołą cnót przyrodzonych, ponieważ wychowuje w przezwyciężaniu zamięłowania do miękkości i życia wygodnego, budzi rozumienie porządku, przyzwyczajają do opanowywania samego siebie i gardzenia niebezpieczeństwem (jednak bez przechwalania się i mędruszości), pobudza rzetelne i uprzejme współzawodnictwo i uczy zrozumienia, jaką wartość ma współzycie ludzi.

Z kolei przechodzi autor artykułu do omówienia negatywnych aspektów sportu. Celem bliższym sportu jest rozwój i wzmocnienie ciała, celem dalszym rozwój życia wewnętrznego; mimo to sport może stać się narzędziem wyjałowienia ducha. Dzieje się to wtedy, gdy sport degeneruje się przez kult ciała, zapomnienie o prymacie ducha nad ciałem, przez co wywraca się porządek prawdziwych wartości. Dochodzi się wówczas do zwracania największej uwagi na siłę brutalną, do okłaskiwania raczej gwałtu niż rzetelności, do osadzania przegranej za zupełne bankructwo. Sport staje się wówczas tylko dobrą płatnym zaowodem, a dążenie do zarobków budzi w sportowcach najbardziej niezdrowe namiętności i przyczynia

się do załamania się w nich tych walorów moralnych, jakie sport powinien rozwijać.

Wyrazem szlachetnej odwagi nie są ani niektóre imprezy alpinistów, zakończone tragicznie z powodu narażania się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, ani niektóre zawody samochodowe, w których śmierć jest logicznym następstwem nieuwzględniania tych granic, jakie natura stawia czynom ludzkim. Tego rodzaju imprezy czy zawody są wyrazem — nie do przyjęcia pod względem moralnym — nierozsądnej pychy i pogardy życia. Postawa zaś, jaką w takich wypadkach przyjmuje część prasy, wytworzyła w niemożliwość wykształconych masach fałszywe pojęcia: mit fizycznej odwagi doprowadza się do absurdu i więcej ceni się pojedynczy czyn, w którym ryzykuje się wszystko, niż pokorny i mozolny trud powolnego budowania, owoc poświęceń i wyrzeczeń.

W końcu, sport, który ma być wyrazem braterstwa ludzi, może wyrodzić się w niezdrowe współzawodnictwo. Widzi się wówczas w zapasnikach innego kraju niż przeciwników rzetelnych, z którymi idzie się w zawody, lecz wrogów, których należy pokonać za wszelką cenę dla ocalenia honoru własnej drużyny czy własnego narodu, co oczywiście przyczynia się do utrudnienia realizacji dążenia do wspólnoty ludzkiej.

Z SEKRETARIATU PRYMASA POLSKI

W dniach 11-13 lutego br. obradowała w Warszawie, w Domu Arcybiskupów Warszawskich, Komisja Główna Episkopatu i Konferencja plenarna, pod przewodnictwem J. Em. Ks. Kardynała Prymasa Polski. Rozpatrzone całokształt sytuacji Kościoła w Polsce. Konferencja zastanawiała się głównie nad sprawami duszpasterskimi, w ramach Wielkiej Nowenny przed Milenium. Główne zadanie duszpasterstwa tego okresu wyrażone jest w Słubowaniach Jasnogórskich. Wiele uwagi poświęcono informacjom, przekazany przez Ks. Biskupa Pękałę o organizacji pomocy dobroczynnej dla ubogiej ludności Polski. Podroz Ks. Biskupa ujawnia gotowość narodów katolickich przyjąć w Polsce z pomocą, w ramach duszpasterstwa dobroczynnego, pod odpowiedzialnością Episkopatu Polski. Księża Biskupi pomoc tę przyjęli i ufają, że będą mogli służyć nią bez przeszkód społeczeństwu. Konferencja przyjęła z uznaniem decyzję Władz Państwowych, mocą której zostały zwrócone Kościołowi precjoza liturgiczne, złożone po wojnie na Wawelu. Również zezwolenie na wyjazd za granicę dla młodych księży, którzy otrzymali stypendia naukowe na Uniwersytetach Papieskich, Konferencja przyjęła z radością.

W dniach 1 i 6 lutego br. władze państwowe przekazały Kościołowi przedmioty kultu religijnego, zrabowane przez hitlerowców w kościołach Archidiecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej oraz Diecezji Chełmińskiej, Łódzkiej i Płockiej, a rewindykowane w 1945 r. z Wiesbaden i Grasleben i przechowywane dotąd na Wawelu i w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Chodzi w danym wypadku o cenny sprzęt liturgiczny, jak kielichy i monstrancje, które pobożność katolicka przeznaczyła na chwałę Bożą, oraz o relikwiarze wraz z św. relikwiami, które wielowiekowa tradycja otoczyła czcią całych pokoleń...

Można ufać, że i pozostałe precjoza kościelne oraz przedmioty sakralne, zagrabione przez okupanta hitlerowskiego, a rewindykowane i znajdujące się jeszcze w Muzeum Narodowym w Warszawie i innych Państwowych Zbiorach Sztuki, wrócą niebawem do kościołów, prawnych swych właścicieli. I tak, pięknie odnowiona Katedra w Płocku czeka na kielich mszalny „Konrada” i relikwiarz św. Zygmunta, zawierający relikwie tego Świętego, który jest Patronem Katedry i miasta Płocka. Kościół św. Krzyża we Wrocławiu czeka na sarkofag Księcia Henryka, a Katedra św. Jakuba w Nysie czeka na ołtarz i sprzęt liturgiczny znajdujący się w Muzeum w Pszczynie.

Zasnęli w Panu Księża Biskupi:
STANISŁAW RESPOND w Krakowie; sufragan krakowski, Asystent Tronu Papieskiego; ur. w 1877 r., kapłanem został w 1901, a biskupem w 1927; internowany przez reżym 1953-56;
SZCZEPAN SOBALKOWSKI na Jasnej Górze, nazajutrz po sakrze biskupiej; ur. w 1901 r. święcenia kapłańskie otrzymał w 1924 r.; był rektorem Seminarium Duchownego w Kielcach.

W ramach przyrzeczonej pomocy dla repatriantów i dla biednych w Polsce, wartości kilkudziesięciu milionów dolarów, katolicka organizacja charytatywna w Ameryce N.C.W.C. dotąd przekazała pod adresem J. Em. Ks. Kardynała Prymasa... transporty... 16.924 bel odzieży, 2.982 worków obuwia, 2.145 kartonów mleka, 1.852 kartonów sera, 90 skrzyń odzieży i obuwia, 160 beczek, skrzyń i kartonów lekarstw, wagi przeszło 1.000 ton i wartości około 2.000.000 dolarów.

Wszystkie dotychczasowe transporty zostały całkowicie zwolnione z opłat celnych i rozdzielono je proporcjonalnie na poszczególne diecezje Polski.

Lekarstwa otrzymane w darze od amerykańskiej organizacji charytatywnej NCWC, od Rady Polonii Amerykańskiej i Kanadyjskiej, oraz od różnych polskich i obcych organizacji dobroczynnych z całego świata. J. Em. Ks. Kardynał Prymas podzielił między szpitale w Warszawie, Poznaniu, Zakopanem, Gostyninie, Smukale, a w szczególności między różne lecznice i sanatoria na Ziemiach Zachodnich (Wrocław, Szczecin, Olsztyn), oraz między tysiące osób ubogich, proszących o lekarstwa w różnych chorobach.

...Cenne te lekarstwa, przeważnie najbardziej poszukiwane, wartości około miliona dolarów, wiele pomogły naszym chorym i wielu uchroniły od niechybnej śmierci.

Oprócz lekarstw J. Em. Ks. Kardynał Prymas przekazał Instytutowi Onkologicznemu w Warszawie aparat kobaltowy do leczenia nowotworów, dar Polonii kanadyjskiej. W najbliższej zaś przyszłości jeden ze szpitali Stolicy otrzyma aparat zwany „sztuczną nerką”, a kilkanaście innych szpitali w kraju będzie wyposażonych w nowoczesne elektrokardiografy.

PO LEPKACH

DROGA KATECHUMENA

W ANKIECIE „Znaku” na temat „Formacji katolickiej w dwudziestolecu” zabrał kolejno głos, w zeszytach 43, świetny pisarz Jerzy Zawieyski. Opisuje on własną „drogę katechumena”, którego do Kościoła nie pociągnęło niemal nic, co było tradycyjnie katolickie, przeciwnie, pociągało go wszystko, co było niekatolickie.

Więc najpierw od Kościoła odstraszał Zawieyskiego kler. „Muszę wyznać z bólem, że Kościół w osobie swych urzędowych przedstawicieli, czyli kleru stanowił dla nas największą przeszkodę na drodze do katolicyzmu i wiary”. „Dla nas” — to znaczy dla ówczesnych polskich katechumenów, z których wielu zawróciło z drogi i dziś znajduje się na przeciwnych pozycjach. „Katolicyzm równał się dla nas — pisze Zawieyski — z antysemityzmem, z faszyzmem, z ciemnogrodem, fanatyzmem i wszelkimi zjawiskami antypaństwowymi i antykulturalnymi”. Gorszyło Zawieyskiego, że „pewna część katolików popierała ruchy nacjonalistyczne, nawet faszystowskie”. Nienawidził „młodzieży wszechpolskiej, która w swym programie stawiała hasło Boga i Ojczyzny”. W tym to programie znakomity dramaturg znajdował „wszystko, co wsteczne, agresywne, sycone nienawiścią”. Kościół prowadził, jego zdaniem, niepotrzebną „walkę na wszystkich

Styczniowy numer „Znaku” — opracowali nasi przyjaciele. „myśląc o różności” ludzi i „dróg ludzkich poszukiwań, dążeń i odnawiania”, a różnorodności te spięli hasłem „wspólnego wędrowania”.

Numer wychyłony jest ku zagranicy, tematycznie i geograficznie: od modlitwy św. Heleny (Waugh w tłumaczeniu Ewy Gieratowej z Bronxville), przez opowieść o dziwniej Krystynie z Flandrii, Haliny Górskiej, — do „Zdarzeń, książek i ludzi”, gdzie mowa o Francji czy Finlandii.

Maria Morstin-Górska i Wanda Poltawska studiują Karla Sterna „prowadzonego przez ślup ognisty”, jego autobiografię i prace psychoanalityczne, jego drogę do Boga.

Te zainteresowania i szukanie kontaktu — zresztą dwustronnego, o czym świadczy streszczenie francuskie zawartości numeru (powinno dojść z czasem angielskie), stanowią pośrednio wezwanie do katolików emigracyjnych, żeby pomagali czynnie i skutecznie w umacnianiu łączności między polskim katolickim ruchem intelektualnym a zagranicą.

Andrzej Grzegorzczak, młody matematyk i logik, szuka sensu i myśli we wszechświecie oraz uzasadnienia spirytualistycznego poglądu na świat w zasadniczej pracy pt. „Między dyskursywnym a kontemplacyjnym myśleniem — Doświadczenia, teoria, rozumienie”.

Na polskim odcinku — ankieta „Formacja katolicka w dwudziestolecu” przynosi wypowiedź Jerzego Zawieyskiego. Kontrowersyjna relacja „dziejów niespokojnego serca” wywoła zapewne polemiki. Ale pamiętać będziemy, że autor sam prosi przyjaciół o darowanie „zbyt ostrych i namiętych” osądów i kończy wzruszającym wyznaniem: „Spotkaliśmy się późno przy wspólnym stole, ale już chyba na zawsze”. Pożyteczny przegląd krajowej prasy katolickiej omawia pisma znane nam i cenione, a energicznie kolportowane przez K. O. W. „Veritas”.

frontach myśli laickiej z wrogiem urojonym, który wcale tej walki nie chciał i nie raz jej nie podejmował”. W szczególności do dziś dnia z serca Zawieyskiego nie ustąpił żal za zwalczanie przez hierarchię kościelną ruchu wiciowego na wsi. („Wici”, jak wiadomo, głosili najpierw indyferentyzm, a potem neopogaństwo.)

Nie podobala się świetnemu autorowi także Akcja Katolicka, „która była wielką przegraną na obszarze zagadnień oświatowych i kulturalnych”. Złe były katolickie uniwersytety ludowe, teatry, sztuki katolickie, „których poziom mógł odstraszać każdą duszę, najbardziej zgłodniałą wiary”. O prasie woli Zawieyski nie wspominać. „Raził go” „Mały Dziennik” i „Rycerz Niepokalanej” o Kolbego, „znany z ogłoszeń o cudach”. „Zła także sytuacja była w literaturze katolickiej”.

Tak więc w dwudziestolecu nie dostrzegaliśmy Jerzy Zawieyski żadnych pozytywnych osiągnięć katolicyzmu w Polsce, żadnych poważniejszych ośrodków, żadnej myśli, ani ludzi. Tylko dwa księgom polskim, i to jednemu zza granicy, zawdzięcza pisarz światło na swej drodze do Kościoła.

Świecili mu natomiast laicy, indyferenci, liberałowie, innowiercy, heretycy, „Wici”, artyści, teatr, „Reduta”, Francuzi, Gandhi.

Niezbadane są wyroki Opatrzności. Trudno przeczyć: mogło się zdarzyć. Nie o to chodzi. Ale poza prywatną drogą do Kościoła Jerzego Zawieyskiego jest jeszcze sprawa społeczeństwa katolickiego Polski dwudziestolecia, które słynny dramaturg odsądza — dosłownie — od czci i wiary.

Przede wszystkim, czym dla Zawieyskiego jest w końcu Kościół, jeśli nie klerem i społecznością wiernych, i czym „katolicyzm”, jeśli nie organizacjami, Akcją Katolicką, prasą, teatrem, literaturą? Czyżby Kościół był czym innym niż jego kapłani i jego członkowie, jeśli chodzi o jego ludzką stronę? Czyżby społeczeństwo uważające się za katolickie mogło aż tak błędzić, żeby wszystko, dosłownie wszystko, co robi i co myśli, było zaprzeczeniem katolicyzmu? Czy to możliwe, żeby Kościół katolicki w jakimś kraju był katolickim: tylko z pozoru?

Kościół w Polsce był po prostu Zawieyskiemu niemiły. Wolałby inny. Wolałby Kościół, który dogadza jego wyobrażeniom o katolicyzmie, a nie taki, który posiada swoje własne, skryzalizowane oblicze i swoją wiekową tradycję. Wolałby Kościół bardziej „postępowy” i „kulturalny”, „zachodni”, modny. Bardziej odpowiadający jego gustom estetycznym i poglądom społecznym. Jednym słowem, ideałem Zawieyskiego byłby Kościół, przypominający nieco partię polityczną, czy też klub inteligencji katolickiej o określonym kierunku.

Oczywiście nie można zaprzeczać, że w Kościele jest miejsce dla wszystkich ludzi: dla prostaczków i mędrców, dla ubogich duchem i duchów wybranych, dla postę-

powców i zacofańców, dla lewicy i prawicy społecznej, dla grzeszników i świętych. Ale katolik powinien też dobrze rozumieć to, że Kościół jest właśnie takim zróżnicowanym i wszechobejmującym społeczeństwem. I nie powinien doraźnie klasyfikować katolików na lepszych i gorszych, na ciasnych i oświeconych, na postępowych i wstecznych, skoro nie to decyduje, iż są katolikami. Katolikom wolno mieć najrozmaitsze poglądy na życie państwowe, społeczne, gospodarcze, umysłowe itd. Mają prawo być nie tylko „nacjonalistami”, ale nawet „faszystami”. Nie mają tylko prawa, jak nas poucza Kościół, być komunistami.

Zawieyski nie tylko tej prawdy zdaje się nie dostrzegać, ale nawet stawia się w roli sędziego katolicyzmu polskiego w dwudziestolecie. Bo jakże inaczej ocenić jego wyrok, że „katolicyzm równał się dla nas z antysemityzmem, z faszyzmem, z ciemnogrodem, fanatyzmem i wszelkimi zjawiskami antypostępowymi i antykulturalnymi”. Bardzo to wieloznaczne pojęcia: antysemityzm, faszyzm, ciemnogród, fanatyzm, „zjawiska antypostępowe i antykulturalne”. W krajach „demokracji ludowej” posiadają, niestety, określone znaczenie. Określają bowiem wszystko, co nie posiada uznania partii komunistycznej. Wszystko, co niekomunistyczne. W szczególności wszystko, co tradycyjne, narodowe i katolickie. Ale, na miły Bóg, tym językiem nie powinni przemawiać katolicy! Cóż w ogóle znaczą w języku katolika — członka Kościoła katolickiego — faszyzm albo „zjawiska antypostępowe i antykulturalne”? To nie jest język

wiary, lecz polityki. Czyżby taką miarą oceniał rolę i znaczenie Kościoła Jerzy Zawieyski?

W ogóle, jakim prawem pisarz, który rozgłos swój zawdzięcza nie komu innemu, jak tylko społeczeństwu katolickiemu w Polsce, widać nie tak całkiem ciemnemu, skoro mogło zrozumieć i odczuć jego dzieła, jakim prawem mieni się sędzią nie tylko całego społeczeństwa, ale nawet i hierarchii kościelnej? (Bo chyba nie marksiści zdecydowali o sławie Zawieyskiego?) Skąd pewność, że katolicyzm lewicowych katechumistów jest lepszy i miłszy Bogu od katolicyzmu „nacjonalistycznego” lub „młodzieży wszechpolskiej”?

Jakoś dotąd, chwała Bogu, ani katolicyzm polski nie wyszedł źle na swoim nacjonalizmie, ani polski nacjonalizm na związku z Kościołem. Ale, oczywiście, nacjonalizm nie jest nie tylko równoznaczny z katolicyzmem, ale nawet nie jest jego koniecznym składnikiem. Niemniej, Kościół jest dziełem Boskim i ludzkim jednocześnie. Ludzie nadają mu swoich właściwości i cech. Narody formują swoje Kościoły i wypełniają je ludzką treścią. Katolicyzm polski, z którego jesteśmy tak dumni, który przetrzymał dwie okupacje i który trwa dziś niewzruszenie na szczytach swojej tradycji, wytrwanie swoje i zwycięstwo zawdzięcza nie czemu innemu, lecz, z Bożej łaski, własnemu obliczu, własnej postawie, własnej tradycji. Wytaczanie oskarżeń przeciw niemu, krytykowanie katolicyzmu polskiego jest dziś wodą na młyn cudzy.

J. B.

AUTOR KRAJOWY NA EMIGRACJI

„Przygoda florencka”

Ludwik Hieronim Morstin jest nie tylko wybitnym dramaturgiem, ale i jednym z pierwszych w Polsce miłośników Italii. Jako owoc jego powrotu po wielu latach absencji, wiosną 1956, do kraju Łatynów, powstała komedia pt. „Przygoda florencka”, której prapremierę grano w Teatrze Kameralnym w Łodzi w roku ubiegłym. Obecnie wystawił ją Teatr Polski w Londynie, pod kierownictwem Leopolda Kielanowskiego.

Nie dorównuje ona klasą poprzednim, klasycznym sztukom Morstina, ale jest to dzieło głęboko kulturalne, napisane ze swobodą i lekkością rasowego dramaturga, o płynnym dialogu.

„Modele osób — pisał autor z okazji prapremiery — występujących na scenie żyją w słonecznej Italii.” We Florencji żyje spokojnie i szczęśliwie para polsko-włoska, Juliusz i Giovanna. Niespodziewanie odwiedza ich małżeństwo z Polski. Irena była przed wojną żoną Juliusza. Włoszka, zazdrosna o męża, więc początkowo nierada spotkaniu byłych małżonków, dzięki wrodzonej dobroci nie tylko zaprasza przybyszów pod dach własnego domu, ale ofiarowuje im wspaniałą gościnę. Pod wpływem wspomnień uczucie Ireny odradza się. Dostrzegając to Giovanna postanawia rozkochać w sobie Andrzeja i pragnąc zemsty, proponuje mu, z włoskim temperamentem, wspólny wyjazd do rodzinnej Wenecji. Ani ożywienie uczuć Ireny i Juliusza nie prowadzi do niczego, ani awantura Giovanny z Andrzejem. Irena wraca do Andrzeja, szczęśliwa Giovanna do Juliusza. Intrygą nie tyle miłosną, co uczuciową, jest główny wątek komedii — tęsknota emigrantów za Krajem

oraz różnica klimatów życia w Polsce i na Zachodzie. Uwypuklają ją dodatkowo dwie postacie epizodyczne: pana Zygmunta Ostrońskiego, przypominającego trochę Zygmunta Nowakowskiego, patrzącego na świat poprzez mgłę tęsknoty za Polską i pogrążonego we wspomnieniach krakowskich, oraz służącą Polki, Anny — wojującej sarmatki, a równocześnie z duszy nienawidzącej nowych porządków w ojczyźnie. O tej stronie swojej komedii pisał Morstin: „Nie ma, nie może być szczęścia poza ojczyzną, to sobie uświadomiłem w kontakcie z emigracją.” Jest wreszcie „Przygoda florencka” pieśnią zachwytu nad pięknem Włoch.

Dawno nie mieliśmy na deskach emigracyjnych tak inteligentnej sztuki. Niemniej niepodobna uważać jej za udaną. Pierwszy akt doskonały, ale zapowiada dramat. Drugi rozwija się podobnie, trochę nawet w melodramat, aby niespodziewanie, mniej więcej od połowy, zamienić się w komedię, czy nawet prawie w farsę. Morstin jest świetnym dramaturgiem, lecz słabszym komediopisarzem. Toteż wszystko, co jest w „Przygodzie florenckiej” komedią, odznacza się bezzadnością. Autor dosiada oklepanych koników komediowych. W pierwszym akcie zarysował plan pięknego dramatu, ale uciekł przed jego rozwiązaniem w lagunę niezbyt pomysłowej farsy.

Natomiast charakterystyki i typy udeżył Morstinowi nadzwyczajnie. Najdoskonalsza jest Giovanna, jakby żywcem wzięta z życia do sztuki, arcywłoska, a więc kulturalna, rozumna, żywa, wierna i zazdrosna.

A stworzył tę postać Morstin jakby dla Krystyny Dygatojny. Ona natomiast zrozumiała każdy, nawet najdrobniejszy szcze-

gół wizji Morstina. Dzięki autorowi, reżyserowi i własnej inteligencji była prawdziwą Włoszką. Udatnie nawet naśladowała język polski w ustach włoskich, nie mówiąc o bezbłędnym recytowaniu (co nie często zdarza się aktorom) wyrazów i przysłów włoskich. Grała z takim rozumieniem roli i charakteru, że można ją w tej sztuce porównać do niezachmurzonego, jakby włoskiego, słońca.

W polskich rolach natomiast było trochę cienia. Irena Brzezińska miała niewdzięczną najmniej konsekwentną w sztuce, rolę: od sentymentalnego dziewczęcia polskiego do siłaczki. Bardziej przekonująca była w tym drugim charakterze i w ogóle w partiach dramatycznych.

Laury komediowe zebrała najobficiej Janina Sempolińska, w roli wścibskiej służącej-dewotki.

Panie o wiele lepiej opanowały rolę. Wojciech Wojtecki byłby niemal bardzo dobry, gdyby nie rażące luki w tekście, w czym jeszcze gorzej było u Bogdana Urbanowicza. Wojtecki dał mocny portret tęskniącego za krajem, ale już wrośniętego w kulturę Zachodu emigranta. Niezmiernie żywa i plastyczna jest postać architekta z Warszawy, po słowiańsku nieopanowanego uczuciowo i trochę dzikiego Andrzeja, dobrze zrozumiana przez Urbanowicza. Czysta rola epizodyczna Stanisława Zięciakiewicza.

Reżyser Leopold Kielanowski spełnił swe zadanie prawie bez zarzutu, gdyż na opanowanie tekstu przez obsadę miał zapewne wpływ nieduży. Przydałoby się szybsze tempo sztuki. Takich dekoracji, jakie dał Tadeusz Orłowicz, nie widzieliśmy od wieków na emigracyjnej scenie. Jakby przyniósł z Florencji garść jej światła i barw.

Morstin miał przybyć z Kraju na premierę. Niestety, nie mógł na razie, przysyłając na ręce Leopolda Kielanowskiego wzruszający list, który dołączono do programu.

J. B.



OPIEKUN - JUBILAT

J. E. Ks. Arcybiskup Józef Feliks Gawlina urodził się 18 listopada 1892 r. w Strzybniku na Górnym Śląsku.

Studia teologiczne we Wrocławiu i Warszawie kończy doktoratem. Po święceniach kapłańskich w r. 1921, pracuje w parafiach śląskich, później w katowickiej Kurii Biskupiej. W r. 1925 organizuje w Warszawie Katolicką Agencję Prasową (KAP) i zostaje jej pierwszym dyrektorem.

Mianowany 15 lutego 1933 r. biskupem tytularnym Mariamme, otrzymuje 19 marca sakrę biskupią. Obejmuje urząd Biskupa Polowego Wojsk Polskich.

Ranny w kampanii wrześniowej, przedostaje się z oddziałami do Francji, po czym do Wielkiej Brytanii. Organizuje duszpasterstwo polowe na obczyźnie. Jest członkiem pierwszej Rady Narodowej R.P. w Londynie (1940-41) i przewodniczy komisji zagranicznej. W r. 1942 dociera do Rosji Sowieckiej, do armii polskiej i do skupisk wywiezionej ludności cywilnej. W r. 1943 jedzie do Stanów Zjednoczonych i uzyskuje od Episkopatu amerykańskiego pomoc dla polskich uchodźców oraz ustala współpracę z NCWC. Towarzyszy walkom II Korpusu we Włoszech; pod Monte Cassino dostaje krzyż Virtuti Militari — za odwagę.

Po wojnie jest mianowany ordynariuszem Polaków w Niemczech. 30 maja 1946 r. Ojciec św. nadaje Mu godność Asystenta Tronu Papieskiego. W roku 1947 obejmuje rektorat polskiego kościoła św. Stanisława w Rzymie, gdzie od roku 1949 wydaje pismo „Duszpasterz Polski Zagranicą”. Dekretem św. Kongregacji do Spraw Nadzwyczajnych zostaje mianowany Opiekunem Uchodźstwa Polskiego 28 stycznia 1949 r. Wizytuje polskie ośrodki i placówki duszpasterskie w Europie, Ameryce Północnej i Południowej. W roku 1952 wchodzi do Najwyższej Rady dla Spraw Opieki nad Emigrantami przy św. Kongregacji Konsystorialnej; Stolica Apostolska nadaje Mu godność Arcybiskupa tyt. Madytu; zostaje Dyrektorem Federacji Światowej Kongregacji Marińskich.

Ks. Arcybiskup Gawlina jest Patronem Fundacji i Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” i Protektorem Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą.

Dnia 15 lutego 1958 r. nastąpiło 25-lecie Biskupstwa, które w dziejach Kościoła, tak pełnych niecodziennych wydarzeń, uderza swoją wyjątkowością. Chodzi bowiem o Biskupa, który nigdy nie był takim biskupem, jakiego sobie zwykle ludzie wyobrażają — z diecezją i siedzibą przy pięknej katedrze. Biskup, o którym mowa, ma „oficjalną” siedzibę swoją wśród niewiernych, a raz zwiedził to miejsce... „dzięki wojnie”. Nie jest ordynariuszem diecezji, ani sufraganiem. Nie jest już biskupem wojskowym, bo armia, której był biskupem polowym, została rozwiązana przez ... aliantów.

Siedzibą Jego jest Rzym a polem działania cała kula ziemską, gdziekolwiek Opatrzność zaprowadziła Polaków. Trafnie zauważył Kardynał Mooney w liście pasterskim do wiernych w sprawie pomocy religijnej dla katolickiej Polski — że ten wyjątkowy Biskup sięga swoim posłannictwem do wszystkich niemal diecezji świata.

W sprawach duszpasterskich mówi i pisze w języku polskim, niemieckim, francuskim, włoskim, angielskim, łacińskim. Łatwiej jest zestawić te kraje, w których nie był niż kraje, w których gońił za polskimi duszami.

Był pierwszym biskupem katolickim, który pojechał do stalinowskiej Rosji komunistycznej, gdzie organizował duszpasterstwo dla żołnierzy polskich. Wywarł poważny wpływ na stosunek Watykanu do komunizmu rosyjskiego.

Nie było chyba w wielowiekowej historii dyplomacji watykańskiej przypadku biskupa bez diecezji, bez kraju, bez oparcia o hierarchię i państwo, biskupa, który by załatwiał sprawy dyplomatyczno-duszpasterskie, czy wojskowo-kościelne, dotyczące sił zbrojnych w koalicji, obejmującej państwa oficjalnie nie uznające Watykanu a liczące się z nim li tylko jako z siłą międzynarodową, czy nawet otwarcie zwalczające Stolicę Apostolską. Co więcej, zadania te wypełniał nawet wtedy, kiedy alianci oddali Polskę w niewolę a nawiązała stosunki dyplomatyczne z tym rządem „polskim”, który wyparł się wolnych Polaków i nie uznał Watykanu!

Bywał częstym gościem w bombardowanym Londynie. Zwiedzał bodaj wszystkie dostępne mu obozy jenieckie i uchodźcze. Mało kto z biskupów wygłosił tyle konferencji dla księży i rekolekcji.

Jest pierwszym polskim Biskupem, który w erze powojennej masowych emigracji i wysiedleń kładzie podwaliny pod teologię pastoralną światowej Polonii. Zakłada jedyne w całym świecie katolic-

kim czasopismo poświęcone tymże zagadnieniom „Duszpasterz Polski Zagranicą”. O wpływie na nowe ustawodawstwo kościelne emigranckie (vide Konstytucja Apostolska „Exsul Familia” i przemówienie papieskie o idealnej opiece duszpasterskiej na emigracji z 23 lipca 1957), można sobie sąd wyrobić czytając chociażby oficjalną korespondencję wyгнаńczego Biskupa z Kardynałem Sekretarzem Piazzą (patrz Sodalis, Orchard Lake, Michigan, listopad 1953 oraz broszura wydana w 1956 r. w Orchard Lake: „Konstytucja Apostolska Piusa XII Exsul Familia, jej treść i znaczenie dla Polonii”).

Z okazji nadchodzącego tysiąclecia Chrztu Polski rozszerza horyzonty dziejów katolicyzmu polskiego; dotąd ukazały się cztery tomy monumentalnego dzieła naukowego: „Sacrum Poloniae Millennium”, którego jest głównym wydawcą.

Jest pierwszym biskupem polskim, który został moderatorem Sodalicji Marińskich całego świata.

W czasach przełomowych, w warunkach wyjątkowych, na różnorodnych polach pracy, ani Stolica Apostolska, ani hierarchia polska, ani żaden podręcznik pracy duszpasterskiej, ani żaden komentator prawa kościelnego nie może Mu dostarczyć gotowych i konkretnych rozwiązań.

Zasięg pracy olbrzymi — ale... bez stałych dochodów, poza dobrowolnymi świadczeniami Duszpasterzy i rzesz uchodźczych, podległych przecież bezpośrednio miejscowym ordynariuszom.

Wyjątkowe są warunki Jego pracy jeżeli chodzi o stosunki z ludźmi. Ma znanych rozsiąanych po całej kuli ziemskiej, ale wielu z nich nie rozumie Go, bo Jego troski, tryb życia, metoda pracy przerastają ich pojęcie; wielu nie mógł zadowolić mimo najlepszych chęci; wielu Go podziwia, ale nie kocha, bo trudno kochać pilota, pędzącego dokoła kuli ziemskiej, albo generała w czasie kampanii wojennej; niewiele jest takich, którzy mogą i chcą Mu towarzyszyć przynajmniej duchowo, w Jego globalnych zainteresowaniach na przełomie dziejów, gdy się nowy ład świata rodzi.

A przecież wszyscy katolicy polscy, gdziekolwiek są, powinni modlić się na intencję Jego Ekscelencji Arcybiskupa Józefa Gawliny — o Nim to bowiem mowa — w okresie, który otwiera dzień 15 lutego 1958 r. — 25-lecie Sakry Biskupiej naszego Arcypasterza, niewątpliwie wyjątkowego Biskupa.

Ks. Walery J. Jasiński
(Orchard Lake)

DAJEMY C Z Y N N Y W Y R A Z CZCI I WDZIĘCZNOŚCI
DLA ARCYPASTERZA-OPIEKUNA UCHODZSTWA POLSKIEGO
SKŁADAJĄC OFIARY NA FUNDUSZ KSIĄŻEK DLA KRAJU
I WYDAWNICTW DLA DZIECI POLSKICH NA OBCZYŹNIE
IMIENIA JEGO EKSCLENCJI ARCYBISKUPA J. F. GAWLINY.

INSTYTUT HISTORYCZNY W RZYMIE

W swojej siedzibie w Rzymie na ulicy Scipioni 284 zbiera się raz na miesiąc na zwykłe zebrania naukowe Polski Instytut Historyczny, który w roku 1957/58 rozpoczął swój XIV rok działalności.

Na zebraniu w dniu 17 października Emeryk Czapski wygłosił referat o polonikach w archiwum państwowym we Florencji. W dziale III archiwum, który zawiera akta rządu republiki florenckiej, jest nieco poloników, m. in. „List sekretarza króla polskiego Władysława z roku 1403”. Natomiast dział IV ma wiele poloników, zwłaszcza z czasów rodziny Wazów. Teki 4292, 4293 i 4295 zawierają listy królów i królowych polskich od Zygmunta I do Jana Kazimierza i różnych panów polskich, z rodzin Radziwiłłów, Sapiechów, Zamojskich, Myszkowskich, Łaskich, Rządziejewskich, Lubomirskich i innych. Jest wiele wiadomości o Iwanie Groźnym, o walkach z Turkami i Tatarami, m. in. o śmierci Stanisława Żółkiewskiego pod Cecorą. Są też wiadomości do czasów Dymitra Samozwańca, wyprawy Mniszchów, osoby Filareta patriarchy moskiewskiego i jego syna Michała wybranego na tron carów, założyciela Romanowych.

Literatura historyczna dwudziestolecia niepodległości była przedmiotem omówienia na posiedzeniu Instytutu w dniu 28 listopada. Ambasador polski przy Watykanie dr Kazimierz Papée mówił o ostatnich pracach historycznych omawiających najnowsze dzieje Polski. Prac historycznych o odzyskaniu niepodległości jest niewiele, natomiast wiele jest wydanych źródeł. Wśród prac należy zanotować Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa” i Bobrzyńskiego „Wskrzeszenie państwa polskiego 1920-1925”. Prelegent omówił z kolei Komarnickiego „Rebirth of the Polish Republic, 1914-1920”, (książkę wydał Heinemann w Londynie 1957, stron XIII+776). Praca ta jest podstawowa, oparta na pewnych źródłach i nie może być nie uwzględniona przy studiach nad owymi 7 latami

historii polskiej. Inną książką dotyczącą historii dwudziestolecia jest niemieckiego autora Hansa Roosa „Polen und Europa”, Studien zur politischen Aussenpolitik 1931-1939 (wydana w Tuebingen 1957, stron XI + 421). Prelegent podkreśla, że autor pisze o sprawach polskich bez animozji, omawiając w pierwszej części ostatnie lata rządów Józefa Piłsudskiego 1931-1935, w drugiej epigonów Józefa Piłsudskiego 1935-1939. Autor jest zna źródła i wydane prace, nie ustrzegł się jednak błędów w omawianiu niektórych faktów. W uzupełnieniu prelekcji ambasadora Papée prezes Instytutu ks. prałat Walerian Meysztowicz omówił W. Pobóg Malinowski „Najnowszą historię polityczną Polski” (2 tomy, wydane w Paryżu 1953 i 1956), wskazując, że ze względu na pisanie pracy raczej z pamięci i na podstawie relacji świadków nie jest ona historią we właściwym tego słowa znaczeniu; wspominał też o trudnościach, jakie musi pokonać autor pisząc o wypadkach sobie współczesnych.

Na zebraniu Instytutu w dniu 19 grudnia dr Karolina Lanckorońska wygłosiła niezwykle interesującą prelekcję o granicach diecezji rzymsko-słowiańskich w Polsce za Bolesława Chrobrego. Ponieważ referat omawiał zagadnienie prawie nieznanne, preto podajemy go w obszerniejszym streszczeniu, opierając się na streszczeniu podanym przez „Relations Instituti Historici Polonici Romae”, jakie ukazują się po każdym miesięcznym zebraniu Instytutu.

W Polsce za czasów Bolesława Chrobrego oprócz metropolii gnieźnieńskiej była jeszcze druga metropolia katolicka z zależnymi od niej biskupstwami, o czym mówią najstarsze źródła historyczne. Nowożytni historycy twierdzą, że chodzi tu o obrządek rzymsko-słowiański. Prelegentka zaznacza, że już przedtem głosiła hipotezę, że ta metropolia rzymsko-słowiańska nie powstała za czasów Bolesława Chrobrego, lecz była pozostałością ogromnej niegdyś metropolii

morawskiej św. Metodego. Z kolei zajmowało prelegentkę ustalenie granic tej metropolii i jej diecezji, a te badania doprowadziły ją do wykrycia związku między tymi granicami a granicami archidjakonatów, które przetrwały do czasów późniejszych. Różne prace napisane przez uczonych, jako też źródła hagiograficzne, numizmatyczne i architektoniczne wskazują, że stolicą metropolii rzymsko-słowiańskiej był Kraków. Gdy zaś powstała metropolia w Gnieźnie w roku 1000, a biskupi krakowski Poppo i wrocławski Jan zostali poddani jej jurysdykcji, wówczas prawdopodobnie w Krakowie było dwóch biskupów, jeden obrządku łacińskiego, drugi obrządku rzymsko-słowiańskiego. Jeśli chodzi o granice pierwotnej diecezji krakowskiej, to aż do wieku XV obejmowała ona całą ziemię krakowską aż do granic Węgier. Od zachodu graniczyła ze Śląskiem, gdzie znane są ślady obrządku cyrylo-metodiańskiego, od wschodu z archidjakonatem wiślickim. Najstarsze źródła mówią o sławnym mieście Wiślicy, gdzie są dawne i poparte dowodami ślady kultu cyrylo-metodiańskiego. Należy preto przypuszczać, że w Wiślicy była siedziba diecezji zależnej od metropolii krakowskiej obrządku rzymsko-słowiańskiego. Mamy poza tym fakty historyczne stwierdzające, że w Sandomierzu był w latach 1002-1030 biskup Roman, zależny od metropolii krakowskiej, od której ponadto zależała diecezja mazowiecka.

Metropolia rzymsko-słowiańska przestała istnieć na skutek bulli Benedykta IX, papieża w latach 1032-1048, postanawiającej, że wszystkie parafie słowiańskie w całym państwie polskim mają podlegać arcybiskupowi krakowskiemu obrządku łacińskiego. Na Mazowszu latinizacja nastąpiła dopiero w wieku XII. W ten sposób zakończył się okres birytualizmu w Polsce. A późniejsi średniowieczni historycy rozmyślnie przemilczali sprawę dawnego obrządku rzymsko-słowiańskiego, ze względu na dokonaną na Wschodzie schizmę.

Dr Władysław Jelonek

Ś. P. KS. PROF. B. BURIAN

Przeważnie zmarły b. więzień Buchenwaldu i Dachau, „Ojciec Duchowny” w Polskim Seminarium w Paryżu, Ks. Prof. Bolesław Burian był wychowawcą kapłanów i przyjacielem świeckich i młodzieży. Był pierwszym asystentem kościelnym P.K.S.U „Veritas” w Paryżu.

„Polska Wierna” (nr 9) zamieściła obszerny życiorys Zmarłego.

POMOC DLA POLSKI

Polski miesięcznik w Paryżu — „Horyzonty” (pismo niezależne, włącznie z podstawami technicznymi we własnym zakładzie rotograficznym) poświęca zeszyt lutowy kapitalnemu „zagadnieniu pomocy dla Polski od Polaków żyjących w świecie”.

Cykl artykułów: Jana Barańskiego, Jędrzeja Giertycha, Wojciecha Zaleskiego — stanowić ma „zagajenie dyskusji”, która „powinna potoczyć się jak najserzej i skupić na sobie uwagę Polaków poczuwających się do współodpowiedzialności za rozgrywane się w naszych oczach losy Polski”. W tej intencji „Horyzonty” ogłaszają ankietę „Jak emigracja może pomóc Polsce?”.

Stałe działy pisma — ciekawie i żywo redagowane: Horyzont polityczny, Spójrzzenia, Uwagi, Raptularz (w tym ostatnim kwitu-

jemy z wdzięcznością życzliwą notę o ZYCIU).

Uderza konstrukcyjny, a zarazem konstruktywny motyw zeszytu, zgodnie z mottem: „Dobrowolna służba wspólnocie jest wywyższeniem wolności”.

NAGRODY LITERACKIE

Jury w składzie: Jan Bielatowicz, Marian Czuchnowski, Józef Kisielewski, Tadeusz Sułkowski, Wit Tarnawski i Tymon Terlecki (przewodniczący) przyznało nagrodę Związku Pisarzy (£ 50.—); za całość twórczości Józefowi Wittlinowi; nagrodę im. Herminii Neglerowej (£ 50.—) — Czesławowi Miłoszowi; nagrodę Koła A.K. w Detroit za twórczość związaną z walką podziemną w czasie ostatniej wojny (dol. 100) — Zbigniewowi Jasińskiemu; nagrodę dla krytyka literackiego na emigracji, za działalność od jesieni 1956 do jesieni 1957 (£ 30) — Juliuszowi Sakowskiemu; nagrodę młodych im. Stanisława Strońskiego (£ 25) — Mieczysławowi Paszkiewiczowi.

PISARZE W LONDYNIE

Rozpiętość geograficzna tematyki utworów na ostatnim Wieczorze Związku Pisarzy w Londynie była duża: — od Zielonego Śląska Adolfa Fierli począwszy szła przez pola nad Dunajcem Mariana Czuchnow-

skiego, przez Nadniestrze Mariana Łysakowskiego, doszła do Paryża Stefana Legeżyńskiego, Niemiec Teodozji Lisiewicz i Włoch Zofii Kozarynowej. Całość zamknął śpiewem Conradowego oceanu Józef Żywina. Utwory Kozarynowej, Legeżyńskiego i Czuchnowskiego czytała Tola Korian, wiersz Żywiny — Wiesław Mirecki. Przewodniczył prezes Związku Wiesław Wohnout.

Przez kilka ostatnich lat na wieczorach przewodniczył znakomicie Tymon Terlecki. Jego odejście z powodów zdrowotnych z funkcji prezesa zarządu, spowodowało wyrwę w organizowaniu imprez. Wiesław Wohnout udatnie zastąpił poprzednika, przy pomocy wiceprezesa Ignacego Wieniewskiego i Józefa Żywiny.

Fierla w swych trzech wierszach zaklął barwę i kształt rodzinnego Śląska. Czuchnowski dał wyjątek z poematu „Na wsi”, dotyczącego jego stron rodzinnych — Małopolski zachodniej, oraz fragment prozy wyjęty z przygotowanej do druku książki „Opowiadania z czarnej koronki”. Teodozja Lisiewicz czytała wspomnienie z przejazdu przez Niemcy do Francji z wnukliwymi uwagami o psychice niemieckiej. Poemat o Sekwanie czytał Legeżyński. Kozarynowa opowiedziała o spotkaniach włoskich z Towiańczykami. Łysakowski czytał wiersze tłumaczone przez siebie z języka ukraińskiego.

„DZIEŃ POLSKI“ W BONN

Styczniowa debata w Bundestagu zasługuje na retrospektywną analizę w piśmie polskim. Przebieg sesji i awantury towarzyszące jej koncowej, nocnej, fazie, są na ogół znane z relacji prasy europejskiej i niemieckiej. Do tych spraw nie będę przeto powracał.

Ale prasa — szczególnie niemiecka — skoncentrowała się, ze zrozumiałych względów przede wszystkim dookoła niemieckich aspektów dyskusji, tj. sprawy zjednoczenia Niemiec, słuszności, względnie rzekomych błędów polityki dr. Adenauera, a także spraw broni atomowej w środkowej Europie itp. Nie podchwyciła ona jednak zupełnie jednej z najbardziej charakterystycznych stron owego posiedzenia, tj. faktu, że niewidzialną osią, dookoła której rozwijały się namiętne mowy i dyskusje, była sprawa Polski. Parlament niemiecki nie miał chyba jeszcze posiedzenia tak silnie jak to opanowanego przez problematykę polską. Cokolwiek mówiono, jakkolwiek problem analizowano, lub jakie środki zaradcze sugerowano, zawsze wyłączała się Polska jako kraj, jako sąsiad, jako ewentualny pośrednik, mogący przy sprzyjających okolicznościach ułatwić wyjście z załki niemieckiej polityki zjednoczeniowej. Cień polski unosił się niewidzialnie nad obradami suwerenów niemieckich. Nazwisko Rapackiego było jednym z najczęściej wymienianych nazwisk w ciągu dyskusji. W ciągu jednej tylko godziny naliczyłem, iż 22 razy cytowano autora planu strefy bezatomowej w środkowej Europie. Jedni plan polski popierali, inni — z rządem na czele — odrzucali go jako nieużyteczny lub zgola niebezpieczny. Czołowy mówca chrześcijańskiej demokracji, poseł Kiesinger, zwalczał plan Rapackiego w sposób bezlitosny, posługując się — przy analizie rzekomych motywów inicjatywy polskiej — argumentami... rewizjonistycznymi, ale i on ostatecznie w celu zneutralizowania wrażeńa swych niezgrabnych uwag zakończył ciepłym słowem pod adresem „bezpośredniego i głównego sąsiada Niemiec na wschodzie”. Jakkolwiek przedmiot dyskusji pociągał za sobą konieczność analizowania planu Rapackiego, to do wysunięcia go jako „lejtmotiwu” całej debaty przyczyniło się sprytnie posunięcie reżyderskiej opozycji rządowej. „Neue Rhein — Rhur Zeitung”, organ SPD w Essen, na pierwszej stronie swego w dniu 23 stycznia ukazującego się numeru umieścił obszerny wywiad korespondenta tegoż pisma z ministrem Rapackim. W godzinach rannych można było z trybuny obserwować zapoznanie się prawie wszystkich posłów, z prawa i lewa, z treścią tego wywiadu. Na ławach rządowych wędrowała „Neue Rhein — Rhur Zeitung” z rąk kanclerza Adenauera do min. von Brentano i innych ministrów. Zainteresowanie sprawami Polski nie opuszczało dyskutujących, osiągając swój punkt kulminacyjny w przemówieniu liberała Dehlera, byłego ministra sprawiedliwości w dawnych gabinetach Adenauera, który w sposób cięty i dokuczliwy wysuwał nie zawsze przekonujące argumenty przeciwko polityce rządu, ale który bardziej wyróżnił, aniżeli ktokolwiek inny, uwytknił kluczową pozycję, jaką „pionek polski” zajmuje na zamiatanej szachownicy niemieckiej polityki zjednoczeniowej.

Dehler piętnował brak aktywności polityki niemieckiej w stosunku do Polski, szczególnie fakt nienawiązania dotychczas stosunków dyplomatycznych z Warszawą. Był on w lecie ubiegłego roku w Polsce i spostrzeżenia swoje ujął m. in. w następujące słowa: „...Nie wiecie co jest tam żywe, co jest tam rozrzucone, co za przewrót duchowy się tam dokonał mimo istnienia Bóg jeden wie jakich trudności i obciążeń. Nie macie w ogóle pojęcia o dramatycznym napięciu wydarzeń tamtejszych, kiedy zjawiał się tam Chruszczow i Zukow, by pognać Gomulkę i kiedy... z rosyjsko-polskim marszałkiem Rokossowskim opuścił Warszawę jako pokonany człowiek... Ale jeszcze coś więcej stwierdziłem w Warszawie. Ambasador tak zwanej NDR stoi na wszystkich przyjęciach po kątach, pogardzany i przez wszystkich unikany. Taka jest tam sytuacja... i my nie potrafimy z tego skorzystać... Polska mogłaby być naszym partnerem w dążeniach do osiągnięcia zjednoczenia Niemiec... Ale o to należy zabiegać. Indolencją, bezczynnością, biernością, jaką w sposób nieodpowiedzialny nasz rząd okazuje, niczego się nie osiągnie...”

Liberałowie, a szczególnie Dehler, użyli trybuny parlamentarnej do przeprowadzenia „porachunków” z byłymi partnerami koalicyjnymi. Sprawa polska była jednym z licznych, w swoim rodzaju bardzo wygodnym, argumentem w tej rozgrywce. Wyolębną niejako marginesowo na tle namiętnej debaty. Inaczej podchodzili do problematyki polskiej socjaldemokraci. Ich polemika z kanclerzem była rzeczowa, wstrzemięźliwa, jak gdyby — mimo istniejącej różnicy — szukająca punktów stychnych pomiędzy programem rządu a opozycją. Postulat normalizacji stosunków z Warszawą stawiali szczerze jako kluczowe przesto swej „polityki wschodniej”, której brak zarzucają rządowi. Zdaniem ich ta właśnie polityka uchylić może w dalszej perspektywie drzwi do zjednoczenia obu republik niemieckich.

Z tych założeń wychodząc, socjaliści domagają się rozpatrzenia planu Rapackiego jako środka mogącego przy sprzyjających okolicznościach stanowić pierwszy etap rozpuszczania lodów, utrwalających obecny status quo Niemiec. Toteż postawa socjaldemokratów nie ograniczała się do wszechstronnego analizowania polskiego eksperymentu październikowego i szukania w nim punktów zaczepnych dla własnych dążeń! Socjaldemokraci złożyli na wspomnianym posiedzeniu wyraźny, dekonstrucyjny wniosek, wzywający rząd federalny do natychmiastowego „nawiązania rozmów z rządem warszawskim w sprawie stosunków dyplomatycznych z Polską”. Wniosku tego nikt nie śmiał wyraźnie odrzucić i po kłopotliwych naradach kularowych odesłano go znaczną większością głosów do parlamentarnej komisji spraw zagranicznych.

Stanowisko w sprawach polskich uzasadnił z ramienia SPD przez Ollenhauer i profesor Carlo Schmid. Ten ostatni, znany z licznych zyczliwych pod naszym adresem wystąpień, ujął uzasadnienie wniosku socjalistycznego w następujące, pełne powagi i odpowiedzialnego umiaru słowa, skierowane w pierwszym rzędzie do... narodu polskiego: „...Mówiłem już w Strassburgu, że o Polakach nie powinniśmy wyrażać się stale jako o „satelitach”. Naród ten pokazał, że

potrafi w ramach określonych możliwości w bardzo skutecznej formie kierować swoim losem. To, czego Polacy w tym czasie dokazali, — Panowie wiedzą o czym myślę — jest godne najwyższego uznania. Myślę, że taki naród zdolny jest także do traktowania problemów polityki zagranicznej w płaszczyźnie swego własnego interesu (dass ein solches Volk durchaus imstande ist, auch aussenpolitisch von seinem Interesse aus zu denken). I może jest takie w Warszawie mniemanie, że interes Niemiec mógłby być zgodny z interesem Polski w płaszczyźnie zagrożenia obu państw. Przemyslenie tej prawdy i zebranie na ten temat więcej informacji jest co najmniej godne trudu z naszej strony. I już z tego choćby powodu powinniśmy posiadać w Warszawie swego ambasadora...”

Kanclerz Adenauer zwalczał — rzecz prosta — plan Rapackiego, ale dość nieoczekiwanie dopatrywał się w sformułowaniach Schmidta niebezpieczeństwa pomawiania ewentualnego ambasadora niemieckiego w Polsce o intrygowanie przeciwko Rosji. Na tym tle wywiązała się pomiędzy kanclerzem a prof. Schmidem żywa, bezpośrednia wymiana zdań, której kulminacyjnym momentem było stwierdzenie przez szefa rządu w Bonn — przy okrzykach „brawo!” ze strony izby — iż „nadejdzie taki dzień, oczywiście nadejdzie, kiedy ambasador nasz pojedzie do Warszawy”.

Ciekawe i charakterystyczne dla nastrojów posiedzenia i metod walki, stosowanej zwłaszcza przez liberałów, były uwagi i „Zwischenrufe” na temat narastania wpływów hitlerowskich w NRF. Prezes liberałów, Reinhold Maier ze Stuttgartu, napiętnował w przemówieniu swoim pakt Ribbentrop-Mołotow, jako czwarty rozbiór Polski. „To nie był czyn chwalebny — mówił Maier — a dziś aktywny minister rządu federalnego powiedział wówczas: „To jest proste rozwiązanie” („der Volkstumsfrage“), na co z ław SPD zerwał się okrzyk: „Tam siedzi!” — wskazujący na siedzącego z posępną miną na ławach rządowych ministra dla spraw uchodźców, Oberlaendera. Kiedy Maier w dalszym ciągu piętnował wpływy hitlerowskie w życiu publicznym dzisiejszych Niemiec, i gdy przerywano mu okrzykami wskazyjącymi na penetrację nazistów w środowiskach liberałów w Dolnych Saksach i Nadrenii — Maier — przy silnym aplauzie na ławach opozycji — zaripostował stwierdzeniem: Gdyby 12 milionów wyborców hitlerowskich głosowało we wrześniu ubiegłego roku na liberałów, to liberałowie, a nie chrześcijańscy demokraci posiadaliby dziś większość w tej Izbie.

Sprawa polska nie przestaje więc zajmować umysłów niemieckich. Poświęcanie jej obecnie tyle uwagi wpływa oczywiście w pierwszym rzędzie z własnych, narodowych interesów, ze złudnego czy słusznego wyrachowania, że „wspólnota polsko-niemiecka” wyprowadzić może politykę niemiecką z załki stabilizującego się prowizorium. Ale obok czysto subiektywnych przesłanek dojrzewa coraz wyraźniej w pewnych kołach niemieckich niedostrzeżona przez Republikę Weimarską świadomość, że Polska jest pierwszym i bezpośrednim sąsiadem Niemiec na wschodzie i że normalizacja stosunków z nią przynieść może na dłuższą metę Niemcom więcej korzyści, aniżeli stale zryw podbójów w ciągu ostatnich lat dwustu, kończące się w ostatecznym bilansie zawsze katastrofą dla Niemiec.

St. Czechanowski

FREDRO I GOSZCZYŃSKI

WŁADYSŁAW TYLKA

Ogólnie znanym wydarzeniem literackim jest zamknięcie komedio-twórcze Fredry po roku 1835, spowodowane rozprawą Seweryna Goszczyńskiego pt. „Nowa epoka poezji polskiej”. Nastąpił u Fredry okres „ugorowania”, który trwał dłuższy czas, bo lat piętnaście. Ten okres zamknięcia dzieli twórczość Fredry na dwa etapy. W drugim poeta nie wystawia i nie publikuje swoich komedii, ale trzyma je w zamknięciu. Dopiero potomność miała możliwość czytania ich, względnie oglądania na scenie. Autor „Pana Geldhaba” obraził się za złą w krytykę i brak obrony ze strony społeczeństwa, widzów czytelników jego sztuk.

Prof. S. Pigoń w rozprawie pt. „Spuszczona literacka Aleksandra Fredry” (w tomie I zbiorowego wydania Pism wszystkich Al. Fredry, Państwowy Instytut Wydawniczy 1955) poddaje gruntownej rewizji to wydarzenie. Rzuca nowe światło na spór Fredro - Goszczyński i dochodzi do przekonania, że sprawcą zamknięcia był ktoś inny. Dał przesuwać datę decyzji zamknięcia na ok. 1842. W swoich wywodach opiera się na gruntownym przesłужeniu rękopisów utworów Fredry i szczegółowej analizie wypowiedzi obu zainteresowanych w sprawie zatargu literackiego.

Przypomnijmy jednak najpierw, jakie zarzuty stawiał Goszczyński we wspomnianej rozprawie Fredrze, jako twórcy komedii.

1. Niemoralność komedii pt. „Mąż i żona” oraz
2. brak ducha narodowego w jego utworach.

Fredro nie poszedł w ślad panującego wówczas romantyzmu, pozostał realistą. W swoich komediach malował życie takie, jakim było. A za czasów Królestwa Warszawskiego moralność społeczeństwa polskiego obniżyła się, toteż bystry obserwator życia — Fredro — nie wahał się poruszyć spraw drażliwych — tak jak się dzieje w komedii „Mąż i żona”.

Romantyk Goszczyński miał inny pogląd na sztukę. Utwór literacki powinien — według niego — mieć za temat rzeczy wzniosłe, rozgrywane się raczej w sferze ducha.

Dalej Fredro przedstawia w swoich komediach środowisko, z którego sam pochodził. Bardzo rzadko występują u niego przedstawiciele ludu. A przecież jednym z głównych hasel romantyzmu był zwrot do ludu. Czerpanie materiału literackiego z podań, wierzeń, obrzędów i pieśni ludowych.

Według romantyków, tylko taki utwór posiada cechy ducha narodowego, który nawiązuje do ludowości.

Tego brak u Fredry. Toteż spór Fredro - Goszczyński był sporem romantyka z realistą.

Jednak ten spór literacki miał to osobiste urazy. Fredro naraził się Goszczyńskiemu tym, że wystąpił przeciw jego planowi założenia pisma literackiego.

Prof. Pigoń w swojej rozprawie poddaje gruntownej analizie wypowiedzi obu autorów w tej sprawie. Udowodnia np., że Goszczyński był autorem anonimowej notatki w emigracyjnym satyrycznym piśmie „Pszonka”.

„Pewne grono literatów galicyjskich miało zamiar wydawać pismo czasowe, do którego wezwano i Goszczyńskiego. Jednemu hrabiemu nie przypadło do smaku i wnosił, by prócz cenzury rządowej (!) była ze szlachty gospodarczej a pańsztycznej jeszcze poprzednia cenzura, a to, aby się nikomu nie wyrwało znane „precz z Bogiem”. Więc hrabia musi być człowiek bożobojny i moralny.

O, bez wątpienia! Wprawdzie napisał niedługo tragedijkę wierszem, której bohaterka

przeszła Mesalinę i Katarzynę i niejedną może duszę młodzieńczą zakaziła, ale cóż to znaczy, kiedy hrabia dziś chodzi do kościoła i gra rolę wierzącego i w diabły i we wszystkie święte.” (Pszonka, 1839)

Hrabą był Fredro, a tragedią była jego komedia „Mąż i żona”.

W „Podróży mojego życia” Goszczyński opowiada dalej na ten temat. Złośliwa krytyka Fredry spowodowała, że „przez to upadł projekt dziennika, a ja straciłem dla Fredry szacunek i okazałem to jemu w kilka lat później w rozprawie „Nowa epoka poezji polskiej”.

Fredro poświęcił tej sprawie też kilka wypowiedzi. W pamiętniku „Trzy po trzy” pisze z rozgoryczeniem o tym, że ludzie go nie mogli czy nie chcieli zrozumieć i nie oszczędzali mu przykrości. Jego postawa wobec takiej opinii była: „Ukryłem się w cieniu głupoty przed cieciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i baków”.

A dalej powiada tak: „Połamałem moje pióro autorskie nie — jak mniemano — dla równie złego jak głupiego artykułu bezimiennie ogłoszonego, bo autor przedał się obcej nieprzyjaźni i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę.”

Drugą wypowiedź Fredry odnoszącą się do tego zagadnienia mamy w jego wierszu „Stary śpiewak” z roku 1854, w którym poeta żali się: „choć mu młodemu czucie w piersiach grało, choć cieszył się niejakim uznaniem, przecież jacyś wrodzy nań literaci: wyuczone wieszczce odmówili mu tego tytułu: „Aż głos wasz zagrzmiął o mistrzowie sztuki: Cicho z oklaskiem! Tu barwy, nauki, Poezji całkiem brak”.

Prof. Pigoń wykazuje, że wyuczonym wieszczem jest niewątpliwie Goszczyński. „Odnajdujemy w tej zwrotce całą treść jego krytyki z roku 1835, a więc przyganę niewczesnym wyrazom uznania, a przede wszystkim stwierdzenie, że w komediach Fredry brak barwy (rozumie się: narodowej), brak nauki (czy to ukształcenia, czy też należytej strawy, a więc dążności społecznej), brak wreszcie poezji.

W dalszym ciągu wiersza przestrzega się poeta (jak później uczynił to w przemówieniu z r. 1865) przeciwko oskarżeniu go o gloryfikację brudów moralnych, czego jak wieny Goszczyński mu również nie oszczędził. Jak widzimy, Fredro na całej linii odpowiada tu uwłaczające mu zarzuty „wieszczki wyuczonego”, ale sam do insynuacji się nie ucieka. Sprawa więc jasna: w wiersz ten niewątpliwie wplótł poeta replikę na rozdziałek w „Nowej epoce poezji polskiej” (str. 413, t.1, Fredro.).

Trzecie omówienie sporu mamy u Fredry w wierszu „Pro memoria”. Właśnie ten wiersz nasunął prof. Pigońowi wątpliwości, co do przyjętego ogólnie sądu, że Goszczyński spowodował zamknięcie komedio-pisarza.

W wierszu tym poeta opowiada „o kłopotach z wydaniem pierwszych dwóch tomów komedij... o przychylności teatral-

nych dzielników warszawskich, a zapamiętałym milczeniu lwowskich...”

Obeszło go to milczenie lwowskie... „Ale — pisze — nic nie straciłem, żem lat kilka czekał, — Bo jakiś Minos powstał i zaszczał wściekle, — Chciałby moje pięć tomów w piątym widzieć piekle — A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony, — Nie mogłem pojąć i zgadnąć: czy rada, czy zdrada, — I zrozumiałem tylko, że milczenie wypada, — Milczalem lat piętnaście.”

Prof. Pigoń pyta: Kto jest Minosem? Jak liczyć piętnaście lat milczenia? Wyjaśnia, że Minos „powstał” we Lwowie. Tymczasem Goszczyński lwowianinem nie był. „Do r. 1835 wyszły tylko cztery tomy komedij. W takim razie — znowu nie Goszczyński.”

Odszukując Minosa — prof. Pigoń przysłuchuje się jego ujadaniu.

Wśród krytyk, jakie ukały się w pierwszym okresie twórczości Fredry znajdujemy jedną bardzo jadowitą. W roku 1842 w poznańskim „Tygodniku Literackim” ukazał się anonimowy artykuł w trzech odcinkach p.t. „Uwagi ogólne nad literaturą w Galicji” poświęcony w większości twórczości Aleksandra Fredry. Był to obrzydliwy paszkwil.

Na początku artykułu krytyk opowiada o czasach wojskowych Fredry. Przypomina o tym, że autor „Pana Geldhaba” był znany ze swych kawałów pornograficznych, opowiadanych w towarzystwie swoich kompanów. W dalszym ciągu artykułu zarzuca Fredrze, że w swoich utworach dopuścił się plagiatów lub że jego utwory są przeróbkami albo tłumaczeniami z autorów obcych. Przytacza jako przykłady komedie: „Mąż i żona” i „Pana Jowialskiego”. Słabą stroną tego zarzutu jest brak podania pierwowzorów.

Linia rozwojowa talentu — powiada dalej anonimowy krytyk — Fredry, bez żadnej konsekwencji, zależna od zmieniających się prądów w literaturze.

„Zemście” nazywa — „utworem martwym jak maska pośmiertna”. „Cudzoziemczyzna” — utwór wewnętrznie zakłamany.

„Taki to więc jest w sumie ten komediopis, filar literatury galicyjskiej w rzeczywistości niewczesny tandeciarz. Chwłowa wziętość jego — raczej zaśniewkowia, a sława — wydęta sztucznie. Chwalono go we Lwowie, Waclaw z Oleska o „Odludkach i pocie” niestworzone rzeczy nabajał.”

„Inne głosy, odzywające się w tym przedmiocie od czasu do czasu w „Rozmaitościach” lwowskich, są to kadz dla pieczeniarczy, dymu kuchenne wietrzących i gotowych każdemu za lada obiad dać nieśmiertelność.”

Autor artykułu przyobiecał szczegółowemu rozbirowi: podać dzieła Fredry, „jeżeli czas i okoliczności pozwolą i o ile materiały nadejdą, na które czekam od dawna”.

Obietnicy krytyk nie dotrzymał, ale jak powiada prof. Pigoń „już i tak swój sukces odniósł, gdyż wyłajał i sponiewierał znakomicie komediopisarza”.

„Jeżeli Fredro — dalej prof. Pigoń dodaje — po latach wspomni, o wściekłym szekaniu (także anonimowym) i o piątym piekle, to nie może chyba ulżyć wątpliwości, że ten tylko wypadek paszkwilancki będzie miał na myśli”.

Po wykazaniu jakie było szekanie Minosa, prof. Pigoń stara się odnaleźć: kto był Minosem? Kto był ukryty za anonimem? I dochodzi do wniosku, że artykuł wyszedł z istniejącej we Lwowie zorganizowanej kluki, która stanowiła opozycję przeciwko ogółowi starszych literatów polskich, a którzy przywódcami byli hr. Aleksander Dunin Borkowski, August Bielowski i Jan Dobrzański.

Nie ma dowodu, kto był autorem artykułu, chociaż czyniono różne domysły. Przypusz-

czano, że mógł nim być Leszek Dunin Borkowski, autor „Parafiańszczyzny”, znany ze swego drapieżnego pióra ostrego recenzenta teatralnego — nieprzychylnego Fredrze. Nawet sam Borkowski przyznał się do autorstwa artykułu w swej autobiografii. Powiada, że pisywał artykuły anonimowe, aby uniknąć nieprzyjemności. Nie pamięta wszystkich, jakie napisał, ale mówi: „Wiem, że z rozpraw obszerniejszych był w „Tygodniku” poznańskim „O literaturze polskiej w Galicji” (autobiografia ogłoszona w „Złotej księdze szlachty polskiej” T. Zychlińskiego).

Prof. Pigoń nie obstaje przy tym autorstwie, chociaż współczesny wypadkom Aleksander Batowski w liście do przyjaciela — wyraźnie wymienia nazwisko Borkowskiego. Również i inny autor jest wspomniany jako „majster kliki” — Lucjan Siemiński. Ciekawe jest jednak odnośnie Siemińskiego, gdyż to on pierwszy publicznie zgał winę Goszczyńskiego w stosunku do Fredry. Zresztą Siemiński był związany z „Tygodnikiem Literackim”. Sprawa brutalnego artykułu oparła się nawet o naczelnika policji państwowej w Wiedniu. Lwowskie Namiestnictwo wniosło skargę, oburzone atakiem nie na Fredrę, ale na skrzywdzonego lwowskiego cenzora, którego można było pomówić że przepuszcza utwory nieodpowiedzialne.

W skardze czytamy: „Dochodzenia rządowe w drodze poufnej zdają się wskazywać istnienie we Lwowie formalnie zorganizowanej kliki, stanowiącej rodzaj opozycji przeciwko ogółowi starszych literatów polskich, a której przywódcami są: hr. Aleksander Dunin Borkowski, August Bielowski i Jan Dobrzański. Inni znowu twierdzą, że autorem tych artykułów jest od r. 1838 przebywający w Strassburgu Lucjan Siemiński, po którego złożonym, a rządowi wrogim usposobieniu można się takich oszczerstw spodziewać. Są to jednak tylko przypuszczenia, które udowodnione na razie być nie mogą”.

Prof. Pigoń nie ustala nazwiska autora artykułu, ale pozostaje przy twierdzeniu, że wyszedł z tej kliki. Na razie nazwisko autora jest sprawą otwartą.

„Czy sam Fredro uważał Goszczyńskiego za autora tego anonima?” Trudno powiedzieć. Ale słowa w „Trzy po trzy” nie pasują do Goszczyńskiego: „Połamałem moje pióro autorskie — jak mniemano — dla równie złego jak głupiego, bezimiennie ogłoszonego, bo autor sprzedał się obcej nieprzyjaźni, i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę”.

Prof. Pigoń przeszedł autograf pamiętnika „Trzy po trzy” i znalazł w nim prze-

kreślone nazwisko „Goszczyński”, a wpisane „bezimiennie”. Widać Fredro uważał początkowo Goszczyńskiego za autora anonimu, a potem zmienił zdanie.

Daśże słowa pamiętnika nie pasują do Goszczyńskiego: „Goszczyński zaprzedał się obcej nieprzyjaźni”. „Kto temu uwierzy — zapytuje profesor Pigoń — jeśli choć trochę rzeźnał się w osobowości tego poety? Zaprzedał się, a więc komuś bogatszemu od siebie, któremuś z ważnych ziemian, z arystokracji, jakimś byłymu przyjacielowi Fredry — on kryształowy demokracja, znośzący heroicznie najcięższą nędzę, byle nie zejść z wytyczonej sobie drogi życiowej i być w zgodzie z sumieniem. Któż w to, powtarzam, zdoła uwierzyć?”

A zresztą, jeżeli się zaprzedał, jeżeli był tylko marnym, płatnym narzędziem, to sprawcą ataku, winowajcą głównym zamilknięcia byłby kto inny, ten, co finansował napad; kto inny jest zatem zabójcą Fredry — komediopisarza. Kto mianowicie? Tego nam Fredro nie dopowiedział, tamtego niewdzięcznika-duszkupcy nie odsłonił, kazał nam błąkać się w domysłach. Dlaczego? pozostanie to zagadką”. (Str. 412 ibidem)

W ten sposób sprawa zabójstwa Fredry-komediopisarza została zdjęta z Goszczyńskiego i przerzucona na klikę lwowską. Bo ostateczny cios do zamilknięcia zadał mu właśnie ten artykuł z roku 1842, a nie artykuł Goszczyńskiego z roku 1835.

Fredro — według prof. Pigoń — „choć głęboko urażony krytyką Seweryna Goszczyńskiego, przez czas dłuższy nie myślał przecież o złamaniu pióra i w r. 1836 ani 1838 działalności swej literackiej z tego powodu nie przerywał. Być może, nie czekał nawet wtedy na odsiecz krytyki. Wiedział zapewne, że polemika z wystąpieniem doktrynerskim do niczego zwykle nie doprowadza, zapisał więc sobie incydent na korze serca, ale nie dał mu się zbić z tropu. Dopiero ogłoszony równie złym jak głupim paszkwiłem z r. 1842, czekał czy się kto za nim nie ujmie, czy zuchwałego łotrzyka nie nazwie kto głośno łotrzykiem. Wiemy od Batowskiego, że podzielała to oczekiwanie także opinia kulturalna lwowska.

Widząc, że czeka na próżno, teraz dopiero powziął poeta postanowienie zerwania z literaturą. Jeżeli sam pisze, że zamilknął dopiero po bezkarnym osobaczeniu go przez Minosa, to jest sprawą jasną, że milczeć postanowił w r. 1842”. (Str. 422 ibid.)

„Anonim-paszkwil” nabrał szerokiego rozgłosu i wiadomość o reakcji komediopisarza rzesza się, ale dopiero teraz.

Charakterystyczne, że w obronie Fredry nikt się nie odezwał w kraju, natomiast doszła go list z emigracji od księcia Adama Czartoryskiego, w którym wzywał go do kontynuowania twórczości i walki z rozprzężeniem moralnym społeczeństwa polskiego. List ten pisał Czartoryski w imieniu swoim i emigrantów.

Fredro jednak nie dał się nakłonić do ponownego ujęcia pióra. W liście do Czartoryskiego tłumaczy się słabym zdrowiem i odmawia zejścia z powziętej decyzji i dotrzymał jej przez lat piętnaście do roku 1857.

Drugim zagadnieniem, które prof. Pigoń poddał skrupulatnym badaniom, jest przesunięcie daty zamilknięcia Fredry. Do tego czasu ogół krytyków literackich przyjmował datę 1835. Profesor uniwersytetu krakowskiego wystąpił przeciw ustaleniu tej daty, opierając się na drobniagowej bibliograficznej analizie autografów dzieł Fredry.

W r. 1838 wydał tom V swych komedji (zawierający m. in. komedie „Ciotunia”, „Zemsta” i „Dożywocie”) — w następnym rozpoczął nowe wydanie komedji. W r. 1841 wydał ponownie powiastkę „Nieszczęścia najszczęśliwszego męża”. Co prawda były to tylko wznowienia.

Ale natrafiamy również na rzeczy nowe. W r. 1836 napisał trzyaktowe libretto „Rymond”. Co więcej, autor „Słubów panienskich” nosił się z zamiarem wydania tomu VI, który obejmowałby utwory dotąd nie ogłoszone.

Prof. Pigoń przesunawszy w ten sposób datę zamilknięcia Fredry z r. 1835 na rok 1842, ustalił również datę podjęcia na nowo twórczości przez komediopisarza. Mowa jest o piętnastoletniej przerwie. Do tego czasu przeważała opinia krytyków, że drugi okres twórczości autora „Zemsty” rozpoczął się w r. 1854, prof. Pigoń przesunął ją na początek r. 1857, otwierając go „Wielkim człowiekiem do małych interesów”.

I znowu tutaj prof. Pigoń opowiedział się za inną komedią otwierającą drugi okres — niż to zrobił poprzedni wydawca dzieł Fredry prof. Kucharski. Ten ostatni umieszczał „Dwie bliźny” na czole drugiego okresu.

O wielkim znaczeniu jest to, że tym, co kazało Fredrze przerwać zapamiętałe milczenie, musiał być impuls niebagatelny, a więc pomysł utworu o większym stylu, o dużym ciężarze gatunkowym, o bogatej problematyce i rozległej galerii wyrazistych postaci, pomysł, który porywał doniosłością, a więc plan nie drobnej jednoaktówki, lecz komedii o pełnej rozciągłości”. (Str. 426 ibid.)

(Dokończenie na str. 31)

„ZEMSTA” W BRUKSELI

Na afiszach teatru Moliere w Brukseli ukazała się w lutym „Zemsta” Fredry. Galowe przedstawienie 3 lutego poprzedziła konferencja prasowa (w ambasadzie), na której powiedziano dziennikarzom belgijskim, że fakt wystawienia „Zemsty” po francusku jest wydarzeniem historycznym, ponieważ nigdy dotąd polska sztuka nie była grana po francusku zagranicą. Tłumaczenia wierszem dokonał Feliks Konopka, początkowo dla Louis Jouvet, który zachwycił się „Zemstą” w czasie swego pobytu w Polsce i byłby ją wystawił w Paryżu, gdyby śmierć nie unicestwiła tych zamiarów.

Z kolei pojechał do Polski brusselski Théâtre de Poche i jeden z dwóch dyrektorów tego teatru — Roland Ravez, obiecał wystawić sztukę w Brukseli. Po powrocie z Polki partnerzy się rozeszli w zwłazce z sub-

wencją rządową. Roland Ravez objął teatr Moliere. Ambicją tego teatru, podobnie jak teatru „de Poche” jest wystawianie sztuk nowych autorów oraz nowa inscenizacja sztuk znanych. Reżyseria „Zemsty” została powierzona Polce, p. Marii Straszewskiej, zaproszonej w tym celu z Polski.

Większość Polaków uważa, że należy wspomóc polskiej literaturze w torowaniu sobie przez nią trudnej drogi na Zachód i poprzeć w tym celu wysiłek teatru brusselskiego, zachęcając go licznym udziałem do ponownego wystawienia polskiej sztuki, zapowiadanej już obecnie (prawdopodobnie Ritznera). Zdobyli się zatem na wydatek, poszli do teatru, niektórzy nawet dwa razy. Jak donosi prasa belgijska, na przedstawieniu galowym były osobistości ze świata dyplomatycznego, politycznego, artystycznego, li-

terackiego, administracyjnego, naukowego.

Choć umiem „Zemstę” na pamięć, widziałam ją na scenie już bardzo dawno, w Krakowie, za czasów gimnazjalnych. Wyjechawszy z Kraju w roku 1932, nie miałam już okazji oglądania tej sztuki w teatrze.

Studiując program, niecierpliwie czekałam, aż odsłoni się kurtyna i ukaze się obraz zapamiętany ze sceny krakowskiej: z prawej flegmatyczny starszyszek Dyndański, z lewej Cześnik, mówiący pierwsze słowa tekstu: „Piękne dobra w każdym względzie — lasy — gleba wysmienita — dobrą żoną pewnie będziesz”... Później wejście Papkin-Frenkiel w białych, obcisłych spodniach... Jak przetłumacza: „mocium-panie”? „masz więc byka za indyka”? Jak Belgowie będą się ruszać w kontuszach?

Program informuje, że „Zemsta” jest od-

biciem „umiłowania ziemi rodzinnej” i „górącej wiary religijnej”. Czyżby? Mimo patronatu ambasady, a może właśnie dlatego, żenująca nazwa Lwowa jest na programie zasyfrowana jako „Lhoufi” i tylko bystrzejsi Polacy potrafili ją odgadnąć. W spisie osób brak kucharza Perełki, zamiast murarzy i hajduków figurują wieśniacy, których u Fredry nie ma; Waclaw — widocznie ze względu na łatwiejszą wersyfikację — został przechrzczony na Michela.

Światło gaśnie, kurtyna pozostaje w miejscu, a w sali rozbrzmiewa polonez Ogińskiego. Miła niespodzianka. Kurtyna rozchyła się wolno, ukazując białe, kartonowe podcienia szlacheckiego dworku, rząd słoneczników na tylnym płótnie, niziutki murek (w Krakowie był mur porządny) i białe stoły i ławy oblane fioletowym światłem reflektorów. Dyndalski, ani stary, ani flegmatyczny, czyści energicznie jakiś kubek, czy pudełko, Cześnik zaczyna pierwsze słowa tekstu: „Quant à sa dot...” To przestawienie słów powoduje że odnoszę wrażenie, jakby tekst był skrócony. Chociaż Cześnik ma porządną kontusz i nawet pas słucki (on jeden, dla innych zabrakło i trzeba było je zastąpić czym innym), czuje, że jestem daleko od krakowskiej sceny. Dyndalski jest ruchliwy, a Papkin, w zielonym fraku i czarnych spodniach, młody, zwinnie i lekki, potrząsający szpadą, skaczący to na skrzynię, to w dół do orkiestry, przypomina muszkietera d'Artagnan z szeregu filmów francuskich. Żal mi krakowskiego Dyndala, stanowiącego doskonale tło dla impulsywnego Cześnika.

A oto skrada się Waclaw-Michel przez zaciemnioną scenę i pianiem koguta przywołuje Klarę. Zobaczymy niebieski kontusik obszyty puchem łabędzim? Nie! Klara jest w negliżu i otulona szalem przełazi przez parapet parterowej łoży. „Jak na filmie z Rudolfem Valentino” — napisze potem jeden z recenzentów.

Rejent — to pułkownik przebrany w kontusz. Mówi szybko, choć mało, ma gesty aurytatywne, a jego znane powiedzenie: „niech się dzieje wola nieba” jest mruczone, jak pacierz. Fredrowska ironia przechodzi w karykaturę. Wielki krucyfiks na ścianie potęguje wrażenie, że mamy przed sobą bigota i tak go będą widzieli krytycy teatralni. Ale nie tak chciał go widzieć Fredro. Przecież to powiedzenie Rejenta służy mu za argument, którym się zastawia gdy narzuca własną wolę. Skreślenie sceny: Rejent-murarze, osłabia późniejszą scenę z Waclawem, będącą ukoronowaniem charakterystyki Rejenta i szczytem dramatycznego napięcia. Zapewne, nie jest ona niezbędna do akcji, ale jeżeli się przedstawia Fredrę jako Moliera, nie należy skreślać sceny, która porównanie z Molierem podkreśla. Przedstawienie było krótsze niż normalnie, więc scena ta mogła zostać. Wojskowy charakter Rejenta podkreśla ciągle podrywanie się Waclawa-Michela do postawy „na baczność”, którą widzowie Polacy uznali za przesadną. Wystarczyłaby postawa pełna uszanowania.

Skróty i błyskotliwa gra Papkina spowodowały, że wysunął się on na pierwsze miejsce w sztuce, co dziwiło nie co Polaków, przywykłych widzieć bohaterów sztuki w Cześniku i Rejencie. Papkin błaznujący podobał się wielu, tak Belgom, jak i Polakom, którzy twierdzili, że „tę rolę trzeba grać z francuska”. Godziłam się na to do chwili, gdy Papkin wlał pod stół u Rejenta, kłaniał się Podstolinie w pozycji leżącej, podnosząc nogę do góry, ciągnął ją za brzeg sukni.

— To już nie Papkin i nawet nie Scapin Moliera — myślę, słuchając, jak Papkin roz-

trząsa Podstolinie sumienie. — To arlekin. Porównanie to wzmacnia się, gdy Papkin wychyla głowę przez szparę w kurtynie i zaczyna mówić.

Komedia zmienia się w farsę, Papkin w pajaca, zabawiającego publiczność.

Język, jakim przetłumaczono Fredrę, wydał mi się zbyt nowoczesny. Łacina ocalała chyba tylko w dwóch miejscach. „Mocium-panie” przetłumaczono na „ventre-bleu”, co można by kwestionować, bo „mocium-panie” nie jest przekleństwem. Kostiumy wierne; murarz, nie wiadomo dlaczego, mają ubrania podhalańskich górali.

Jak przyjęli „Zemstę” Belgowie?

André Paris („Le Soir”) żałuje, że nie powiedziano ze sceny paru słów wstępu, wyjaśniających np. tytuły Cześnika, Podstolinie, uprzedzających, że sztuka jest satyrą obyczajową ówczesnego społeczeństwa. W Papkinie widzi recenzent podobieństwo do gaskońskiego kapitana z „Illusion Comique” Corneille'a i twierdzi, że wpływy francuskie wyczuwa się w „Zemście”. Widz nieuprzedzony, zdaniem André Paris, może wziąć sztukę za farsę. Najzabawniejszy jest Papkin, jest on „solą” komedii, gdyż spór między oboma szlachcicami nie jest zajmujący, jak nie jest nią idylla Klary i Waclawa — „dla widzów o kulturze francuskiej jest w niej za mało żywości, fantazji i lekkości”.

Robert Chesselet w „La Lanterne” odma-wia Fredrze jakiegokolwiek podobieństwa do Moliera w sztuce granej w Brukseli. „Ani śladu komedii charakterów, ani śladu komedii obyczajowej” — pisze. „Zemsta” jest dla niego włoską komedią w polskich kolorach. Cześnik i Rejent to „Pantalon” i „Docteur”, Klara „Isabelle”, Waclaw-Michel — „Léandre”, Papkin — „Capitan”. Chesselet uważa, że Fredro napisał polską komedię z włoskimi osobami, ale w żadnym razie nie jest to komedia molierowska, a jeżeli nawet jest, to kiepska. Choćby dlatego, że dopiero w trzecim akcie widz zaczyna rozumieć o co chodzi w sztuce. Być może, że zamiast komedii molierowskiej, Fredro napisał po prostu szkic „Romanesques” Rostanda.

„Libre Belgique” pisze, że Fredro pod wpływem Moliera i Marivaux napisał „Zemstę” na kanwie komedii włoskiej. Papkin to „Scapin”, „bardziej tchórzliwy, niż dowcipny”. „Brak żywości ludów łacińskich i akcja się wlecze, komizm często forsowany... Czyż można jednak sądzić sztukę, tak jak ją nam przedstawiono w Brukseli, w kiepskim tłumaczeniu, nadętą wierszem ośmiogłoskowym? Dajemy polskiemu dramaturgowi wyrok z zawieszeniem.”

Na recenzjach zaciężył protektorat ambasady. Obudził nieufność. Niektórzy recenzenci dają temu upust: „...okrutny zawód... w walce ze snem” — pisze „Le Peuple” —

„syn Rejenta przebrany za syna szejka... — kreacje powierzchowne niż wzruszają nas wcale, wszystko pretensjonalne, fałszywie naiwne, nigdy lekkie, bez ludzkiego uczucia... — cień Moliera ani na chwilę nie wszedł tego wieczora do sali, która nosi jego imię”. Na zakończenie dodaje: „Zemsta” „jest być może arcydziełem cenionym przez naród polski, mający autentyczną kulturę, wyrobiony smak i umiłowanie teatru, ale nie było arcydziełem przedstawienie brukselskie.”

„La Cité” pisze, że akcja jest bardzo żywa, że sztuka Fredry wyrosła z tradycji narodowych, obrazuje polskie społeczeństwo XVIII wieku. (Jeden z recenzentów dopatrzył się w Cześniku i Rejencie „nędznych i próżnych, typowych przedstawicieli” tego społeczeństwa.)

Dowodem jak bardzo była potrzebna przedmowa jest pytanie krytyka z „La Lanterne”: „kto mi może wytłumaczyć, dlaczego wśród osób ubranych po polsku, zjawia się Papkin we fraku i peruce markiza XVIII wieku?”

Tłumaczenie nie znalazło łaski u żadnego recenzenta, wiersze Konopki uznano za równie liche jak wiersze Rostanda.

Reżyseria spotkała się z uznaniem. Uznała ją za pomyslową, umiejętną. — Moim zdaniem wysiłek reżyserski poszedł w kierunku urozmaicenia sztuki i nadania jej rytmu piorunującego. Stąd obcinanie tekstu. Wtłaczanie komedii w ramy farsy może być dobre dla ludzi znających sztukę, których zabawi nowa forma. Było jednak błędem prezentowanie „Zemsty” w tej formie po raz pierwszy obcej publiczności. Niektóre efekty komiczne obniżały poziom sztuki, np. wywracanie się górali jeden na drugiego, czy specjalne dobieranie służących o zabawnych różnicach wzrostu.

Aktorzy grali dobrze, najsłabszy był Waclaw-Michel.

Ostatnia uwaga. Fredro cierpiał, tak z powodu złośliwości krytyków, jak i z powodu okradania go z jego dzieł przez Labiche'a, który skopiował niejedną komedię Fredry, podpisując ją swoim nazwiskiem. „Siły fatalne”, które prześladowały Fredrę za życia, zjawiły się w dniu jego premiery w Brukseli. Gniewał się za życia, gdy chwalono wesołość jego komedii (uważał się za satyryka) — w Brukseli zrobiono z niej farsę. Cierpiał z powodu złośliwości krytyków — teraz też potraktowano jego dzieło nieżyczliwie. A tego samego dnia, gdy sztuka Fredry zepchnięta na popołudniowe przedstawienie, nie mogła liczyć na liczny udział nieznającej go publiczności — na wieczornym afiszu rozpieął się Labiche ze swoim „Kapeluszem z włoskiej słomki”. Ironia losu.

Jadwiga Pomorska

DWA TOMY MŁODOŚCI

To nie gawęda. Gawęda była rodzajem opisowym. Nie „próby”, czyli „eseje” w pierwotnym znaczeniu, to jest zapiski myśli lub aforyzmy w stylu Pascala albo Rochefoucauld. Rozpowszechnia się we współczesnym piśmiennictwie nowy rodzaj literacki, który łączy styl gawędziarsko-opisowy z zapiskami myśli. Posiada więc charakter pamiętnika, przemieszanego z miniaturowymi traktatami iluznymi sentencjami. Znaczną część tego rodzaju wypełnia dziennik lek-tury. U nas uprawiają ten rodzaj Gombrowicz, Lechoń, Rudnicki. Teraz wystąpił Andrzej Bobkowski, bodaj ze wszystkich najciekawszy.

Dwa sążniste tomy o łącznej objętości 742

stronic, wydane przez „Kulturę” jako jej tom XXII, pt. „Szkice piórkiem (Francja 1940-1944)”, zarówno rozmiarem jak też formą dziennika nie zachęcają do skwapliwego czytania. Tymczasem trudno o bardziej porywającą lekturę. Oczywiście, od razu można wypomnieć, że skrót „Szkiców piórkiem” o jakieś sto stron krzywdy by im nie wyrządził, gdyż w tomie II zdarzają się roz-

*) Andrzej Bobkowski; SZKICE PIÓRKIEM (FRANCJA 1940-44). Biblioteka „Kultury”, t. XXII. Instytut Literacki, Paryż 1957. Część I stron 302, część II stron 440.

legle grzaskości i mielizny. Ale summa! Po prostu rozkoszna książka, dzieło wielkiego talentu. Od dawna wiedziało się, że Andrzej Bobkowski to majster pierwszej próby, ale po „Szkicach” trzeba naprawdę odświeżyć głowę: „Proszę państwa, talent!”

Luźna, nie wymagająca architektury ani kompozycji forma pamiętnika wydaje się łatwa tylko z pozoru. 700 stron nawet lichej powieści każdy ostatecznie przeczyta, ale trzeba doskonałego pióra, aby przeczytać 700 stron zapisanego przez nie pamiętnika. „Szkice piórkiem” zamyka się na ostatniej karcie z takim żalem, że ukończone może tylko nadzieja na dalsze tomy. Ileż Andrzej Bobkowski musiał przeżyć, zobaczyć, przemyśleć i przeczytać w ciągu lat 1944-1958! Ciesząc się nadzieją na dalsze tomy, smakujmy tymczasem Rabelaisowską obfitość urody życia, której kontemplacja jest głównym przedmiotem „Szkiców”.

Tom II jest istotnie pamiętnikiem, czy dziennikiem, pełnym wszelkiego piękna, wiedzy i refleksji, ale tom I można by nazwać powieścią. Bohater (więc autor) uchodzi z Paryża, do którego podchodzą Niemcy i odbywa podróż przez pół Francji na rowerze, po czym nabrawszy tchu przez parę tygodni w Carcassonne i Narbonne, puszcza się w drogę powrotną poprzez Lazurowe Wybrzeże i Alpy do okupowanego Paryża, gdzie czeka go żona. W tomie tym rozwój wypadków i opisy wydarzeń oraz krajobrazów, z bardzo małym marginesem dla osobistych refleksji, stwarzają atmosferę przygody powieściowej, zwłaszcza że autor wprowadza z wielkim mistrzostwem bogatą galerię typów, m. in. towarzysza podróży, warszawskiego taksówkarza Tadzia. Ta postać pozwala autorowi traktować wy-

darzenia jakby na dwu płaszczyznach: intelektualnej i opartej na „chłopskim rozsądku”, dając też sposobność do ścierania się dwu tych światopoglądów. Tom I zatem, z rozkosznymi opisami Południowej Francji, to pasjonujący romans. Tom II, w którym zamiast Tadzia jako postać biegunowa pojawia się żona autora, jest już bardziej traktatowy, a partie powieściowe tracą plastyczność, ponieważ nikiennie dwutorowość i sprzeczność poglądów. Żona jest tylko alter ego, co najwyżej dopełnieniem pierwszej osoby dramatu.

„Szkice piórkiem” można oceniać z najróżniejszych pozycji. Niech będzie wolno tu stwierdzić, że ich głównym walorem jest opis, a więc tok narratywno-powieściowy, w którym najwyraźniej przejawia się lwi pazur autora. Inne składniki „Szkiców” budzą podziw, niechęć, a nawet i złość. Zachwyt budzi tylko opis. Bobkowski jest przede wszystkim artystą słowa, beletrystą. Nikt chyba dotąd w literaturze polskiej nie uzyskał takich efektów artystycznych metodą kontrastu, wprowadzenia wulgarności jako konturu piękna, nikt zuchwalej nie posługiwał się niecenzuralnym słownictwem, które u Bobkowskiego nie budzi odrazy, on także służy za dowód, jak bardzo istotną częścią sztuki pisarskiej jest humor.

Zasadę swojej sztuki ujawnia Andrzej Bobkowski w zapisku pod datą 9. 8. 44: „Wcale nie jest tak trudno opisać rzeczy dostrzeżone. O wiele trudniej jest dostrzeżać. Prawdziwy pisarz to nie ten, który dobrze pisze — to ten, który najwięcej dostrzeżę.” Do tego trzeba dodać cytaty wypisane z Valérego: „Nie cenię i nie mogę cenić innych pisarzy, jak tylko tych, którzy

potrafią wyrazić to, co ja znalazłbym” trudnym do wyrażenia, gdyby zagadnienie wyrażenia tego pojawiło się przede mną lub narzucało mi się. Jest to jedyny wypadek, w którym mogę mierzyć wartość w jednostkach absolutnych, to znaczy moich.” Obie wyluszczone zasady zapewnią pisarstwu klasyczną jasność, co w naszej dobie werbalnego zamętu jest jedną z pierwszych zalet Bobkowskiego.

A zawartość ideowa „Szkiców piórkiem”? Nieprzebrana kopalnia! Przede wszystkim odwaga. Pisarz nie waha się wielokrotnie podkreślić: „Wstyd mi, ale pomimo wszystko, co nas dotąd spotkało, jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy jak przez te lata wojny. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze. Piszę to w pełni władz umysłowych i nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Ale czuję to i nic na to nie poradzę. Może jestem w tej chwili jedynym okazem tego rodzaju? Pochłania mnie życie, to wspaniałe, soczyste życie, ten Paryż czasu wojny, każdy dzień.” „Szkice piórkiem” są więc hymnem radości życia. Autor projektował dla nich tytuł: „Wojna i spokój”. Miał też niezwykle szczęście i umiał je wykorzystać. Umiał sobie poczyć. Bobkowski nie wyznaje jednak filozofii hedonizmu, ale coś w rodzaju „królestwa Człowieka na ziemi”, nad którym wprawdzie dopuszcza Boga, ale z którego usuwa wszelkie ideje, w szczególności narodową. Jak tedy łatwo się domyślić, ideologiczna strona zapisków Bobkowskiego jest mocno sporna.

Zwłaszcza całą jego publicystykę można śmiało wysypać za burtę. Właśnie ona jest w „Szkicach” balastem, który z lśniącego turystycznego statku czyni pół-frachtowiec. W szczególności nużące są wszystkie owe wróżby polityczne i strategiczne o przebiegu historii w latach 1940-44, ogłoszone w roku 1958. Jeszcze i to by się dało przekłaniać, bo ostatecznie te na włosk nieomylnie wróżby potrzebne są do konstrukcji pamiętnika, lecz niepodobna zgodzić się na mentorstwo, którym autor do przysytu częstuje zarówno rodaków jak też i Francuzów. Wszystko mu źle, głupio, niepotrzebnie, obłudnie, w czym zresztą stanowiąc brak konsekwencji. Jeśli się pochwała kult życia bez więzów ideologicznych na prywatny użytek, czemu więc za uprawianie takiej filozofii rzucić gromy na Francuzów? Albo jeśli się pisze, że „mit narodowości to jeden z wielkich mitów, który nie ma zamiaru rozlecieć się w pył” i że „dopóki będzie żył, dotąd o ludzkim świecie nie ma co marzyć”, skąd więc arcy-polska nie-nawiść do Rosji jako narodu, bijąca z każdej karty „Szkiców piórkiem”? Oczywiście Bobkowski jest typowym Polakiem, właśnie z tym wieszaniem psów na rodakach, ale przekora to konieczny składnik dobrej literatury. Trzeba też przynajmniej, że jego uwagi o charakterze narodowym Francuzów i Polaków są kapitalne.

Olśniewają te dwa tomy wszechstronną erudycją, wprost niewiarogodnym odczytaniem we Francuzach, znajomością języków. Tylko w łacinie sypie się Bobkowski pisząc: „Caeterum censeo Lavulum et Petenim na szubienicy post bellum dyndandi essent.” A nieładnie! Accusativus cum infinitivo to principium łaciny.

Oczywiście, wszystkie usterki i omyłki w „Szkicach” są tylko wdziękami młodości. Bo „Szkice piórkiem” to dwa tomy młodości.

J. B.

WIECZORY TEATRALNE

KLUB KAWALERÓW

Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą uczcił 40 rocznicę założenia swojej zawodowej organizacji, oprócz balu karnawałowego, przedstawieniem „Klubu kawalerów” Bałuckiego. „Genius loci” posiada duże znaczenie w dziejach sceny emigracyjnej. Sala ratuszowa St. Pancras ma tradycje półamatorskie.

Wprawdzie Zygmunt Nowakowski wygłosił jedno ze swych najlepszych w życiu przemówień, językiem naturalnie pięknym, i fonetycznie, i słownikowo, ale potem nastąpiło coś, czemu pasowałby najśluszniej tytuł „komedia pomyłek”. Jeśli się wyciąga z lamusa sztuki z patyną, wystawia się je zwykle dla tejże właśnie patyny, a nie po to, aby je fryzować, szczerkować i różować na filmową nowoczesność. Wojciech Wojtecki uczcił wprawdzie 40-lecie ZASP-u, ale Bałuckiego przenicował doszczętnie. Z Bałuckiego pozostał w tym ZASP-anym „Klubie kawalerów” tylko pomysł ogólny, gdyż nową treść w stare naczynie tchnął Jerzy Lawina-Swiętochowski, pomysły autor piosenek. Muzycznie były to melodie niewątpliwie miłe, i teraśko mniej. Można, oczywiście, do najstarszych i najlepszych sztuk dodawać wstawki pieśniarskie, ale pod warunkiem, że zgodne są ze stylem sztuki oraz że nie naruszają toku i sensu akcji. Tymczasem piosenki do „Klubu kawalerów” w St. Pancras mogłyby o wiele

lepiej pasować do nowoczesnych swingów czy rokenrolu, a w ogóle prze-fasonowały komedię obyczajową w pół-wodewil, pół-rewię. Podobno przy ZASP-ie istnieje jakaś Rada Artystyczna.

Jeżeli już zamieniło się „Klub kawalerów” w wodewil, trudno pojąć, dlaczego, poza Renatą Bogdańską, dobrano obsadę wyjątkowo nieskomplikowanych strunach głosowych. Ze świecą szukać takich głosów jak Ratschki, Zięciakiewicz czy Laskowskiego. Dobrze, że nie uruchomiono Prusa Olszowskiego.

Ale i reżytersko potraktował Wojciech Wojtecki ten jubileuszowy spektakl jako piknik artystyczny: każdy dawał, na co go było stać, i to wedle niekierowanego wyboru. Sam reżyser, owszem, miał całkiem dowcipną koncepcję, ale zastosował ją tylko do własnej osoby. Reszta obsady rozeszła się do lasa i sasa, wyczynając gesty, ruchy i miny z zakresu wszystkich sztuk, jakie się znajdują między cyrkiem a rewią na lodzie. Bogusław Maciejewski mógłby nawet wystąpić w niemej pantominie, a zważywszy też jego ruchliwość, śmiało aspirować jako eksponat do zakładu Mme Tussaud.

Plusy: piękny głos Renaty Bogdańskiej, dwa fortepiany (J. Kropiwnicki i R. Frank), Zofia Mruczkowska w rock sznej lekcji polki i niektóre dekoracje Smosarskiego. J. B.

Laureat Goncourtów

Na tle życia literackiego Francji przyznanie nagrody braci Goncourtów za najlepszą powieść roku należy do rzędu najważniejszych wydarzeń okresu. Dodatkową atrakcją tego wyróżnienia jest jego długotrwała tradycja w porównaniu z innymi nagrodami literackimi. Stąd też „Prix Goncourt” stanowi dla pisarzy francuskich przedmiot szczególnego pożądanego. Nagroda ta jest bowiem dla wyróżnionego autora jak gdyby „pasowaniem” na pisarza wysokiej klasy, jak również, przy wielkim ożywieniu, jakie panuje na odcinku powieściowym we Francji, cenionym zaszczytem. Dla szerokiej zaś publiczności decyzja jury jest hasłem do masowego wykupu gorączkowo ponawianych nakładów, co nie pozostaje bez wpływu na finansową stronę wydarzenia. Nie zawsze jednak huczek, jaki robi krytyka wokół nagrodzonej powieści, wytrzymuje próbę czytelnika. Wiele stosunkowo niedawno nagrodzonych powieści poszło w niepamięć, nie pozostawiając głębszego śladu. Czy grozi to powieści Rogera Vaillanda pt. „La Loi” (Prawo)? Uważam, że raczej nie. Nosi ona liczne cechy dzieł pretendujących do trwałego dorobku powieściowego nie tylko Francji

Roger Vailland jest pisarzem powojennym, co nie znaczy, że należy do pisarzy jeszcze bardzo młodych. Zanim oddał się pisarstwu, był dziennikarzem. Zmienił zawód mając około lat czterdziestu. Tym spóźnionym startem przypomina Bernanosa i Leona Bloy, którzy twierdzili, że dopiero w tym okresie życia ma autor dostatecznie wyrobiony światopogląd, by zająć znaczące miejsce w pisarstwie. Co jest znamienne. Roger Vailland zniszczył ponoć cały swój dorobek wcześniej, by zacząć od nowa. Krytycyzm tego typu, zastosowany względem swej własnej twórczości, jest prawie zawsze wyrazem sumienności pisarskiej, tudzież niestrudzonych poszukiwań artystycznych. Najnowsza powieść „La Loi” jest już siódmą z kolei po roku 1945, wśród których pierwsza zdobyła nagrodę „Interallié”. Oprócz powieści znajdujemy w twórczości R. Vaillanda reportaże z podróży i liczne szkice literackie. Dał się on również poznać dwiema sztukami scenicznymi, z których jedna, „Kapitan Foster przyzna się do winy”, cieszyła się wielkim sukcesem.

„Prawo” jest książką, którą się czyta z niesłabnącym zainteresowaniem i ze stale towarzyszącą nam świadomością, iż obok fabuły dotykamy z autorem całego splotu problemów, nie mniej ważnych od perypetii poszczególnych postaci. Jest to jednak w pierwszym rzędzie świetna powieść, doskonale rozplanowana, mimo swych pięciu czy sześciu równoległe rozwijanych wątków zasadniczych i kilku wątków pobocznych, opowiedziana językiem lekkim, pełnym dowcipu, w stylu poufnych informacji, których nam autor udziela. Autora jest zresztą w tej powieści pełno; jego ciągłe komentarze, wtręty, nawroty do porzuconych wątków, odautorskie przypomnienia, jak również częste użycie nawiasu, zbliżają styl tej powieści do gawędy, z tą różnicą, że nie ma w niej rozwlekłości i nużących opisów. Partie dialogowe zajmują chyba większą część tekstu.

Sama akcja toczy się w małej malarycznej miejscinie włoskiej na wybrzeżu adriatyckim, odciętej od świata i leżącej z dala od wszelkich zmian i wszelkiego postępu. Jesteśmy w zapomnianej Apulii, w prowincji Foggia, na samym cyplu ostrogi

buta włoskiego, zwróconym do Jugosławii, między Péschici a Vieste, w Porto Manacore.

W tym to małym Porto Manacore dzieją się rzeczy pozornie nie do uwierzenia, ale wielce wiarogodne dla tych, którzy zetknęli się z południowymi Włochami, chociażby podczas wojny. Prawem jest tutaj bezprawie. W stosunkach między szlachtą a ludem żyją jeszcze praktyki feudalne. Mimo dwóch tysięcy chrześcijaństwa wierzenia i gusła pogańskie utrzymują się obok naskórkowej religijności. Ignorancja mieszkańców tego zakątka, brak zainteresowania się władz tym niedostępnym okresem, który — jak chce fama — jest terenem zsyłki dla niewygodnych urzędników, ułatwia rozkład moralny środowiska i zupełne bezprawie. Komisarz polcji Attilio, człowiek słabego charakteru i miernych ambicji, staje się igraszką w rękach skończonego lotra Mateusza Brigante, prawdziwego tyrańca okolicy. Dawny podoficer marynarki królewskiej, staje się po powrocie do Porto Manacore pijawką społeczną, kontrolując wszelkie transakcje i potrącając od nich swoją prowizję. Nie ujdzie jego oku rybak, sprzedawca cytryn, przemysłownik papierosów amerykańskich, złodziej, kochanek — na wszystko nakłada swój podatek. W języku miejscowym „sprawuje swoje prawo”, tak jak w powszechnie znanej tamże grze w „prawo”, od której wywodzi się tytuł powieści. Gra ta polega na wybieraniu za pomocą kart lub kości gospodarza (padrone), który — jak długo nie skończy się butelka wina postawiona przez pozostałych graczy — „ma prawo powiedzieć lub zamilczeć, wypytywać i odpowiadać zamiast pytanego, chwalić lub ganić, lżyć, insynuować, obrażać oszczerstwami, obmawiać, naruszać czyjś honor, ci zaś, którzy podlegają prawu, muszą wszystko to znosić w milczeniu i bez ruchu. Oto zasadnicza reguła gry w „prawo”. Przy południowym temperamencie jest to często gra niezwykle brutalna, pełna mściwych rozgrywek osobistych i krwawych epilogów.

Intrygi związane z narzucaniem swego prawa bliźnim nie wyczerpują jednak bogatej treści powieści R. Vaillanda. Jest ona chyba w zamierzeniu autora przede wszystkim analizą pewnej społeczności, której anachroniczne wprost istnienie jest oskar-

żeniem pod adresem Europy zachodniej odślanającym niektóre wstydlive niedostatki i braki naszej cywilizacji, a więc brak oświaty i sprawiedliwości, przepukstwo i słabość władz, powierzchowność reform, nierówność i krzywdę społeczną itd. Jeżeli obraz wydaje się przejawskrawiwny i naciągany, warto sobie przypomnieć jak w roku 1945 Carlo Levi w książce pt. „Cristo si è fermato a Eboli” opisywał sąsiednią Lukanię. Tło ogólne nie różni się bardzo. Atmosfera ta sama, ta sama ignorancja, bieda, to samo przepukstwo i bezprawie. Tę samą słyszy się skargę zapomnianych mieszkańców południowych Włoch: „Noi non siamo Italiani”, my dla naszych braci z północy „nie jesteśmy Włochami”.

Abstrahując od tych problemów społeczno-moralnych, książka R. Vaillanda żyje życiem niezwyklej i nieokiełznanej przyrody tego dzikiego zakątka. Nad horyzontem, od południa, ponad wyniosłym pasmem Monte Gargano, mienią się czerwieniami, złotem i fioletem chmury deszczowe, z którymi walczą jak tytany dwa skłócone z sobą wiatry, libeccio od Marokka i sirocco od Tunisu, pozbawiając manakorejczyków upragnionego deszczu. Uderzające są też opisy bliżej nieznanego sposobu połowu ryb za pomocą ogromnej maszyny, tak zwanego „trabucco”. Jest to system sieci zamykanych mechanicznie na znak obserwatora siedzącego w wysokim maszcie w środku zatoki i obserwującego dno morza; jeszcze dziwniejszy jest opis połowu „a richiamo”, polegającego na tym, że pierwszą rybę uwiązuje się na linie i wpuszcza z powrotem do morza, ta zaś „zwoluje” inne.

Te i inne wątki łagodzą nieco pesymizm zawarty w powieści. Autor nie proponuje łatwych rozwiązań, nie ludzi siebie i czytelników „happy endem”. Przeciwnie, książka kończy się ogólnym tryumfem zła. Mateusz Brigante panuje nadal niepodzielnie, nie zanosi się na żadne zmiany. Władze przenoszą na inne stanowisko tych, od których wyjść mógł ewentualny renesans. A jednak książka R. Vaillanda stawia sobie niewątpliwie problem moralny. Demaskując tę hańbiącą rzeczywistość, staje się jeszcze jednym głosem o sprawiedliwość dla wszystkich upośledzonych.

Zdzisław E. Wałaszewski

HISTORIA

Po angielsku o powstaniu 1830 r.

Rzadkim zjawiskiem w nowoczesnej literaturze historycznej jest praca historyczna w języku angielskim, dotycząca fragmentu dziejów Polski, oparta na gruntownym przestudiowaniu źródeł i wnosząca do zasobu polskiej wiedzy historycznej, jeśli nie znajomości nowych faktów, to nową ich ocenę, napisana nie przez piszącego po angielsku Polaka, lecz przez Anglosasa.

Monografia o powstaniu listopadowym, napisana przez doktora Uniwersytetu Londyńskiego, p. R. F. Leslie,*) zasługuje na szczególne omówienie: dla licznej rzeszy czytelników europejskich i amerykańskich będzie ona głównym, jeśli nie jedynym źródłem informacji o danym momencie dziejów Polski i ponieważ może wywrzeć większy albo mniejszy wpływ także i na formowanie się ogólnych poglądów na Polskę i na sprawę polską, więc kto jak kto, ale czytelnik polski powinien również ją znać.

choćby tylko po to, by wiedzieć, co obcy o Polsce myślą.

Leslie nie wykazuje polskich sympatii; jego postawa wobec polskiego narodu jest krytyczna, nieraz drwiąca: czytelnik często odnosi wrażenie, że autor ożywny jest wobec Polski uczuciem utajonej niechęci. Pod tym względem różni się on wyraźnie od przyjaciela Polski R. H. Lorda, amerykańskiego autora monografii o drugim rozbiórce Polski, którego skądinąd przypomina gruntownością opanowaniem polskiego przedmiotu. Szczególnie wyraźna jest jego idiosynkrazja wobec polskiej szlachty, w owej epoce wciąż jeszcze będącej głównym rdzeniem polskiego społeczeństwa. Czytelnika emigracyjnego musi uderzyć związek myślowy między poglądami Lesliego, a wielu

*) R. F. Leslie: „Polish Politics and the Revolution of November 1830”. University of London, Athlone Press, 1956, cena 37/6.

lansowanymi dzś w Polsce tezami komunistycznej propagandy historycznej: Leslie czerpał swoje materiały z dzisiejszej Polski (gdzie m. in. przeprowadzał poszukiwania archiwalne) i z natury rzeczy jest pod wpływem obecnego kierunku badań i ocen historycznych w urzędowej Polsce. Wszystko to nie zmienia faktu, że praca jego jest użytecznym wkładem w naszą wiedzę historyczną, której nikt, interesujący się powstaniem listopadowym, nie będzie mógł w swych studiach pominąć.

Powiem więcej: czytanie tej książki dobrze by zrobiło szerokiemu ogółowi polskiej inteligencji emigracyjnej, w zastanawiający sposób opanowanej dziś „tromtadacją” patriotyczną w stylu dziewiętnastego stulecia i pozbawionej tego, co zaczynało już bądź co bądź być zdobywcą początków stulecia bieżącego, mianowicie zdolności myślenia o polityce polskiej tak, jak się myśli o polityce brytyjskiej, amerykańskiej, sowieckiej, fińskiej, czy tureckiej: myślenia rozumnego i trzeźwo kalkulującego warunki zewnętrzne i środki działania.

Nie ma co przemilczać prawdy, która jest od stu lat dobrze wiadoma każdemu Polakowi, zdolnemu do politycznego myślenia: powstanie listopadowe jest w naszej historii faktem, który nam chluby nie przynosi. Zostało ono wszczęte, prawdopodobnie z inspiracji francuskiej i w interesie francuskiej rewolucji lipcowej, przez garść ludzi nieodpowiedzialnych, którzy nawet nie mieli zamiaru stanąć na jego czele i zgłębiać o tym nie myśleli, dokąd to powstanie ma prowadzić. A zostało dalej pokierowane przez ludzi wprawdzie niegłupich, ale pozbawionych charakteru, którzy wiedzieli, że wojna z Rosją musi w ówczesnych warunkach prowadzić do nieuchronnej katastrofy, ale nie mieli dość odwagi, by wyciągnąć z tego wniosek, że trzeba poki czas do wojny tej nie dopuścić. Wydarzenia historycznego, którego wynikiem była likwidacja ostatniego szczytka polskiej państwowości, nie można mierzyć epizodami na szczeblu taktycznym, takimi, jak bohaterstwa śmierć gen. Sowińskiego na Woli, czy jak dzielność pułku czwartaków, ale rozstrzygnięciami na szczeblu strategii i polityki, które decydują o losach państwa i narodu. (Warto zauważyć: Leslie w książce o 307 stronicach, poświęconej powstaniu listopadowemu, w ogóle nie wymienia czwartaków, a o szturmie Woli pisze tylko tyle: „On 6 August the Russians arrived on the outskirts of Warsaw and took without much trouble the strong-point of Wola”, str. 250). Byłoby dobrze, by możliwie szeroki ogół czytelników polski przeczytał sobie, jak wygląda polska tromtadacja powstańcza, oglądana oczyma cudzoziemca. Jest to lektura gorzka, ale dobrze robi jako lekarstwo: bo do odbudowania w sposób trwały naszej niepodległości potrzeba nam jest, obok innych rzeczy, także i politycznego rozumu, a rozum polityczny naród zdobywa głównie przez odwagę i ucziwie wyciąganie nauk z historycznego doświadczenia.

Ocena powstania listopadowego przez Lesliego jest druzgocąca. Pisze on: „Po pochwaleniu czynów dzielności i uznaniu bohaterstwa trzeba stwierdzić, że polska rewolucja prezentuje się bardzo marnie (had cut a very poor figure). W ciągu dziesięciu miesięcy miała nie mniej, niż dziesięć rządów... Była nie mniej urzędajna w wodzów naczelnych... Ogółem, rewolucja przedstawia obraz lekliwego kierownictwa państwowego, tekturowych ludzi grających w sejmie wymagowaną rolę rzymskich

senatorów, radykałów, przybierających teatralne pozy i chepliwych młodszych oficerów, którzy dopiero po niewczasie zdali sobie sprawę z tego co się przytrafiło ich ojczyźnie. W rewolucji wszczętej przez garstkę młokosów i w wojnie, wypowiedzianej dnia 25 stycznia w nastroju zuchwałej tromtadacji (in a mood of reckless bravado), polscy przywódcy szukali ratunku u mocarstw, sygnatariuszy traktatów wiedeńskich, ale czekali na próżno. Nie jest to jedyna tragikomedia tego typu w dziejach Polski”. (str. 256-257) Są to słowa twarde, ale są to niestety słowa zasłużone.

Nawiasem mówiąc, jeśli idzie o ostatni zarzut (wszczęcie niepotrzebnego powstania, a potem domaganie się ratunku od państw zachodnich, które w danej chwili dać go nie mogły) to znamy go, np. z ust brytyjskiego marszałka lotnictwa, Slessera, a propos powstania warszawskiego 1944 r.

Powstanie listopadowe, jak każde powstanie i wojna, może być opisane z różnych punktów widzenia: z punktu widzenia wojskowego, dyplomatycznego i polityki wewnętrznej. Leslie zbywa stronę dyplomatyczną powstania krótko, pisząc na stronie 221: „Trudno jest... mówić o polskiej polityce zagranicznej w czasie rewolucji 1830/1 r., choć to nie znaczy, że nie było ożywionej polskiej aktywności dyplomatycznej, oraz że sprawa polska nie interesowała obcych ministrów, jako że komplikowała zawzięte rokowania, dotyczące sprawy belgijskiej... Rząd polski mógł tylko zabiegać o pomoc.” Przydałoby się polskiemu społeczeństwu także i dzisiaj zrozumienie tego prostego faktu, że zbieganie o pomoc, czy błaganie o ratunek, czy apełowanie do sprawiedliwości, to jeszcze nie jest polityka zagraniczna.

Opis wojskowej strony powstania jest u Lesliego zwięzły, lecz przejrzysty. Z grubsza, można się z jego ocenami zgodzić, choć polemizowałbym z nim tutaj w jednym punkcie: uważa on bitwę pod Grochovem za polską klęskę. Rzecz prosta, trudno ją uważać za wielkie polskie zwycięstwo, była ona jednak niewątpliwym polskim taktycznym i strategicznym sukcesem. Rosjanie nie zdobyli Warszawy, ani nawet Pragi. Nie zniszczyli także polskiej armii. Ich pochód został zatrzymany, do tego stopnia, że w miesiąc z górą później Skrzynecki mógł podjąć kontrofensywę (Dęba Wielkie, Iganje). Dla wojska słabszego, bijącego się przeciw wojsku silniejszemu, sukcesem jest już samo ostanie się i niepozwole nie przeciwnikowi na osiągnięcie jego celów. Grochów, chociaż przyprawił stronę polską o proporcjonalnie większe straty (straty polskie 7.000, straty rosyjskie 9.400 ludzi, ale armia polska była liczebnie dużo słabsza, a więc miała mniej sił do stracenia), był takim właśnie sukcesem: dał powstaniu nieco wytchnienia i czasu.

Głównym jednak przedmiotem książki Lesliego jest strona wewnętrzno-polityczna powstania. Leslie poświęcił swoje dociekania przede wszystkim kulisom polityki powstańczej: fluktuacjom w strukturze, składzie i dążeniach rządu, intrygom w naczelnym dowództwie, dyskusjom w sejmie i w klubach rewolucyjnych. W obrębie tego jednak tematu wysuwa się na czoło zagadnienie specjalne: rola kwestii społecznej, a mianowicie sprawy chłopskiej, w polityce powstańczej. W dziedzinie tej Leslie dał nam coś więcej niż tylko opis roli, jaką sprawa chłopska odegrała w powstaniu: dał nam właściwie zwięzłą syntezę stanu sprawy chłopskiej na przestrzeni czasu znacznie większej niż sam tylko okres powsta-

nia, a nawet niż okres Królestwa Kongresowego (1815-1831). Pod tym względem praca jego wnosi w naszą wiedzę historyczną najwięcej. Rezultatem zetknięcia się Lesliego z myślą historyczną komunistyczną w Polsce jest zwracanie przez niego uwagi na dotychczas mało dostrzeganą stronę zagadnienia chłopskiego w Polsce, jaką była sprawa chłopów bezrolnych, a więc proletariatu wiejskiego, dla których program właszczenia nie oznaczał żadnej poprawy losu.

Ostateczną konkluzją książki jest następująca ocena skutków politycznych powstania (str. 279-280): „Wojskowo Rosja wojnę wygrała, ale utraciła to co Aleksander I zdobył dla niej w r. 1815: lojalną współpracę Polaków. Odłąd zachodnia granica Rosji była zabezpieczana przez traktowanie obszarów polskich jako okupowanego terytorium nieprzyjacielskiego. Rosyjska opinia publiczna stała się sceptyczną co do możliwości zjednania sobie polskiej szlachty, a Polacy nigdy już potem nie mogli myśleć o Rosji inaczej niż jako o wrogu narodowym. Ta głęboko zakorzeniona nieprzyjaźń rodziła międzynarodowe komplikacje. Sprawa polska mogła być zawsze podjęta przez mocarstwa wrogie Rosji, gdy chciały one powiększyć trudności tej ostatniej, a wywoływało to zawsze manifestację uczuć pro-polskich w zachodniej Europie. Liberalowie na zachodzie uważali sprawę polską za część ogólnej sprawy sprawiedliwego porządku w świecie, a konserwatyści widzieli w niepodległej Polsce państwo buforowe, zwrócone przeciwko Rosji. Wynikiem tej powszechnej sympatii dla Polski było, że przywódcy polscy myśleli, iż pozycja ich jest mocniejsza niż była w rzeczywistości i że mogą być nieustępliwi wobec Rosji.”

Dźwięczy w tym wszystkim echo poglądów dzisiejszych komunistycznych władców Polski, widzących w Polsce trwałe państwo buforowe, nie zwrócone przeciwko Rosji, lecz przeciwnie, będące jej osłoną i walesalem.

Roztrząsanie kształtu stosunków między Polską a Rosją (traktowaną odrębnie od komunizmu, to jest dzisiejszego, chwilowego systemu rządów i panującej ideologii w Rosji) przekracza ramy niniejszej recenzji. Ograniczam się do stwierdzenia, że na dalszą metę uważam zgodę, a nawet przyjaźń polsko-rosyjską, za rzecz leżącą w interesie obu narodów, z tym jednak, że o takiej zgodzie i przyjaźni nie może być mowy, jak długo granica Rosji jest na Bugu, a Polska jest wyparta ze swych Ziemi Wschodnich. Ziemi Wschodnie leżały u podkładu konfliktu polsko-rosyjskiego w latach 1830/31 i będą leżeć i w przyszłości, dopóki istnieje granica jałtańska.

Książka Lesliego jest książką wartościową i bogatą w treść, ale w sumie, muszę stwierdzić, że się z większością jej ocen — poza podstawową, negatywną, oceną faktu wywołania niepotrzebnego, klęskowego powstania i wojny — nie zgadzam.

W szczególności nie zgadzam się z tym, co Leslie pisze o powstaniu na Ziemiach Wschodnich.

Opisując ruch powstańczy na Litwie i Rusi Leslie konkluduje: „Oddźwięk w masach ludu nie odznaczał się entuzjazmem i nie zawierał w sobie nadziei, by Polska mogła kiedykolwiek raz jeszcze zostać rozszerzoną ku granicom 1772 roku inaczej — niż przy pomocy przytłaczającej przewagi wojskowej” (str. 219). Prowadzi go to do wniosku, zgodnego z poglądami dzisiejszych

DELIKATNA KWESTIA

Miałem niedawno rozmowę, która nasunęła mi myśl napisania artykułu, będącego w zasadniczym zrebie powtórzeniem jej treści. Człowiek iniewa czasem bardzo dziwne znajomości i natyka się na całkiem nieoczekiwane sprawy. Gdyby mój rozmówca był Polakiem, nie mógłbym tej rozmowy powtórzyć, popełniłbym bowiem niedyskrecję, którą sprawiłbym mu przykrość. Ale nie ma o tym mowy, by bądź rozmówca mój przeczytał artykuł w ŻYCIU, bądź ktokolwiek z czytelników ŻYCIA mógł się domyślić, kto był moim rozmówcą. Dlatego myślę, że nie popełnię nic niewłaściwego, powtarzając tę rozmowę, mającą niewątpliwie znaczenie ogólne.

Mój znajomy nie jest ani Polakiem, ani Anglikiem. Jest to cudzoziemiec, przybyły do Anglii na pewien okres czasu w związku z obowiązkami swojej pracy zawodowej. Jest to młody człowiek w wieku lat może 24 lub 25, wykształcony, katolik, i to naprawdę dobry katolik. Także i jego narze-

kół rządowych w Warszawie, że sprawa Ziem Wschodnich tylko (niepotrzebnie) „komplikuje stosunki (Polski) z Rosją”.

A tymczasem zawarty w książce Lesliego opis wydarzeń na Litwie świadczy, że ludność Litwy masowo chwyciła za broń, by rzucić rządy rosyjskie i połączyć się z Polską. Posłuchajmy tylko: miejscowe oddziały powstańcze, złożone zarówno ze szlachty jak z chłopów i licho uzbrojone (częściowo w kosa), zajęły na Litwie szereg miast, w tej liczbie Telsze, Rosienie, Oszmianę i Polage. Droga Kowno—Dyneburg, łącząca Królestwo z Petersburgiem, została przez powstańców przecięta. W Telszach był przez czas pewien lokalny rząd powstańczy, złożony z dziesięciu „departamentów”. Gdy Rosjanie na nowo zdobyli Oszmianę, poległ przy tym 350 Polaków, a kościoły i instytucje katolickie zostały przez Rosjan złupione. Gdy Rosienie zostały zdobyte przez kolumnę 1.000 Rosjan z 4 działami, powstańcy zdobyli je w kilka dni później powtórnie, zmuszając ową kolumnę rosyjską do schronienia się na terytorium pruskie. Polage, stanowiącą powstańcy drogę do morza, powstańcy atakowali kilkakrotnie, czas dłuższy blokowali, a raz jeden na trzy dni zdobyli. Wszystko to działo się bez żadnej pomocy z Królestwa. Tak nie wygląda kraj, który nie popiera powstania i który mógłby tylko siłą być przez Polskę zdobyty! Także i na Wołyniu, Podolu i Ukrainie powstanie nie miało bynajmniej przebiegu kompromitującego dla Polaków. Szereg przyczyn sprawił, że powstanie nie mogło się tak skutecznie rozwinąć, ale bądź co bądź nawet w guberni kijowskiej narodziła się kolumna powstańcza w sile 1.500 ludzi, rozbita przez Rosjan pod Daszowem. Inę wagi politycznej przypisuje się dziś — na Cyprze, na Malajach, czy w Keni — operacjom powstańczym, którym daleko do sily 1.500 ludzi! — Właśnie powstanie listopadowe świadczy, że w roku 1831 Ziemia Wschodnia aż po granicę 1772 roku były krajem politycznie włączą na wskroś polskim. Dopiero to powstanie pozycję polskości na tych ziemiach bądź podcięło, bądź poważnie nią zachwiało.

Druga kwestia, co do której chcę zaproponować przeczku tezon Lesliego, to jest jego ocena sprawy chłopów i jej roli w dziejach politycznych Polski owaj epoki.

Jędrzej Giertych

czona przebywa w Anglii; ma tu posiadłość. Jest to jego rodzaczka; także katoliczka, ale mniej żarliwa. Mam wrażenie, ale może się mylę, że dopiero tutaj ją poznał i tu się z nią zaręczył.

Znajomy mój prosił mnie o radę w znalezieniu książki, która by w sposób zarazem ścisły, ale nie małostkowy przedstawiała katolicki pogląd na to, co wolno jest, a czego nie wolno w stosunkach między mężem i żoną i w ogóle między mężczyzną i kobietą.

— Na przykład, czy wolno jest ograniczać liczbę potomstwa?

— Na to mogę panu odpowiedzieć i bez książki. Wolno, ale tylko jednym sposobem: przez stałą lub okresową abstynencję.

— Ja wiem. Sprawa okresowej abstynencji jest mi znana. Wiem także, że Kościół nie pozwala na przeszkadzanie zapłodnieniu sposobami sztucznymi. Ale chodzi mi o upewnienie się, czy to jest naprawdę zakaz niedowolalny i czy nie będzie on kiedyś tak cofnięty, jak cofnięte są dawniejsze, ostre przepisy co do postów, albo co do przyjmowania Komunii św. na czczo.

Staralem się wytumaczyć mu, jak umiałem, różnicę między zakazami o charakterze dyscypliny kościelnej, które Kościół może dowolnie nałożyć i dowolnie cofnąć, a zakazami wynikającymi w sposób nieodparty z przykazań Bożych. Doradziłem mu również książki.

Wszystko to rozumiał i wiedział. Chciał się tylko upewnić. Widać było, że dreczą go jakieś wielkie trudności. Rozgadaliśmy się bardzo szczerze, — jako człowiek stary i doświadczony, dawałem mu rady i pouczenia — i w końcu wyjaśnił mi, na czym jego kłopot polega. Jego narzeczona nie podziela jego katolickich poglądów.

— Ja też jestem katoliczką — powiedziała mu. — Ale nie biorę nakazów kościelnych tak dosłownie i przesadnie jak ty. Słuchaj, nie bądź naiwny. Jak ci się zdaje? Czy ogół katolików myśli tak jak ty, czy tak jak ja? Rozejrzyj się wśród swoich znajomych, wśród ludzi naszej sfery! Wszyscy mają po jednym, po dwoje, po troje dzieci. Ty myślisz, że to się tak dzieje przypadkiem? Taka masowa bezpłodność? Albo, że oni przestrzegają okresowej abstynencji, że obcują ze sobą fizycznie tylko w określone dni w miesiącu? Bajki! Oni wszyscy postępują pod tym względem tak samo jak protestanci i jak ludzie niewierzący. A wszyscy chodzą do kościoła. Nas jest też dwoje rodzeństwa. I nie mam wątpliwości, że rodzice moi sami narodzeni się większej liczby dzieci przeszkodzili i to wcale nie przez stosowanie abstynencji. A jednak i ojciec i matka chodzą co niedzielę na Mszę. Ja nie zamierzam być inna od nich. Nie chcę sobie zawiązywać życia przez zwałenie sobie na łeb gromady dzieci. Chcę mieć dwoje, troje dzieci — i koniec. Ale ani myślę rezygnować w małżeństwie z normalnego życia płciowego. I chcę być to zrozumiał. To bym się usmiała na twój widok, gdy kiedyś wyjdzie rozporządzenie papieskie, że dotychczasowe surowe zakazy zostają odwołane!

Czy ona tylko nie chce rezygnować z normalnego życia płciowego w małżeństwie, czy też chciałaby je mieć i teraz, w małżeństwie i stać takie dasy? Nie śmiałem mu postawić takiego pytania, choć trochę byłoby usprawiedliwione przez jedno jego zdanie, z pewnością też powtórzone za nią: przykazania Boże mówią o cudzołóstwie, in-

ne grzechy przeciwko czystości nie są wymienione w przykazaniach.

Mam dla niego jedną bardzo dobrą radę. Nie miałem jakoś możności, by z tą radą wobec niego wystąpić, ale, jeśli będę miał jeszcze po temu okazję, spróbuję to delikatnie zrobić. Rada ta brzmi po prostu: że powinien sobie poszukać innej narzeczonej, bo ta jest nieodpowiednia dla niego.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Dlatego, że rozmowa ta ma znacznie ogólne. Rzadko ma się okazję usłyszeć takie poglądy, jak owej młodej panny, wypowiedziane wprost, ale gdy się człowiek wśród ludzi rozgląda i zna życie, wie dobrze, że poglądy takie są bardzo rozpowszechnione. Wśród ludzi wielu narodowości i także i wśród nas, Polaków.

Cóż to za kazuistyka — twierdzić, że przykazanie Boże zakazuje tylko cudzołóstwa (tj. grzechu przeciwko wierności małżeńskiej). Nie ulega wątpliwości, że inne grzechy przeciwko czystości są także tym przykazaniem objęte. I że ogólny nakaz czystości wynika dostatecznie jasno z tekstu Ewangelii.

Istota sprawy sprowadza się do faktu miękkości i połowiczności wielu tak zwanych katolików. Brak jest dzisiejszej epoki mocnych charakterów. Życie jest takie wygodne! I ludzie tak są wygodni spragnieni! Nawet ci, których los doświadczył, których przeprowadził przez łagry i obozy koncentracyjne, lub przez operacje wojenne, niekoniecznie nabrali przez to twardości charakteru.

Wysilać się? Nakładać sobie rygory w postępowaniu? To jest takie trudne, takie męczące! Istnieją całe zastępy ludzi, którzy są niby poczciwi, którzy niby zajmują postawę katolicką, którzy chodzą do kościoła i modlą się, ale których nie stać jest na to, by być katolikami integralnymi, starającymi się stosować do przykazań Bożych i kościelnych w sposób pełny. Tworzą oni tę miążgą społeczną ludzi letnich, która uniemożliwia wszelką naprawę w sposób skuteczniejszy niż przeciwdziałanie ludzi świadomie złych. Dzięki miażdze tej świat gnije — i stopniowo zsuwa się w przepaść.

Potrzebne jest Polsce i światu wielkie odrodzenie religijne. A odrodzenie religijne, nie będące równocześnie wielkim odrodzeniem moralnym jest płytkie i nietrwale, i w gruncie rzeczy złudne. Bo czy można ufać jako katoliczce, jako przyszłej matce katolickiej rodziny, osobie, która ma poglądy takie jak owa panna, narzeczona mego znajomego? Jej wynurzenia, powtórzone mi przez niego, to istna rewelacja: wgląd w sposób myślenia kategorii ludzi z pewnością dzisiaj nie rzadkiej: ludzi mieniących się katolikami, a katolikami nie będących.

Pasują do nich słowa Ewangelii św. Łukasza na niedzielę sześćdziesiątą — oziarnie, które padło jedno koło drogi, drugie na opokę, trzecie między ciernie, a czwarte na żywną glebę.

— A którzy koło drogi, ci są, co słuchają, a potem przychodzi diabeł i wybiera słowo z serca ich, aby uwierzywszy nie byli zbawieni.

Niby wierzą, a postępują tak, jakby nie wierzyli. I jakby rządził nimi wpływ szatana.

Zakończę słowami Księdza Prymasa Wyszyńskiego, wypowiedzianymi w przemówieniu do kobiet na Jasnej Górze, w dniu 15 września ubiegłego roku, a ogłoszonymi dopiero w dniu 8 grudnia w „Przewodniku Katolickim”:

„Największym niebezpieczeństwem, Najmilsze Dzieci, jest to, co się czuje w duszy Narodu i co godzi w życie Narodu, co godzi w godność kobiety, co godzi w jej skromność, co godzi w jej czystość, co godzi w jej za-

SZTUCZNE ZAPŁODNIENIE

„Sztuczne zapładnianie ma na celu zwiększenie szans i ułatwienie zetknięcia się żeńskiej komórki rozrodczej z męską przy użyciu sztucznych środków” — takiej definicji używa A. Schellen w swojej książce pt. „Artificial Insemination in the Human” (Cleaver-Hume Press Ltd.). Autor jest lekarzem ginekologiem przy uniwersyteckiej klinice w Groningen, w Holandii.

Jeśli chodzi o terminologię, to Anglicy z wrodzonym sobie zmysłem praktycznym i zamiłowaniem do skrótów ujęli sprawę następująco: angielski odpowiednik sztucznego zapładniania, **artificial insemination**, określa się skrótami A.I., podczas gdy dwie kategorie dawców (donors), tzn. mąż lub inny mężczyzna, określani są mianem **Artificial Insemination Husband** i **Artificial Insemination Donor**, w skrócie A.I.H., A.I.D. Dodać trzeba, że A.I.H. oznacza, że mąż nie jest w stanie zapłodnić żony w naturalny sposób. Skrótów te bardzo upraszczają dyskusję tego problemu, a podział na te dwie kategorie odpowiada głównym różnicom moralnym i prawnym. Wydaje się więc uzasadnione użycie w polskim terminów „dawca” i „mąż” dla określenia tych dwu zasadniczych grup.

Wszyscy prawie wiedzą coś o problemie sztucznego zapładniania, a zainteresowanie nim ostatnio wzrosło wskutek głośnej dość sprawy rozwodowej w prasie angielskiej. Warto może przypomnieć jej meritum. Chodziło o to, czy sztuczne zapłodnienie żony (skuteczne) przy użyciu „dawcy”, a bez po-

danie, by pomagała ku dobremu, co godzi w jej stanowisko przy ognisku domowym i przy duszy dziecięcia, które wzięwszy z Boga, Bogu ma oddać.

I stąd rodzą się wielkie niebezpieczeństwa, które zniekształcają dzisiaj duszę kobiecą, które sprawiają, że odpywa nam młodzież żeńska, że jej niemal nie widzimy, że gdzieś zanika, że gdzieś znajduje sobie upodobanie w dzisiejszej jakżeś niepoważnej modzie, w dzisiejszej swobodzie towarzyskiej, w jakiejś lekkości i beznamiętności, tak iż nie można wspólnego języka z nią znaleźć. Jest to niebezpieczeństwo, którego wyraz widzimy szczególnie w dzisiejszej prasie i w książce, gdyż pornografia, która jest dzisiaj w modzie, posuwa się tak daleko jak nigdy w naszej Ojczyźnie, w najbardziej wyuczonych czasach, miejsca nie miała. I w tym mają się wychowywać wasze córki, wasi synowie? I to ma być ta nowa Polska, ta inna Polska, wychowana w błocie i karmiona błotem? To jest największe niebezpieczeństwo i największy ból.

A wszystko to dzieje się właśnie wtedy, gdy Polska czując wielkie niebezpieczeństwo jej grożące mobilizuje wszystkie swoje siły u stóp Jasnej Góry...

Potrzeba nam pomocy, jak Betulia potrzebowała pomocy Judyty. Obłąkana Betulia, obłąkana Polska, obłąkana przez zepsucie, przez nietrzeźwość, przez pijaństwo, przez rozwiązłość, przez istną kradzieżomanię, przez niszczytelstwo. Ta obłąkana Polska czeka waszej, Matki, pomocy.”

Słowa te można by również dobrze odnieść — z małymi zmianami — do każdego innego kraju w świecie. A także odnieść i do polskiej emigracji na Zachodzie.

Potrzeba jest i Polsce i światu rzeczy bardzo prostej: zwyczajnej matki-katolickiej. Takiej, jaką znają wieki. A jakich w naszych czasach jest tak mało. Matki, traktującej własne życie jako powołanie i służbę i nie podporządkowującej swych obowiązków i zasad postępowania swojej nisko pojmowanej wygodzie i przyjemności.

I zwyczajnego ojca-katolika też. **Polonus**

zwolnienia męża, jest równoznaczne z cudzołóstwem, czy też nie. Sąd orzekł, że nie. Decyzja nie jest istotna, rzecz jest ciekawa natomiast jako przykład zagadnienia, jakie powstać musi często w krajach, gdzie stosuje się sztuczne zapładnianie na większą skalę, jak np. w Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii, Francji, Holandii, oraz w krajach skandynawskich i Izraelu.

Należy podkreślić, że z punktu widzenia medycznego jedynym uzasadnieniem użycia sztucznego zapładniania jest bezdzietne małżeństwo.

Przy użyciu najnowszych metod badania można ze względą pewnością stwierdzić, kto jest odpowiedzialny za bezdzietność: mąż czy żona. Gdy przypuszcza się, iż „winowajcą” jest mąż, powstaje zagadnienie wykorzystania innego mężczyzny — „dawcy”. W tym leży właśnie problem natury moralno-teologicznej, socjologicznej i prawnej.

Historycznie, sztuczne zapładnianie użyte było po raz pierwszy przez Arabów w XIV wieku, przy hodowli koni i psów. Co prawda, Stary Testament też porusza ten problem, ale nie dość wyraźnie. W czasach nowoczesnych natomiast wiadomo, iż w roku 1780 użyto we Włoszech tej metody dla zapłodnienia suki. Pierwszy znany wypadek wśród ludzi dotyczył bezdzietnej żony bogatego kupca londyńskiego, pod koniec XVIII wieku; ten pierwszy eksperyment A.I.H. przeprowadzony został przez jednego z najświetniejszych uczonych angielskich Johna Huntera, natomiast urodziny pierwszego dziecka przy użyciu A.I.D. miały miejsce w 1876 roku w Filadelfii. Druga połowa XIX wieku jest okresem licznych już prób w tej dziedzinie, przeprowadzanych zarówno na ludziach jak i na zwierzętach. W Rosji stosuje tę metodę Iwanow w hodowli owiec i bydła. Przewiduje się, iż po latach doświadczeń stanie się możliwe zapłodnienie 15 tysięcy owiec przez jednego samca w ciągu jednej pory rozmnażania.

Prawdziwie prędko rozwój doświadczeń ze sztucznym zapładnianiem datuje się od roku 1936 i związany jest z nazwiskami Seymour i Koerner. Ci dwaj uczeni interesowali się przede wszystkim problemem bezdzietności i pierwsi zapoczątkowali użycie na szerszą skalę sztucznego zapładniania.

Tu należy podkreślić, że dziś jest to już bardzo realne zagadnienie. Tak na przykład wiadomo, że w ciągu ostatnich paru lat w Stanach Zjednoczonych urodziło się ponad 100 tysięcy dzieci na skutek zastosowania metody A.I.D. A nawet w Anglii istnieją już od paru lat tzw. „fertility clinics”, zwykle przy szpitalach, które zajmują się problemem bezdzietności i mogą zalecać użycie sztucznego zapłodnienia. Oczywiście, w innych krajach podobna organizacja rozwinięta jest dużo szerzej.

Z punktu widzenia lekarzy zastosowanie sztucznego zapładniania w praktyce jest jeszcze ciągle problemem nader trudnym. Przede wszystkim dużo jest trudności z wybraniem spośród zgłaszających się małżeństwa, które by nadawało się bez zastrzeżeń do tego zabiegu. Poza tym, w części wypadków pomoc będzie niemożliwa we względu na absolutną bezpłodność kobiety. W innych wypadkach bezdzietność jest wynikiem przyczyn często psychologicznych, a nie organicznych. Te same przyczyny skłonić mogą lekarza do odmówienia pomocy

kandydatom, których trudności mają wyraźne podłoże historyczne. Nie można również zapominać o pewnych niebezpieczeństwach związanych z użyciem tej metody, mianowicie o obawie zaszkodzenia czy to przez użycie materiału zakaźnego, czy to przez sam zabieg. Co tu dopiero mówić o fałszywych pretensjach, do których sztuczne zapładnianie daje szerokie pole. Mogłyby oczywiście zdarzać się autentyczne pomyłki, tak więc użycie „dawcy” innej rasy lub barwy niż matka, z tragicznymi konsekwencjami. Poza tym, jeśli chodzi o „dawców”, musiałaby istnieć jakaś księga rejestracyjna, która podawałaby jak najbardziej wyczerpujące dane o ich pochodzeniu, charakterze, zdrowiu itd.

Aby utrzymać całe zagadnienie bezdzietności w ramach rzeczywistości, dodać należy, że w bardzo wielu wypadkach przybieranie sierot i rozwiązuje ten problem i oddaje przyszłą społeczeństwu.

Z punktu widzenia eugenicznego i genetycznego stosowanie A.I.D. nie jest wskazane z paru względów. Przy użyciu jednego „dawcy” do wielu zabiegów łatwo mogłoby powstać przerasowanie i degeneracja wśród jego potomków, wskutek małżeństw pomiędzy ludźmi nie podejrzewającymi wzajemnego pokrewieństwa.

Ciekawe jest jaką pozycję prawną zajmowałby „dawca” i jego dziecko. W Stanach Zjednoczonych wymagana jest specjalna metryka. W Anglii ma być wkrótce przedstawiony parlamentowi wniosek, na mocy którego użycie metody A.I.D. równoznaczne byłoby z cudzołóstwem, a dzieci urodzone z takiego związku uważane byłyby za dzieci z nieprawego łoża. W każdym razie całe zagadnienie podlegać musi bardzo ścisłym przepisom prawnym. Inaczej bowiem jakież byłoby to pole do nadużyć wszelkiego rodzaju, szantażów i wyzysku przez nieuczciwych „dawców”, a nawet może i lekarzy.

Spółczeństwo — jako całość — niewątpliwie ucierpiałoby w razie szerokiego zastosowania metody A.I.D., gdyż podważyłaby ona jeszcze dalej wartość małżeństwa, tej podstawowej instytucji społecznej.

Pozostaje aspekt moralno-teologiczny. Pewnie ciałam judaizmu znalazł — wskutek dość zakłamanego rozumowania — uzasadnienie dla tej metody, zaś autorytety muzułmańskie krzyki, że dla nich problem ten nie istnieje ze względu na wielożenstwo, natomiast wszystkie Kościoły chrześcijańskie potępiły jak dotychczas jednoznacznie i bez zastrzeżeń sztuczne zapładnianie przy użyciu „dawcy”, jako naruszające prawo moralne i sprzeczne z godnością człowieka, bo sprowadzające go do poziomu zwierząt hodowlanych.

Dla nas, katolików, najistotniejszy jest stosunek Kościoła i Stolicy Apostolskiej do tego problemu. Gdy pod koniec XIX wieku po raz pierwszy zagadnienie to powstało, Stolica Apostolska bez wahania orzekła „non licet” — nie wolno. Jeśli chodzi o użycie „dawcy”, stanowisko to jest nadal równie bezkompromisowe, zmienił się tylko nieco pogląd na A.I.H., tzn. sztuczne zapładnianie ze współdziałaniem męża. Ale i tu, jeśli chodzi o szczegóły, teoretycy nie są w zupełnej zgodzie. Chodzi mianowicie o to, by uniknąć użycia metod, które równałyby się zapobieganiu ciąży i nie wkroczały poza ramy tego, co jest całkowicie naturalne. Ojciec św. w niedawnej wypowiedzi do przedstawicieli lekarzy katolickich potępił sztuczne zapładnianie jako sprzeczne z planami Bożymi i naruszające prawa natury.

Dr J. Leszczyński

LISTY I UWAGI

GŁOSY O „ZYCIU”

J. E. Ks. Arcybiskup Gawlina pisze:

...Gratuluję numeru 2-go ZYCIA, bez porównania lepszemu od numeru 1-go.

W artykule (kazaniu) moim o kulturze polskiej w praktyce miałem jedną literę herezję do tekstu. Proszę przeto o przesłanie mi mojego manuskryptu, ażeby mógł stwierdzić tekst, dociąć „winowajcy” i sprostać...

* * *

...Co do generalnej linii czy programu, nie chcę się wymądrzać, natomiast mam dwie uwagi co do ducha. Pismo, które w nagłówku swym pisze „katolickie”, ma obowiązek być ludzkie, życzliwe.

Wydaje mi się, że na emigracji ta sprawa wygląda wprost beznadziejnie. Ciosy poniżej pasa, dopatrywanie się w postępowaniu bliźnich Bóg wie jakich motywów, byle tylko móc ich zakwalifikować wedle sztancy i przyjętej formułki — białe-czarne.

Owszem, musi być opinia publiczna, owszem, zadaniem prasy jest wyciągać, oceniać, piętnować — ale trzeba starać się o elementarną sprawiedliwość i fair play. Szczególnie, jeśli ktoś podpadnie — to हुआ, wszyscy ze szczyrym.

To jedna rzecz, jeśli chodzi o ludzkość. A druga, to troszkę uśmiechu i czaru osobistego i personal touch. Redakcja to nie jacyś półbogowie na piedestale. Zespół wokół piśmi, to ciężko pracujący ludzie, którzy chcą coś głosić, czemuś służyć. Niech więc ukazują się czasem po przyjacielsku, niech będzie coś o nich wiadomo. Nie chodzi mi o żadne noty biograficzne, urodził się, maturę zdał, w czasie wojny to i owo, wszystko pod fotografią paszportową równo, sztywno z bukietem w ręku.

Przykładem dobrego — w moim pojęciu — traktowania tej sprawy jest reklamowany kwartalnik „Sheed and Ward's Own Trumpet”, mam nadzieję, że od lat dobrze Wam znany? Pracownicy tej firmy wydawniczej, do windziarza włącznie, autorzy

FREDO I GOSZCZYŃSKI

(Dokończenie ze str. 24)

Dodać należy, że syn Fredry, według oświadczenia prof. Tarnowskiego podał również tę komedię jako pierwszą po okresie milczenia.

Po przeczytaniu rozpraw prof. Pigonia „Spuścizna literacka Al. Fredry” oraz „Z pracowni literackiej Al. Fredry” widzimy, iż sprawa zamknięcia naszego wielkiego komediopisarza wygląda inaczej niż do tego czasu ją przedstawiano.

Odpowiedzialność za pozbawienie literatury polskiej kilku czy kilkunastu komedii nie spada na Goszczyńskiego, lecz na klikę lwowskich literatów o niskim locie, ale za to ostrym piórze. Odkrycie prof. Pigonia jest bardzo ważne, gdyż w ten sposób nazwisko Goszczyńskiego zostaje oczyszczone z wielkiego bądź co bądź zarzutu. A przecież autor „Zamku Kaniowskich” czy „Sobótki”, jako człowiek i jako twórca cieszył się i cieszy poważaniem. Tylko ten zarzut ciążył na nim.

Dowody, argumentacja i oświetlenie tego zagadnienia są tak wyczerpujące i przekonujące, że trudno nie pójść za tokiem wywodów prof. Pigonia.

Władysław Tylka

książek odwiedzający biuro, pojawiają się na tych paru kartach uśmiechnięci, w lekkiej, sympatycznej karykaturze, ożywiają... W „Tygodniku Powszechnym” przypisek redakcji w felietonie Bożenarodzeniowym Kisiela też uważam za sympatyczny — właśnie o taki nastrój mi chodzi. Czytelnik może się nie zgadzać z tym czy owym poglądem, ale jakoś podskórnie zachowuje życzliwość do osób. Wytwarza się pogodna atmosfera bez złości...

Ewa Gieratowa

* * *

Pisanie dla ZYCIA i o ZYCIU, nasuwa porównanie dostawcy z klientem. „Dostawca” — współpracownik pisma — pragnie widzieć ZYCIE dostosowane do formy jego pracy publicystycznej czy literackiej. „Klient” — czytelnik pisma, stawia przed ZYCIEM szereg wymagań i oczekuje ich realizacji przez redakcję i wydawców.

Przekształcenie ZYCIA na miesięcznik jest zmianą korzystniejszą dla klienta-czytelnika. Oczywiście, przyszłość wykaże, czy redakcja trzyma rzeczywicie rękę na pulsie czytelniczym i potrafi wyciągnąć odpowiednie wnioski, dostosowując miesięcznik do istniejących stale lub też w pewnych wypadkach zmieniających się problemów i zainteresowań. Na razie szereg działów dawnego tygodnika powinno zniknąć z lamów miesięcznika z uwagi na potrzebę zachowania minimalnej choćby aktualności i nie wprowadzanie chaosu w układzie miesięcznika.

Forma graficzna miesięcznika winna przyjąć format książkowy, łatwiejszy do przechowywania na półce, i wykorzystywania przy poszukiwaniu źródeł, materiałów używanych w działalności organizacji katolickich itp. Okładka powinna raczej być jednolita, bez rycin czy ozdób graficznych.

Wydawanie od czasu do czasu numerów specjalnych, poświęconych w całości specyficznym zagadnieniom będzie powitane z zadowoleniem przez czytelników i — sądząc — przez część współpracowników, specjalizujących się w pewnych dziedzinach. Sugestia p. Jędrzeja Giertycha o potrzebie wprowadzenia stałego działu literackiego trafia mi do przekonania: miesięcznik o zwiększonej objętości może drukować obszerniejsze nowele, opowiadania itp. Katolicka twórczość literacka, szczególnie młodszego pokolenia, jest traktowana czasem po macoszemu.

Tadeusz Ziarski

ODNOWICIEL MUZYKI KOŚCIELNEJ

W artykule „O muzyce kościelnej” w nr. 47 ZYCIA, w wierszu 17 powinno być: „W Akademii Krakowskiej powstaje katedra zasad chóralu gregoriańskiego. Wykładano według rękopisów słynnych teoretyków XIII i XIV stulecia, jak magister Szydłowiata z w. XIV i inni...”

S. Niekraszowa

* * *

W... nr. 47(544) ZYCIA z 24. 11. 57 r., na str. 9, opublikowany jest artykuł p. St. Niekraszowej pt. „Odnawiciel muzyki kościelnej w Polsce ks. Wacław Gieburowski”. Ponieważ w artykule tym podane są wiadomości niezgodne z faktami historycznymi, przeto niniejszym je prostuję...

„W wieku XIII powstaje w Akademii Krakowskiej katedra zasad chóralu gregoriańskiego... Autorem licznych traktatów i dzieł teoretycznych oraz sławnego „Dialogu o muzyce” św. Augustyna był znakomity kompo-

zytor z XV stulecia, ks. Sebastian z Felsztyna...” — ...Akademia Krakowska została otworzona w r. 1364 przez Kazimierza Wielkiego, a więc był to wiek XIV... Prof. Zdzisław Jachimecki, prof. muzykologii w Uniwersytecie Jagiellońskim (dziś nieżyjący), w dziele „Muzyka polska w rozwoju historycznym”, tom I, cz. I, str. 89-90, następująco pisze o Sebastianie z Felsztyna: „W aktach Uniwersytetu Jagiellońskiego wpływa nazwisko Sebastiana w roku 1507 przy wpisaniu się Sebastiana na wydział artium liberalium dnia 29 listopada 1507 r. Wedle tego aktu był Sebastian synem Jana i urodził się w Felsztynie w diecezji przemyskiej. Ale daty urodzin nie znamy. Ponieważ w czasach tych na uniwersytety wpisywali się młodzieńcy liczący 14, 15 czy 16 lat, więc możemy wnosić, że Sebastian przyszedł na świat po roku 1490...” „Póki co, jedynym kompozytorem polskim wieku XV jest Mikołaj z Radomia... — Autorem „Dialogu o muzyce” jest św. Augustyn.

W dalszej części swego artykułu p. St. Niekraszowa pisze: „...Ks. Grzegorz Gerwazy Gorczycki (1666-1734), mistrz techniki polifonicznej, autor hymnu „Gaude Mater Polonia” i wielu genialnych kompozycji...”. Czemu Autorka określa rok urodzenia G. G. Gorczyckiego na 1666, kiedy tego nie czyni jego dotąd najlepszy znawca i biograf, prof. Adolf Chybiński w swej pracy „Grzegorz Gerwazy Gorczycki, przyczynek do historii muzyki w Krakowie”, cz. I i II? Prof. Zdzisław Jachimecki w „Muzyka polska w rozwoju historycznym”, tom I, cz. II, pisze: „prawdopodobnie Gorczycki nie osiągnął dziewięciu krzyżyków, skoro w roku 1694 starał się o wykariat w katedrze wawelskiej...”

Do dziś polscy muzykologowie nie ustalili, kto jest autorem hymnu „Gaude Mater Polonia” i o tym pisze prof. Zdzisław Jachimecki w „Muzyka polska w rozwoju historycznym”, tom I, cz. I, str. 33, następująco: „Od dwóch mniej więcej pokoleń weszło do powszechnego użycia czterogłosowe opracowanie tego hymnu, w prostej homofonicznej fakturze. Układ ten krążył w amatorskich zespołach śpiewackich, zwłaszcza wśród członków naszych chórów akademickich, w hektograficznie przeważnie powielanych odpisach, często bez podania nazwiska autora tej przeróbki lub też z powołaniem się na kompozytora z końca XVII i początku XVIII stulecia, G. G. Gorczyckiego, jako na jej autora. Była to oczywiście mistyfikacja, ale legenda w związku z nazwiskiem Gorczyckiego zataczała najszerze kręgi i utrzymywała się przez długie kilkadziesiąt lat, zanim nie zostało stwierdzone, że opracowanie to pochodzi z wydanego w r. 1867 wielkiego zbioru pieśni chórowych pt. „Szczęble do nieba”, dokonane przez ks. Teofila Klonowskiego, gdzie Gaude Mater Polonia umieszczona została na samym końcu utworów, będąc dziełem samego ks. Klonowskiego. Być może, że legenda ta powstała nawet jeszcze za życia zasłużonego wydawcy. Można ją przytaczać jako charakterystyczny przykład tworzenia się fałszywych tradycji...”

Stanisław Sylwester Szarzyński, jak pisze prof. Z. Jachimecki, „okazał się najpoważniejszą postacią kompozytorską w ostatnich dziesiątkach lat wieku XVII.” Imiona jego zdolał ustalić Adolf Chybiński na: Stanisław Sylwester i jest to kompozytor w wieku XVII, a nie XVIII...

W końcu... jak najgorętsza prośba..., aby korekta była przeprowadzana skrupulatnie; aby zespół redakcyjny czuwał nad czystością języka polskiego..., aby w artykułach o treści historycznej sprawdzić, czy rzeczy podane zgodne są z faktami dziejowymi...

J. F. S. (Ohio, USA)

Ludzie i zdarzenia

Katolicka Rada Pomocy Polakom w Londynie (Catholic Council for Polish Welfare) oraz brytyjska Liga Kobiet Katolickich (Catholic Women League) wysłały do Polski, na ręce Ks. Prymasa, 15 maszyn trykotarskich, jako dalszy ciąg akcji pomocy katolickiej.

List Kardynała Prymasa Wyszyńskiego do prezydenta Rady Arcybiskupa Godfreya, dziękujący za przesłane do Polski brewarze, został ogłoszony w prasie brytyjskiej.

*

Przywrócenie w roczniku watykańskim polskich nazw diecezjom Ziemi Odzyskanych, w tym prastarej stolicy arcybiskupiej we Wrocławiu, powoduje niewczesne gorzkie komentarze w prasie niemieckiej.

*

Ilustrowany Buletyn Informacyjny AK i SPK, wydawany w Meksyku nakładem delegata tych organizacji, Jerzego Skoryna-Lipskiego, przynosi żywe sprawozdania z imponujących manifestacji (w październiku ub. roku) ku czci Najśw. Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej.

Obraz Jej (kopia wizerunku jasnogórskiego), ufundowany przez Polonię chicagowską, został uroczysto ofiarowany miastu Tacambaro, gdzie — pod protektoratem Biskupa Martinez Betancourt — odbyła się tryumfalna intronizacja, tłumna pielgrzymka oraz pierwsza w Meksyku wystawa polska, a następnie całodzienna „fiesta” miejska.

*

Lutowy numer „Naszego Głosu”, pisma kombatanckiego w Wielkiej Brytanii (red. M. Przedzimirski), drukuje interesujące źródłowe fragmenty książki Zygmunta Kotkowskiego pt. „Na kontynencie afrykańskim”, która ukazać się ma w połowie br. Autor jest współpracownikiem KOW Veritas.

*

Nowopowstały Związek Polaków Katolików w Izraelu (prezes Tymcz. Komitetu: Roman Szczurkowski), z centralą w Haifie, liczący już kilkuset członków, pragnie nawiązać łączność z ośrodkami polskimi w świecie.

*

Brytyjsko-holenderska wytwórnia substancji plastikowych wydała przedruk pracy inż. Janusza Cywińskiego pt. „A survey of some curing methods of polyester resins”. Jest to trzecia z kolei praca polskiego chemika drukowana w fachowym miesięczniku „British Plastics”.

REKOLEKCJE PAŃ

Rekolekcje zamknięte dla Pań, które prowadzić będzie o. Tadeusz Sporny, jezuita, odbędą się w Cenacle Convent, 33 West Heath Road, N.W.3, w dwóch terminach:

I — 25-28 marca; początek we wtorek o godz. 15.30, koniec w piątek o godz. 10.

II — 28-31 marca; początek w piątek o godz. 18.30, koniec w poniedziałek o godz. 9 rano.

Zgłoszenia do p. Z. Mycielskiej, 93 Philbeach Gardens, S.W.5, tel. FRE 7156, w godz. od 16-18 do 22 marca. Uczestnictwo 3 szyl., koszt pobytu w klasztorze bez względu na ilość dni, 40 szyl. Zgłoszenia pań dochodzących nie będą przyjmowane.

Dojazd do klasztoru kolejką do Finchley Road, albo do Hampstead, Autobusami: 2 lub 28 do przystanku Platts Lane.

OSTATECZNY TERMIN WNIOSKÓW O ODSZKODOWANIA

ZARZĄD ZWIĄZKU B. WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH NIEMIECKICH WIĘZIEN I OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH zawiadamia swych członków i wszystkich „kacetowców”, że **OSTATECZNY TERMIN DO SKŁADANIA WNIOSKÓW O ODSZKODOWANIE** do rządu niemieckiego upływa dnia 1 kwietnia 1958 r.

Termin jest ostateczny i nie ma być już przedłużany.

W dobrze zrozumianym interesie wszystkich „kacetowców” — nie należy zwlekać do ostatecznej chwili z wnoszeniem pretensji. Każdy wniosek wymaga bowiem opracowania i udokumentowania.

Komisja Prawnicza Związku udziela bliższych informacji i pomocy w każdy czwartek w lokalu SPK, pokój nr 10 od godz. 6-7 wiecz.

Kacetowcy z prowincji i innych krajów otrzymać mogą informacje korespondencyjnie p. a.: Związek Kacetowców, c/o SPK, 18 Queens Gate Terrace, S.W.7.

Stałe dyżury prezesa i sekretarza Związku — w czwartki od 6-7 wiecz. w lokalu SPK (adres jak wyżej).

Zarząd Związku prosi wszystkich kacetowców o podanie adresów dla przesłania biuletynów informacyjnych. W biuletynie podane będą wszystkie aktualne zagadnienia i informacje w sprawie odszkodowań.

Zarząd Związku jest w kontakcie z innymi bratnimi związkami i szeregami organizacji międzynarodowych, celem uzgodnienia wspólnych wystąpień i dalszej akcji.

Zarząd przewiduje zwołanie walnego zebrania dla przedstawienia wyników i osiągnięć, oraz przeprowadzenia wyboru nowych władz Związku.

Termin 1. 4. 58 odnosi się również do b. więźniów niemieckich, którzy nie przeszli przez obozy koncentracyjne.

Roszczenia odszkodowawcze mogą zgłaszać też wdowy (wdowcy) po ofiarach hitleryzmu oraz niektóre kategorie najbliższych krewnych.

• głowisz się w wystaci?



HASKOBA LTD

121, Earls Court Road, London, S.W.5.

NAGRODA „MERKURIUSZA POLSKIEGO” DLA MŁODYCH KRYTYKÓW

Jury nagród „Merkuriusza Polskiego” dla Krytyków Literackich młodszego pokolenia w Polsce i zagranicą, w składzie: Paweł Hertz, Czesław Miłosz, Bolesław Taborski, Wit Tarnawski, Jerzy Zawieyski, postanowiło — ze względu na istnienie sporej ilości godnych uznania talentów — powiększyć ogólną ilość nagród do czterech równorzędnych, z których każda wynosi £ 45.—.

Zostali nagrodzeni: Jan Błoński (Kraków), Andrzej Kijowski (Warszawa), Zygmunt Kubiak (Kraków), Marian Pankowski (Bruksela).

TANIE! DOBRE!

„DUKE” — sweterki (krótkie rękawy) po	...	£ 0. 5.9
„DUKE” — sweterki Golfy (rekaw ¾) — 3 sztuki	...	£ 1. 4.0
„DUKE” — sweterki-bliźniaki (dwa sweterki)	...	£ 1. 8.0
SWETRY ZAKIĘTE (Botany Wool) z kieszeniami od	...	£ 2.15.0
KARDIGANY MĘSKIE (Botany Wool) zapinane, od	...	£ 2.10.0
CREPE-NYLONY, tzw. rozciągliwe, 2 pary od	...	£ 1. 6.0
NYLONY-STRETCH — 15 Denier, 2 pary od	...	£ 1. 3.0
PONCZOCHY WEŁNIANE damskie, 2 pary od	...	£ 1. 1.0
PONCZOSZKI DZIECIENNE wełniane, długie, 2 pary	...	£ 1. 4.0
BOTY ZIMOWE, damskie, na kożuszku	...	£ 4. 0.0
POLBUTY MĘSKIE „Oxford”, wygodne i mocne, od	...	£ 2.15.0
BUTY CHŁOPIĘCE z cholewkami, podkute, od	...	£ 1.15.0
BUTY MĘSKIE z cholewkami, bardzo mocne, od	...	£ 2. 6.0
BUCIKI Z CHOLEWKAMI dla dziewczynek, sznurowane	...	£ 2.10.0
WEŁNA EMU SCOTCH, 1½ lb.	...	£ 2. 0.0
WEŁNA EMU ZEPHYR BOTANY, 1 lb.	...	£ 1.12.0
MATERIAŁ JESIONKOWY, brązowa jodełka, kupon	...	£ 3. 0.0
MATERIAŁ GRANATOWY na pelta damskie i męskie, kupon	...	£ 3. 0.0

M. B. GRABOWSKI

175 DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S. W. 3.

A JEŚLI LEKI TO Z APTEKI